



Voltaire

*Traktat o tolerancji
napisany z powodu
śmierci Jana Colasa*

Voltaire

Traktat o tolerancji napisany z powodu śmierci Jana Colasa

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

Spis treści

ROZDZIAŁ

PIERWSZY

TREŚCIWA HISTORIA ŚMIERCI JANA CALASA

ROZDZIAŁ DRUGI

NASTĘPSTWA KAŻNI JANA CALASA

ROZDZIAŁ TRZECI

MYŚL REFORMATORSKA W XVI WIEKU

ROZDZIAŁ CZWARTY

CZY TOLERANCJA JEST NIEBEZPIECZNA I U JAKICH LUDÓW
JEST DOZWOLONA

ROZDZIAŁ PIĄTY

JAK MOŻNA ZAPROWADZIĆ TOLERANCJĘ

ROZDZIAŁ SZÓSTY

CZY NIETOLERANCJA WYNIKA Z PRAWA NATURALNEGO I Z
PRAWA LUDZKIEGO

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CZY GRECY ZNALI NIETOLERANCJĘ

ROZDZIAŁ ÓSMY

CZY RZYMIANIE BYLI TOLERANCYJNI

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O MĘCZENNIKACH

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O NIEBEZPIECZEŃSTWIE FAŁSZYWYCH LEGEND I O
PRZEŚLADOWANIU

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NADUŻYCIE NIETOLERANCJI

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CZY NIETOLERANCJA BYŁA W JUDAIZMIE PRAWEM BOSKIM I
CZY ZAWSZE BYŁA STOSOWANA

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

NIEZWYKŁA TOLERANCJA U ŻYDÓW

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

CZY JEZUS CHRYSTUS NAUCZAŁ NIETOLERANCJI

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ŚWIADECTWA PRZECIW NIETOLERANCJI

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZMOWA MIĘDZY UMIERAJĄCYM A CZŁOWIEKIEM
MAJĄCYM SIĘ DOBRZE

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

LIST PEWNEGO BENEFICJANTA DO JEZUITY LE TELLIERA,
NAPISANY 6 MAJA 1714 ROKU

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

JEDYNE WYPADKI, W KTÓRYCH NIETOLERANCJA WYNIKA Z
PRAWA LUDZKIEGO

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

SPRAWOZDANIE Z DYSPUTY KONTROWERSYJNEJ W
CHINACH

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

CZY JEST POŻYTECZNE UTRZYMYWAĆ LUD W ZABOBONIE

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

CNOTA JEST LEPSZA NIŻ WIEDZA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

O TOLERANCJI POWSZECHNEJ

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

MODLITWA DO BOGA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

POSTSCRIPTUM

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

CIĄG DALESZY I WNIOSKI

ROZDZIAŁ ŚWIEŻO DODANY

— W KTÓRYM ZDAJE SIĘ SPRAWĘ Z OSTATECZNEGO
WYROKU WYDANEGO NA KORZYŚĆ RODZINY CALASÓW

DOKUMENTY AUTENTYCZNE DOTYCZĄCE ŚMIERCI
CALASÓW I WYROKU WYDANEGO W TULUZIE

LIST DONATA CALASA DO MATKI, WDOWY PO JANIE
CALASIE

MEMORIAŁ DONATA CALASA W SPRAWIE JEGO OJCA, MATKI
I BRATA

OŚWIADCZENIE PIOTRA CALASA

HISTORIA ELŻBIETY CANNING I CALASÓW

HISTORIA CALASÓW

OŚWIADCZENIE PRAWNE SŁUŻĄCEJ PANI CALAS, W
SPRAWIE NOWYCH OSZCZERSTW, KTÓRYMI SPOTWARZA SIĘ
JESZCZE

TE CNOTLIWĄ RODZINĘ

LIST DO PANA DAMILAVILLE'A W SPRAWIE CALASÓW I
SIRVENÓW

ODEZWA DO OGÓŁU, W ZWIĄZKU ZE ZBRODNIĄ
DZIECIOBÓJSTWA PRZYPISANĄ CALASOM I SIRVENOM

O FANATYZMIE W OGÓLNOŚCI

ZŁE PRAWODAWSTWO POWIĘKSZA ILOŚĆ PRZESTĘPSTW

DZIECIOBÓJSTWO

JEDYNIE TOLERANCJA MOŻE UCZYNIĆ ŻYCIE W
SPOŁECZNOŚCI ZNOŚNYM

DYGRESJA O ŚWIĘTOKRADZTWACH, KTÓRE WYWOŁAŁY
REFORMACJĘ W BERNIE

O SKUTKACH STRONNICZOŚCI I FANATYZMU

LEKI PRZECIWKO WŚCIEKLIŹNIE DUSZ

KONKLUZJA

LIST PANA MARKIZA D'ARGENS, BRYGADIERA WOJSK
KRÓLEWSKICH

LIST AUTORA DO PANA MARKIZA D'ARGENS

LIST AUTORA DO PANA ELIASZA DE BEAUMONT,
ADWOKATA PARLAMENTU

ROZDZIAŁ

PIERWSZY

TREŚCIWA HISTORIA ŚMIERCI JANA CALASA

Morderstwo na Calasie, popełnione mieczem sprawiedliwości w Tuluzie dnia 9 marca 1762 roku, jest jednym z najosobliwszych wydarzeń zasługujących na uwagę naszego wieku i potomności. O tłumie umarłych, którzy padli w niezliczonych bitwach, zapominamy rychło nie tylko dlatego, że jest w tym nieuchronna fatalność wojny, ale i dlatego, że ci, którzy umierają w przypadkach orężnych, mogli również zadać śmierć swym nieprzyjaciołom i polegli stając w swej obronie. Tam, gdzie niebezpieczeństwo równe jest widokom zwycięstwa, przestajemy siędziwić, a nawet słabnie nasza litość. Ale jeżeli niewinny ojciec rodziny zostaje wydany na łup błędów czy namiętności, czy też fanatyzmu, jeżeli oskarżony nie ma na swą obronę nic prócz swej cnoty, jeżeli mordując go sędziowie decydujący o jego życiu narażają się jedynie na niebezpieczeństwo pomyłki, jeżeli mogą bezkarnie zabijać swym wyrokiem, wtedy podnosi się krzyk powszechny, każdy lęka się samego siebie, widzimy, że już nikt nie jest pewny swego życia przed trybunałem powołanym do czuwania nad życiem obywateli, i wszystkie głosy łączą się w jednym wołaniu o zemstę.

W tej dziwnej sprawie chodziło o religię, o samobójstwo, o mord w rodzinie. Chodziło o zbadanie, czy ojciec i matka udusili syna, aby się Bogu przypodobać, czy brat udusił brata, czy przyjaciel udusił przyjaciela. Chodziło o to, co sędziowie mieli sobie wyrzucać: to, że kazali mazać kołem niewinnego ojca, czy też to, że oszczędzili winowajców w osobach matki, brata i przyjaciela.

Jan Calas, człowiek sześćdziesięcioośmioletni, od przeszło czterdziestu lat trudnił się zawodem kupieckim w Tuluzie, a ci, którzy z nim żyli na bliskiej stopie, znali go jako dobrego ojca. Był protestantem, podobnie jak jego żona i wszystkie jego dzieci, wyjąwszy jedno, które wyrzekło się herezji i któremu ojciec wyznaczył niewielką pensję. Zdawał się być tak daleki od nedorzecznego fanatyzmu, który rozrywa wszelkie węzły w społeczeństwie, że uznał nawrócenie się swego syna Ludwika Calasa i odtrzydziestu lat miał w domu służącą gorliwą katoliczkę, która wychowała wszystkie jego dzieci.

Jeden z synów Jana Calasa. Marek Antoni, był człowiekiem obeznanym z literaturą, uchodził za ducha niespokojnego, posępnego i gwałtownego. Ten młody człowiek, nie mogąc ani wstąpić do handlu, do którego nie był zdatny, ani też wyjednać sobie przyjęcia do palestry, skoro potrzebne tam było nieosiągalne dlań świadectwo, że jest katolikiem, postanowił zakończyć swoje życie i napomknął tym zamiarze jednemu ze swych przyjaciół. Umocnił się w swym postanowieniu czytając wszystko, cokolwiek napisano o samobójstwie.

Na koniec, przegrawszy pewnego dnia pieniądze, wybrał tenże dzień na urzeczywistnienie swego zamiaru. Pewien przyjaciel jego rodziny i zarazem jego przyjaciel, nazwiskiem Lavoisier. młodzieniec w wieku lat dziewiętnastu, przybył przeddzień z Bordeaux. Bawił przypadkiem na kolacji u Calasów. Wieczerali wspólnie: ojciec i matka. Marek Antoni, ich starszy syn. i Piotr, ich młodszy syn. Po kolacji udano się do saloniku; Marek Antoni znikł. Wreszcie gdy młody Lavoisier chciał już odejść, obaj z Piotrem Calasem zeszli na dół i znaleźli Marka Antoniego wiszącego w koszuli na drzwiach przy sklepie, a jego frak złożony w porządku na ławie. Koszula na nim nie była nawet pognieciona, włosy

miał starannie uczesane. Nie było na jego ciele żadnej rany. Żadnych śladów potłuczenia.

Pominiemy tu wszystkie szczegóły, z których zdali sprawę obrońcy. Nie będziemy opisywali bólu i rozpacz ojca i matki. Lavoisier i Piotr Calas, nie posiadając się z przerażenia, pobiegli po chirurga i sąd.

Podczas gdy spełniali ten obowiązek, podczas gdy matka i ojciec tkali i wylewali łzy, lud tuluzyński zgromadził się wokół domu. Lud ten jest zabobonny i porywczy. mieni potworami swych braci, którzy nie wyznają tej samej co on religii. To przecież w Tuluzie dziękowano uroczystie Bogu za śmierć Henryka III i ślubowano zabić każdego człowieka, który by wielkiego, dobrego Henryka IV uznał za króla. To miasto jeszcze teraz święci corocznie procesją fajerwerkami dzień, w którym dwa wieki temu wycięto cztery tysiące obywateli-heretyków. Nadaremnie sześćdecretów Rady zakazało tego ohydneho święta; tuluzjanie nadal obchodzili je uroczystie, tak jak igrzyska kwiatowe .

Jakiś fanatyk z motłochu krzyknął, że Jan Calas powiesił swego włas-

nego syna Marka Antoniego. Gdy okrzyk ten rozległ się po raz drugi, porwał w jednej chwili wszystkich. Inni dodali, że nieboszczyk miał na jutro uczynić wyznanie wiary, że rodzina i młody Lavoisier udusili go z nienawiści do religii katolickiej. W chwilę później nikt już tym nie wątpił. Całe miasto było przekonane, że religia protestancka nakazuje, aby ojciec i matka zamordowali swojego syna, gdy chce się nawrócić.

Raz poruszonych umysłów nic nie zdoła powściągnąć. Urojono sobie, że protestanci Langwedocji zebrali się dnia poprzedniego, że większość głogów wybrali katekizację, że wybór padł na młodego Lavoisiera, że ten młodziak w

ciągu dwudziestu czterech godzin dostał wiadomość swym wyborze i przybył z Bordeaux, aby pomóc Janowi Calasowi, jego żonie i ich synowi Piotrowi w uduszeniu przyjaciela, syna. brata.

Pan David, kapituła Tuluzy, który dał się ponieść pogłoskom i chciał się pochwalić szybkim postępowaniem, zastosował procedurę sprzeczną z przepisami i zarządzeniami. Rodzina Calasów, służąca katolicka i Lavoisier zostali zakuci w kajdany.

Ogłoszono monitorium równie niezgodne z prawem jak i procedura. Posunięto się jeszcze dalej. Marek Antoni Calas umarł jako kalwinista, a jeśli targnął się na swoje życie, powinno się go było wleć na kracie. Tymczasem pochowano go z największą wystawnością w kościele Św. Stefana, wbrew proboszczowi, który protestował przeciwko tej profanacji.

Są w Langwedocji cztery bractwa pokutników: białe, niebieskie, szare i czarne. Bracia noszą długie kaptury z sukiennymi maskami, w których wycięte są dwie dziury na oczy. Chcieli wciągnąć do swej kongregacji księcia Fitz-Jamesa, gubernatora prowincji, ale im odmówił. Biali bracia odprawili przy Marku Antonim Calasie nabożeństwo uroczyste jak przy ciele męczennika. Nigdy Kościół nie obchodził święta prawdziwego męczennika z większą okazałością, ale ta okazałość była straszna. Ponad katafalkiem postawiono szkielet, który wprawiano w ruch i który wyobrażał Marka Antoniego Calasa trzymającego w jednej ręce palmę, a w drugiej pióro. Miał nim podpisać wyrzeczenie się herezji, ale w rzeczywistości pisał nim wyrok na swego ojca.

A więc nieszczęśliwemu, który targnął się na samego siebie, brakowało już tylko kanonizacji. Wszystek lud uważał go za świętego. Jedni wzywali jego imienia, drudzy

chodzili się modlić na jego grób, inni wołali o cuda, a jeszcze inni opowiadali o cudach, które uczynił. Pewien mnich wyrwał mu kilka zębów, aby mieć trwałe relikwie. Jakaś przygłucha dewotka rozgłosiła, że usłyszała dźwięk dzwonów. Pewien kapłan-apoplektyk został uleczony wzięwszy środek na wymioty. Spisywano zeznania o tych fenomenach. Piszący tę relację posiada świadectwo, że pewien młodzieniec z Tuluzy oszalał, ponieważ modlił się wiele nocy przy grobowcu nowego świętego i nie otrzymał cudu, o który błagał.

Kilku urzędników sądowych należało do bractwa pokutników białych. Wobec tego śmierć Jana Calasa była przesądzona.

Nade wszystko każą jej sposobem się wraz z nadchodzącym świętem, które tuluzjanie obchodzą co roku na pamiątkę rzezi czterech tysięcy hugonotów. W roku 1762 przypadała rocznica dwóchsetna. Podjęto w mieście przygotowania do tej uroczystości, co jeszcze bardziej zapaliło i tak już rozognioną wyobraźnię ludu. Mówiono publicznie, że szafot, na którym Calasowie zostaną połamani kołem, będzie największą ozdobą święta, mówiono, że sama Opatrzność prowadziła te ofiary, aby zostały złożone naszej świętej religii. Dwadzieścia osób słyszało takie i jeszcze gwałtowniejsze wywody. I to za naszych dni! I to w czasie, gdy filozofia tak bardzo postąpiła naprzód! W czasie, gdy sto akademii pisze księgi, aby natchnąć obywateli pogodnością! Zdaje się, że fanatyzm, obruszywszy się na osiągnięcia rozumu, z tym większą zalewa go wściekłością.

Trzynastu sędziów zbierało się co dzień, aby doprowadzić proces do końca. Nie było, nie mogło być żadnego dowodu przeciwko Calasom, ale sprowadzona na manowce religia zajęła miejsce dowodu. Sześciu sędziów

długo upierało się przy tym, aby Jana Calasa, jego syna i Lavoisier'a skazać na łamanie kołem, aż one Jana Calasa spalić na stosie. Siedmiu innych, bardziej umiarkowanych, chciało, aby przynajmniej przeprowadzono badanie. Raz po raz wznawiano długotrwałe obrady. Jeden z sędziów, przekonany o niewinności oskarżonych i o niepodobieństwie zbrodni, przemawiał długo na ich rzecz. Przeciwwstawiał żarliwość człowieka żarliwości surowego sądu. Stał się publicznym obrońcą Calasów we wszystkich domach Tuluzy, gdzie ustawiczne wołania żle pojętej religii żądały krwi tych nieszczęśników. Inny sędzia, znany ze swej gwałtowności, przemawiał na mieście z równie wielkim uniesieniem przeciwko Calasom, z jakim ów pierwszy ich bronił. Na koniec hałas zrobił się tak wielki, że obydwaj musieli ustąpić grona sędziów i udali się na wieś.

Ale, na nieszczęście, sędzia przychylny Calasom skrupulatnie wytrwał w swej rezygnacji do końca, gdy tymczasem drugi powrócił, by oddać swój głos przeciwko tym, których nie powinien być sądzić. Ten właśnie głos zadecydował o wyroku skazującym na łamanie kołem, albowiem było tylko osiem głosów przeciwko pięciu, jako że jeden z sześciu sędziów sprzeciwiających się przeszedł w końcu, po wielu dysputach, na stronę bardziej surową.

Wydaje się, że gdy chodzi o mord w rodzinie, o wydanie ojca rodziny na najhaniebniejszą kaźń, wyrok powinien być jednogłosny, ponieważ do-

wody zbrodni tak niesłychanej powinny uderzać wszystkich w świątobliwość. Przy najmniejszej wątpliwości winien w podobnym wypadku zadrzeć sędzia, który ma podpisać wyrok śmierci. Słabość naszego rozumu i niedostatek naszych praw dają się odczuć codziennie, ale w jakiejżokoliczności bardziej się to odślania aniżeli wówczas, gdy przewaga jednego jedyne go głosu każe łamać obywatela

kołem? W Atenach trzeba było pięćdziesięciu głosów ponad połowę, aby ważono się wydać wyrok śmierci. Co z tego wynika? To, że nader nieużyteczna jest nasza świadomość, iż Grecy byli od nas mądrzejsi i bardziej ludzcy.

Zdawało się niemożliwe, aby Jan Calas, starzec sześćdziesięcioośmioletni, który od dawna miał nogi obrzmiałe i słabe, sam udusił powiesił dwudziestoosmioletniego syna, odznaczającego się siłą więcej niż zwyczajną. Stanowczo musieliby mu pomagać w tej egzekucji żona, syn Piotr Calas, Lavoisier i służąca. Nie rozstawali się ani na chwilę tego wieczoru, gdy zdarzył się nieszczęśny wypadek. Ale to przypuszczenie było co najmniej tak samo niedorzeczne jak pierwsze. Bo jakżeby służąca, gorliwa katoliczka, mogła pozwolić, aby hugonoci mordowali młodego człowieka, jej wychowanka, karząc go za miłość do religii wyznawanej przez nią samą? Jakżeby Lavoisier mógł przybyć umyślnie z Bordeaux, aby udusić swego przyjaciela, o którego domniemanym zamiarze nawrócenia się nie wiedział? Jakżeby czuła matka mogła podnieść rękę na swego syna? Jakżeby bez długiej i gwałtownej walki, bez strasznych krzyków, które by zwołały całe sąsiedztwo - nie uderzając, nie raniąc, nie drąc odzieży - mogli wspólnie udusić młodego człowieka, tak mocnego jak oni wszyscy razem wzięci?

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jeśli zbrodnia miała miejsce, wszyscy oskarżeni byli jednakowo winni, ponieważ nie rozstawali się ani na chwilę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nie byli mordercami. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ojciec sam nie mógłby być mordercą. A tymczasem wyrok skazał tylko jego, aby wyzionął ducha na kole.

Motywy wyroku były tak samo niepojęte jak wszystko inne. Sędziowie, którzy postanowili kaźń Jana Calasa,

przekonali pozostałych, że ten słaby starzec nie zdoła wytrzymać mąk i że pod razami katów wyzna swoją zbrodnię oraz zbrodnię swoich współników. Byli pomieszani, gdy, umierając na kole, starzec wezwał Boga na świadka swej niewinności i zaklinał go, aby przebaczył sędziom.

Musieli wydać drugi, sprzeczny z pierwszym, wyrok uwalniający matkę, syna Piotra, młodego Lavoisier'a i służącą. Ale gdy jeden z radnych dał im do poznania, że ten wyrok zadaje kłam pierwszemu, że potępiają samych siebie, że skoro wszyscy oskarżeni nie rozstawali się w czasie domniemanej zbrodni, uwolnienie wszystkich pozostałych przyżyciu dowodziłoby stanowczo niewinności straconego ojca rodziny—wówczas opowiedzieli się za wygnaniem Piotra Calasa, jego syna. To wygnanie zdawało się być czymś tak samo lekkomyślnym, tak samo niedorzecznym, jak wszystko, co dotąd uczynili, bo albo Piotr Calas był winien, albo nie był winien bratobójstwa. Jeżeli był winny, należało go połamać kołem tak samo jak ojca; jeżeli był niewinny, nie należało go skazywać na wygnanie. Wszelako sędziowie, przerażeni karą ojca i wzruszającą pobożnością, w jakiej umarł, wystawili sobie, że ocalą swój honor pozwalając mniemać, iż ułaskawili syna, jak gdyby to ułaskawienie nie było nowym nadużyciem. Uważali, że skoro wygnanie tego młodego biednego człowieka bez protekcji nie pociąga za sobą następstw, nie będzie to wielkim bezprawiem po bezprawiu, którego się już dopuścili.

Zaczęło się od tego, że zamkniętemu w ciemnicy Piotrowi Calasowi grożono, iż spotka go los ojca, jeżeli nie wyrzeknie się swej religii. Młody człowiek stwierdza to pod przysięgą.

Wychodząc z miasta Piotr Calas spotkał księdza nawróciciela, który kazał mu powrócić do Tuluzy. Zamknięto go w klasztorze Dominikanów i tam zmuszono do wykonania

wszelkich czynności katolickich. Było to po części tym, czego chciano, była to cena krwi jego ojca. I religia, którą uważano za pomszczoną, zdawała się być zadowolona.

Porwano matkę córki i zamknięto ją w klasztorze. Ta kobieta nieomal zroszona krwią swego męża, ta kobieta, która trzymała w ramionach martwe ciało swego najstarszego syna, która patrzyła na wygnanie młodszego, którą pozbawiono córek, ograbiono z wszelkiego mienia, była sama na świecie, nie miała chleba, straciła nadzieję umierała od nadmiaru swego nieszczęścia. Pewne osoby, które dokładnie zbadały wszelkie okoliczności tej strasznej sprawy, doznały tak wielkiego zdumienia, że nie przestawały nalegać na żyjącą w osamotnieniu panią Calas, aby ośmieliła się domagać sprawiedliwości u stóp tronu. Nie mogła już wtedy utrzymać się na nogach, gasła. A skądinąd przerażało ją samo imię miasta Paryża, gdyż urodziła się Angielką w młodym wieku przeszczepiono ją na prowincję francuską. Wystawiała sobie, że stolica królestwa musi być jeszcze większym barbarzyństwem niż stolica Langwedocji. Wreszcie obowiązek pomszczenia pamięci męża wziął górę nad słabością. Przybyła do Paryża bliska skonań. Była zdumiona znajdując tam gościnę, pomoc i łzy.

W Paryżu rozum bierze górę nad najskrajniejszym fanatyzmem, gdy na prowincji fanatyzm prawie zawsze bierze górę nad rozumem.

Pan de Beaumont, sławny adwokat paryskiego parlamentu, pierwszy podjął się jej obrony i sporządził memoriał, który podpisało piętnastu adwokatów. Pan Loiseau, nie mniej wymowny, również ułożył memoriał w obronie rodziny. Pan Mariette, adwokat przy Radzie Stanu, opracował suplikę, która trafiła do przekonania wszystkim umysłom.

Ci trzej szlachetni obrońcy praw i niewinności zrzekli się na rzecz wdowy zysku z ogłoszenia drukiem ich memoriałów. Cały Paryż i cała Europa poruszone były litością wraz z tężyzną

kobietą żądały sprawiedliwości. Całe społeczeństwo wydało wyrok na długo przedtem, zanim Rada mogła go podpisać.

Litość przeniknęła aż do ministerium mimo nieustającego potoku spraw, który często nie pozostawia miejsca dla litości, i mimo przywyknienia do widoku nieszczęśliwych, od czego jeszcze bardziej mogą ztwardnieć serca. Zwrócono córki matce. Ujrzano je wszystkie trzy razem, okryte krepą. Były zalane łzami i zmuszały do płaczu.

Jednakże rodzina miała jeszcze nieprzyjaciół, ponieważ chodziło o religię. Wielu ludzi, których nazywa się we Francji dewotami, mówiło głośno, że lepiej połamać kołem starego, niewinnego kalwinistę niż narazić osiem radnych langwedockich na to, aby musieli przyznać, że się pomylili. Posługiwano się nawet takim określeniem: „Więcej jest sędziów niż Calasów, i wyciągano z tego wniosek, że rodzinę Calasów winno się poświęcić imię czci sądownictwa. Nie pamiętano o tym, że cześć sędziów, tak jak i cześć innych ludzi, polega na naprawianiu własnych błędów. Nie wierzy się we Francji, aby papież wraz ze swymi kardynałami był nieomylny, można by więc i osiem sędziów z Tuluzy nie uważać za nieomylnych.

Wszyscy inni ludzie roztropni i nieuprzedzeni twierdzili, że cała Europa przekreśli wyrok tuluzjański, gdy nawet względy szczególne przeszkodzą, aby unieważniła go Rada.

W takim stanie znajdowała się zdumiewająca sprawa, gdy ludzie bezstronni, a przecież, mający dobre serce,

powzięli zamiar przedstawienia szerokiemu ogółowi garści rozważań nad tolerancją, nad pobłażliwością, nad współczuciem, które w swej napuszonej, fałszywej i pełnej deklamacji rozprawie o faktach ksiądz Houtteville nazywa dogmatem potwornym, a które rozum nazywa częstką natury.

Albo sędziowie tuluzjańscy, porwani fanatyzmem pospólstwa, kazali mazać kołem niewinnego ojca rodziny, co jest rzeczą bezprzykładną, albo też ów ojciec i jego żona udusili swego najstarszego syna, wspomagani w tym synobójstwie przez drugiego syna i przyjaciela, co jest przeciwne naturze. I w pierwszym i w drugim wypadku nadużycie najświętszej religii doprowadziło do wielkiej zbrodni. Należy więc w interesie rodzaju ludzkiego zbadać, czy religia powinna być miłosierna, czy też barbarzyńska.

ROZDZIAŁ DRUGI

NASTĘPSTWA KAŻNI JANA CALASA

Jeżeli pokutnicy biali byli przyczyną kaźni człowieka niewinnego, przyczyną całkowitego zrujnowania rodziny, jej rozproszenia i hańby, która powinna spaść na niesprawiedliwych, a tymczasem spadła na kaźnionego, jeżeli skwapliwość pokutników białych do oddawania należnej świętemu czci człowiekowi, który według naszych barbarzyńskich zwyczajów powinien być wleczony na kracie, kazała maćkołem cnotliwego ojca rodziny, to takie nieszczerstwo powinno z nich bez wątpienia uczynić rzeczywistych pokutników na resztę ich życia. To oni i sędziowie powinni płakać rzuciwszy długie białe habity i nie zakrywając twarzy maską, która by tuiła ich tzy.

Mamy w poszanowaniu wszelkie bractwa. Istniejące ku zbudowaniu, ale czyż największe nawet dobro, które mogłyby uczynić dla państwa, da się porównać tym okropnym złem, które wywołały? Stworzyła je, zdaje się, zapamiętałość podburzająca w Langwedocji katolików przeciwko tym, których nazywamy hugonotami. Można by powiedzieć, że ślubowano nienawiść do swych braci, albowiem dość mamy wiary, by nienawidzić prześladować, a nie dość, by kochać wspierać. I cóżby się działo,

gdyby bractwami kierowali zagorzalcy, jak to bywało dawniej w niejednym bractwie rzemieślników i bractwie „panów”, gdzie zwyczaj miewania widzeń obrócono w sztukę system, o czym mówi jeden z naszych najwymowniejszych i najuczciwszych dostojników? Cóżby się działo, gdyby bractwa urządały owe ciemne pokoje, zwane „pokojami rozmyślań”, gdzie malowano szatanów

uzbrojonych w rogi i szpony, otchłanie płomieni, krzyże i sztylety, umieszczając święte imię Jezusa u góry malowidła? Cóżto za widowisko dla oczu już urzeczonych i dla wyobraźni jednako rozgorączkowanych, co i uległych spowiednikom!

Zbyt dobrze wiemy o tym, że były czasy, w których bractwa stawały się niebezpieczne. Braciszki i biczownicy wywoływali zamieszki. Liga bierze początek od takich stowarzyszeń. Po cóż się tak wyróżniać od innych obywateli? Czy ci, co tak postępowali, uważali się za doskonalszych? Już to jest obelgą dla całego narodu. Czy chodziło o to, aby wszyscy chrześcijanie wstąpili do bractwa? Piękny to byłby widok: Europa w kapturze i masce z dwiema małymi, okrągłymi dziurami przed oczyma! Czy mniema ktoś dobrej wierze, że Bóg woli ten strój cudaczny od surduta? Co więcej, habit jest mundurem toczących spory religijne, ostrzega przeciwników, aby chwytały za broń. Habit, niepokojąc umysły, może wzniecić rodzaj wojny domowej, która doprowadziłaby pewnie do zgubnego nieładu, gdyby król i jego ministrowie nie byli tak mądrzy, jak fanatycy są bezrozumni.

Dobrze wiemy, ile od początku kosztowały chrześcijańskie dysputy o dogmatach : od IV wieku aż po dni nasze lała się krew bądźto na szafotach, bądź też w bitwach. Ograniczmy się tutaj do wojen i spustoszeń wywołanych przez właśnie reformatorskie i zobaczmy, jakie było ich źródło we Francji. Może zwięzły i wierny obraz tylu klęsk otworzy oczy niektórym ludziom pogrążonym w niewiedzy i wzruszy serca poczciwe.

ROZDZIAŁ TRZECI

MYŚL REFORMATORSKA W XVI WIEKU

Gdy wraz z odrodzeniem literatury zaczęły się rozjaśniać umysły, skarżono się powszechnie na nadużycia. Wszyscy przyznają, że te skargi były słuszne.

Papież Aleksander VI kupił publicznie tiarę, a jego pięciu bękartów dzieliło wynikłe stąd korzyści. Jego syn, książę kardynał Borgia, za zgodą papieża, swego ojca, zgładził Vitellic, Urbinów, Gravinów, Oliverettich i stu innych możnych władców, aby zawładnąć ich posiadłościami. Juliusz II, ożywiony tym samym duchem, ekskomunikował Ludwika XII, wydał jego królestwo pierwszemu lepsze zaborcy, sam zaś, nosząc hełm na głowie, a pancerz na piersiach, spustoszył ogniem i mieczem część Włoch. A żeby opłacić swe rozkosze, Leon X handlował odpustami tak, jak się sprzedaje żywność na rynku publicznym. Ci, którzy powstawali na taką grabież, mieli rację przynajmniej w dziedzinie moralności. Zobaczmy, czy wbrew nam mieli ją w polityce.

Mówili, że skoro Jezus Chrystus nigdy nie żądał annatów ni warunków, ani też nie sprzedawał dyspens dla tego świata i odpustów dla tamtego, można by się dyspensować o uiszczenia obcemu władcy wynagrodzenia za te wszystkie rzeczy. Gdyby annaty, procesy na dworze rzymskim i dyspensy, które istnieją po dziś dzień, kosztowały nas tylko pięćset tysięcy franków rocznie, jasne jest, że od czasu Franciszka I, w ciągu dwustu pięćdziesięciu lat, zapłaciliśmy sto dwadzieścia pięć milionów, a przeliczając różnice wartości pieniądza, suma ta daje w przybliżeniu dwieście pięćdziesiąt milionów dzisiejszych franków. Można więc

przyznać bez bluźnierstwa, że żądając zniesienia tych osobliwych podatków, nad którymi zdumieje się potomność, heretycy nie wyrządzali tym wielkiego zła królestwu i byli raczej dobrymi rachmistrzami niż złymi poddanymi. Dodajmy, że byli to jedyni ludzie, którzy umieli po grecku i znali starożytność. Nie tajmy, że pomimo ich błędów im zawdzięczamy rozwój ducha ludzkiego, od dawna pogrążonego w najgrubszym barbarzyństwie.

Ale ponieważ przeczyli istnieniu czyśćca, o którym nie należy powątpiewać, który zresztą przynosił wiele korzyści mnichom, ponieważ nie czcili relikwii, które należy czcić, a które przynosiły jeszcze więcej korzyści, ponieważ wreszcie atakowali najbardziej poważane dogmaty, za całą odpow-

wiedź przede wszystkim palono ich na stosie. Król, popierając i opłacając ich w Niemczech, kroczył w Paryżu na czele procesji, po której stracono wielu z tych nieszczęśników. A egzekucja odbywała się tak: wieszano ich na końcu długiej, wspartej na kłocu belki, która unosiła się opadała jak żuraw studzienny; pod nimi płonął wielki ogień na przemian to pogrążano ich w nim, to ich z ognia wydobywano. Doznawali męk i umierali stopniowo, nim wyzionęli ducha w najdłuższej i najokropniejszej kaźni, jaką kiedykolwiek wynalazło barbarzyństwo.

Na krótko przed śmiercią Franciszka I pewni członkowie parlamentu prowansalskiego, podburzeni przez duchowieństwo na mieszkańców Merindolu i Cabrières, zażądali od króla oddziałów wojskowych dla wsparcia egzekucji dwudziestu osób, które w tych stronach skazali, zamordowali natomiast sześć tysięcy, nie darując ani płci, ani starości, ani dzieciństwa. Obrócili trzydzieści osad w perzynę. Ludzie tam zamieszkali, aż do owej chwili nikomu nie znani, ponosili, oczywiście, winę, że urodzili się waldensami; to była ich jedyna nieprawość. Przed trzema

stuleciami osiedli w pustkowiach i na górach, które użyźnili niewiarogodną pracą. Ich życie, pasterskie i spokojne, przywodziło na pamięć niewinność przypisywaną pierwszym wiekom świata. Sąsiednie miasta znali jedynie dzięki handlowi owocami, które tam zanosili na sprzedaż. Nie znali procesów i wojny. Nie bronili się. Pomordowano ich jak spędzone do okólnika zwierzęta.

Po śmierci Franciszka I, władcy przecieź bardziej znanego ze swej grzeczności dla dam i swych nieszczęśliwie swych okrucieństw, kaźń tysięcy heretyków, w szczególności kaźń Dubourga, radnego parlamentu, i wreszcie masakra w Vassy sprawiły, że chwycili za broń prześladowani, których sekta rozmnożyła się w łunie stosów i pod żelazem katów. Wściekłość zajęła miejsce dotychczasowej cierpliwości. Naśladowali okrucieństwa swych wrogów: dziewięć wojen domowych wydało Francję na łup rzezi. Pokój zgubniejszy niż wojna przyniósł noc świętego Bartłomieja, która nie miała żadnego przykładu w rocznikach zbrodni.

Liga zamordowała Henryka III i Henryka IV rękami brata dominikanina i rękami potwora, który był bratem cystersa. Sądzie, którzy twierdzą, że człowieczeństwo, pobłażliwość, wolność sumienia należą do rzeczy okropnych, ale czyż, prawdę rzekłszy, sprowadziłyby one podobne klęski?

ROZDZIAŁ CZWARTY

CZY TOLERANCJA JEST NIEBEZPIECZNA I U JAKICH LUDÓW JEST DOZWOLONA

Byli i tacy, którzy mówili, że gdybyśmy okazywali ojcowską pobłażliwość naszym zbłąkanym braciom modlącym się do Boga w złej francuszczyźnie, to dałibyśmy im broń do ręki. zobaczylibyśmy nowe bitwy pod Jarnac, Moncontour, Coutras, Dreux, Saint-Denis itd. Nie wiem, czyby tak było, bo nie jestem prorokiem, ale wydaje mi się, że to nie jest logiczne rozumowanie, gdy się mówi: „Ci ludzie zbuntowali się, gdy im wyrządziłem zło, a więc zbuntują się, gdy im wyświadczę dobro.”

Nie wahałbym się zachęcić tych, którzy stoją na czele rządów, i tych, którzy są przeznaczeni do wysokich stanowisk, aby łaskawie zechcieli rozważyć, czyśmy się powinni naprawdę obawiać, że łagodność wywoła takie same bunty, jakie zrodziło okrucieństwo, czy to, co zdarzyło się w pewnych okolicznościach, musi zdarzyć się w innych, czy czasy, mniemania i obyczaje są zawsze te same.

Hugonoci byli niewątpliwie tak samo jak my odurzeni fanatyzmem i zbrukani krwią, ale czy pokolenie dzisiejsze jest równie barbarzyńskie jak jego przodkowie? Czyż epoka, czyż rozum, który takiego dokonał postępu, czyż dobre książki, czyż łagodność społeczeństwa nie przeniknęły do ludzi, którzy kierują umysłami hugonotów? I czyż nie dostrzegamy, że od lat około pięćdziesięciu Europa zmieniła swe oblicze?

Rządy umocniły się wszędzie, a obyczaje nabrały łagodności. Porządek ogólny, utrzymywany przez liczne, stałe armie, nie dopuszcza zresztą obawy przed powrotem owych czasów anarchii, gdy chłopię kalwiniści walczyli przeciwko chłopom katolikom zaciągniętym w pośpiechu między siewem a żniwami.

Inne czasy, inne troski. Byłoby dzisiaj niedorzecznością śmiać się z tego, że ona postawiła żądanie, aby spalić Dziewicę Orleańską, że ogłosiła Henryka III pozbawionym praw królewskich, że wyklęła, że wyjęła spod prawa wielkiego Henryka IV. Oczywiście, nikt też nie będzie prowadził dochodzeń przeciwko innym instytucjom królestwa, które się dopuściły takich samych nieprawości w owych czasach szaleństwa. To byłoby nie tylko rzecz niesłuszną, ale byłoby takim samym głupstwem, jakbyśmy chcieli dać na przeczyszczenie wszystkim mieszkańcom Marsylii, ponieważ przeżyli zarazę w roku 1720.

Czyż - jak to uczyniły wojska Karola V - pójdziemy plądrować Rzym. ponieważ Sykstus V nadał w roku 1585 dziewięć lat odpustu każdemu Francuzowi, który chwyci za broń przeciwko swemu władcy? I czy nie dość będzie przeszkodzić Rzymowi, aby dopuszczał się takich wybryków?

Furia, którą wznieca duch dogmatyzmu i nadużycia źle pojętej religii chrześcijańskiej, przelała tyle krwi, przyniosła tyle nieszczęść Niemcom, Anglii, a nawet Holandii, co i we Francji. A tymczasem dziś różnice religijne nie wywołują żadnego niepokoju w tamtych państwach. Żyd. katolik, prawosławny, luteranin, kalwinista, anabaptysta, socynianin, mennonita, morawianin i tylu innych żyją w tych krajach po bratersku i jednakowo przyczyniają się do dobra społecznego.

Nikt już nie obawia się Holandii, że dysputy Gomara o przeznacze-

niu doprowadzą do ścięcia głowy wielkiemu pensjonariuszowi. Nikt już nie obawia się Londynie, że kłótnie presbiterianów i anglikanów o liturgię o komżę przeleją na szafocie krew króla.' Zaludniona i wzbogacona Irlandia nie ujrzy już, jak jej obywatele katolicy przez dwa miesiące ofiarowują Bogu obywateli protestantów, grzebiąc ich żywcem, wieszając matki na szubienicach, przywiązując córki matkom do szyi i patrząc, jak one razem oddają ducha, otwierając brzuchy kobiet ciężarnych, aby wyciągnąć półkształtowane dzieci i dać je na pożarcie wieprzom i psom, wkładając sztylet w ręce skrzepowanych więźniów i kierując ramię pierś żon, ojców, matek, córek, w mniemaniu, że czynią z nich zbrodniarzy, matkobójców czy dzieciobójców, że wycinając w pień wszystkich skazujących samych wszystkich na wieczne potępienie. Wspomina o tym Rapin-Thoyras, oficer, który służył

w Irlandii, prawie temu współczesny, wzmiankując o tym wszystkie roczniki, wszystkie historie Anglii i z pewnością nigdy nie znajdzie to naśladowców. Filozofia, jedynie filozofia, ta siostra religii, rozbroiła ręce, które zabobon tak długo okrwawiała, a duch ludzki, budząc się ze swego zapamiętania, zdumiał się potwornością, ku której poniósł fanatyzm.

My sami mamy we Francji bogatą prowincję, gdzie luteranizm wziął górę nad katolicyzmem. Uniwersytet alzacki jest w rękach luteranów, zajmują oni część urzędów miejskich. Nigdy najmniejszy spór religijny nie zakłócił spokoju tej prowincji, odkąd należy ona do naszych królów. Dlaczego?

Dlatego że nikogo nie prześladowano. Nie starajcie się udęczać serc, a wszystkie będą należały do was.

Nie utrzymuję, że ci wszyscy, którzy nie wyznają religii władcy, mają mieć ten sam udział w stanowiskach i zaszczytach co i wyznawcy religii panującej. W Anglii katolicy, uważani za stronników pretendenta do tronu, nie mogą dość do urzędów, płacą nawet podwójny podatek, ale poza tym korzystają ze wszystkich praw obywatelskich.

Podjezwano niektórych biskupów francuskich o to, że jakoby mniemali, iż istnienie gminy kalwińskiej w diecezji nie godzi się ani z ich czią, ani też z ich interesem, i w tym dopatrywano się największej przeszkody w rozpowszechnieniu tolerancji. Trudno mi w to uwierzyć. We Francji episkopat składa się z ludzi dostojnych, którzy myślą działającą szlachetnością godną urodzenia. Są miłośnikami i wspierają miłośników, należy im oddać sprawiedliwość. Powinni pamiętać, że ich zbiegli diecezjanie na pewno nie nawrócą się w obcych krajach, a powróciwszy do swych pasterzy mogliby się oświecić ich naukami i poruszyć ich przykładami. Byłoby zaszczytem nawrócić tych ludzi, przychody kościelne na tym by nie ucierpiały, im więcej byłoby obywateli, tym więcej dawałyby ziemie prałatów.

W Polsce pewien biskup Warmii miał dzierżawcę anabaptystę poborcę socynianina. Proponowano mu, aby wygonił prześladowa jednego za to, że nie wierzy w konsubstancjalność, a drugiego za to, że chrześcijańskiego syna dopiero w piętnastu latach. Odpowiedział, że na tamtym świecie będą potępieni na wieki, ale że na tym świecie bardzo potrzebni.

Wyjdźmy z naszego wąskiego kręgu i przypatrzmy się reszcie globu. Sułtan rządzi w pokoju dwudziestoma narodami o różnych religiach. Dwieście tysięcy Greków żyje

bezpiecznie w Konstantynopolu. Sam mufty mianuje i przedstawia władcy patriarchę greckiego. Toleruje się tam patriarchę łacińskiego. Sułtan mianuje biskupów łacińskich dla kilku wysp Grecji, a posługuje się taką formułą: „Rozkazujęmu. aby jako biskup objął rezydencję na wyspie Chios według ich starodawnego zwyczaju i marnych obrządków.” Pełno jest w tym imperium jakobitów, nestorianów, monoteletów. Sążkoptowie, joannici. żydzi, gwebrowie, banianie. Roczniki tureckie nie czynią żadnej wzmianki o żadnym buncie wznieconym przez którąkolwiek z tych religii.

Udajcie się do Indii, do Persji, do Turkiestanu, a zobaczycie tam tę samą tolerancję i ten sam spokój. Piotr Wielki popierał wszelkie obrządki w swym rozległym cesarstwie. Zyskały na tym handel i rolnictwo. A i terytorium państwowe nigdy na tym nie ucierpiało.

Rządy Chin, odkąd są znane, to jest od przeszło czterech tysięcy lat. zawsze uznawały tylko przykazania podobne do noachyjskich, prostą cześć dla jedynego Boga, ale tolerując jednocześnie zabobony Fo i mnóstwo bonzów, którzy staliby się niebezpieczni, gdyby mądrość trybunałów nie trzymała ich ciągle na wodzy.

Co prawda, wielki cesarz Jung-Czing, bodajże najmądrszy i najbardziej wielkoduszny ze wszystkich cesarzy chińskich, wypędził jezuitów, ale stało się to nie dlatego, iżby był nietolerancyjny. Wręcz odwrotnie, stało się to dlatego, że nietolerancyjni byli jezuici. W swych *Listach ciekawych* sam podaje słowa, które wyrzekł do nich ów dobry władca: „Wiem, że wasza religia jest nietolerancyjna. Wiem, że goście dokonali w Manili i w Japonii. Oszukaliście mego ojca, ale nie udźcie się nadzieją, że oszukacie i mnie.” Przeczytajcie całą mowę, którą raczył mieć do nich, a uznacie go za najmądrszego i najłagodniejszego z ludzi. Czy

rzeczywiście mógł zatrzymać fizyków europejskich, którzy pod pretekstem pokazywania na dworze termometrów i eolipil zbuntowali już jednego z książąt krwi? I cóżby rzekł ten cesarz, gdyby przeczytał nasze historie, gdyby znał czasy naszej Ligi i naszego spisku prochowego?

Wystarczyło mu to, że dowiedział się o nieprzystojnych waśniach jezuitów, dominikanów, kapucynów i duchownych świeckich—wysłanych z krańców świata do jego państwa; przybyli głosić

prawdę, a wzajemnie rzucali na siebie klątwy. Cesarz więc tyle tylko uczynił, że odesłał obcych wicherzycieli. Ale jakże dobrotliwie ich odesłał! Jakże po ojcowsku zatroszczył się o ich podróż, nie chcąc dopuścić do tego, aby im w drodze urągano! Nawet ich wygnanie było przykładem tolerancji i ludzkości.

Japończycy byli najbardziej tolerancyjni ze wszystkich ludzi. Dwanaście spokojnych religii ugruntowało się w ich państwie. Jezuita przybył, by wnieść trzynastą, ale że wnet nie chcieli cierpieć innych, wiadomo, co z tego wynikło. Spustoszyła kraj wojna domowa nie mniej straszna niż wojna Ligi. Religia chrześcijańska została utopiona w potokach krwi. Japończycy zamknęli swe państwo dla reszty świata i uważali nas już tylko za dzikie zwierzęta podobne do tych, z których Anglicy oczyścili swą wyspę. Na próżno minister Colbert czując, że potrzebujemy Japończyków, którzy nie potrzebują nas zupełnie, usiłował nawiązać stosunki handlowe z ich państwem. Okazali się nieugięci.

Tak więc cały nasz kontynent dostarcza dowodów, że nie należy ani głosić, ani stosować tolerancji.

Rzućcie okiem na drugą półkulę: spójrzcie na Karolinę, której prawo-

dawcąbyłmądry Locke. Wystarcza tam siedmiu ojców rodziny, aby ustanowićkult publiczny uznany przez prawo; ta swoboda nie zrodziłażadnego nieładu. Nie przytaczamy—brońBoże!—tego przykładu celem zachęcenia Francji, aby go naśladowała. Mówimy o tym, aby pokazać, że z największej przesady, do jakiej mogłaby dojśćtolerancja, nie wynikły najmniejsze niesnaski. Jednakże to, co jest bardzo pożyteczne i bardzo dobre w powstającej dopiero kolonii, nie jest na miejscu w starym królestwie.

Cóżpowiemy o tych ludziach prostodusznych, których na urągowisko nazwano *quakers* .a którzy—mając obyczaje może iśmieszne—byli tak cnotliwi i daremnie uczyli innych ludzi pokoju? Jest ich w Pensylwanii sto tysięcy. Waśni spór nie znane sąw szczęśliwej ojczyźnie, którąsobie stworzyli, a jużsamo imięich miasta Filadelfii , w każdej chwili przypominające im, że ludzie sąbraćmi, jest wzorem i hańbądla ludów nie znających jeszcze tolerancji.

Jednym słowem, tego rodzaju tolerancja nigdy nie wznieciła wojny domowej, nietolerancja pokryła ziemiętrupami. Niech sięteraz rozstrzygnie sprawa między tymi dwiema rywalkami: między matką, która chce, aby zamordowano jej syna, i matką, która ustępuje, byleby tylkożył.

Przemawiam tu jedynie w imiędobra narodów, a szanując, jak powinienem, teologię, mam w tym rozdziale na uwadze wyłącznie dobro fizyczne i moralne społeczeństwa. Błagam wszystkich czytelników bezstronnych, aby rozważyli te prawdy, poprawili je i rozszerzyli. Uważni czytelnicy, którzy dzieląsięswymi myślami, idązawsze dalej niżautor.

ROZDZIAŁ PIĄTY

JAK MOŻNA ZAPROWADZIĆ TOLERANCJĘ

Śmiem przypuszczać, że minister światły i wielkoduszny, prałat ludzki i mądry, władca, który wie, że jego interes zasada się na wielkiej liczbie poddanych, a jego sława na ich szczęściu, raczy rzucić okiem na to pismo niedoskonałe i niekompletne, uzupełni je swoją wiedzą oraz powie sobie: „Czyżby mi to czym groziło, gdybym ujrzał ziemię uprawianą i przyozdobianą przez więcej rąk pracowitych, zwiększone daniny, państwo bardziej kwitnące?”

Niemcy byłyby pustynią pokrytą kościołami katolików, luteranów, kalwinistów oraz anabaptystów, którzy by się nawzajem pozabijali, gdyby pokój westfalski nie przyniósł końca wolności sumienia.

Mamy żydów w Bordeaux, w Metz, w Alzacji. Mamy luteranów, molinistów, jansenistów. Czy nie możemy znosić kalwinistów stawiając im takie same warunki, na jakich katolicy tolerowani są w Londynie? Im więcej jest sekt, tym mniej każda z nich jest niebezpieczna. Mnogość je osłabia. Każdą z nich hamują słuszne prawa, które zabraniają burzliwych zgromadzeń, obelg, buntów, a mają zawsze moc obowiązującą dzięki sile przymusu.

Wiemy, że nie jeden ojciec rodziny, który dorobił się wielkiej fortuny w obcych krajach, gotów jest wrócić do swej ojczyzny. Ci ojcowie rodzin żądają jedynie opieki w myśl prawa naturalnego, ważności swych małżeństw, pewności stanowiska społecznego swych dzieci, prawa dziedziczenia po swych ojcach, wolności osobistej, a wcale

nieświętyń publicznych, wcale nie prawa do urzędów miejskich, do godności. Katolicy nie majątego ani w Londynie, ani w wielu innych krajach. Nie chodzi już o nadanie olbrzymich przywilejów czy twierdz jednemu stronnictwu, lecz o to, by pozwolono żyć spokojnemu ludowi, by złagodzone edykty, które niegdyś były może potrzebne, a już nie są potrzebne. Nie nasza jest rzeczą wskazywać ministerium, co ono ma uczynić. Dość jest błagać za nieszczęśliwymi.

Ile jest środków mogących uczynić z nich ludzi użytecznych i zapobiec, aby się nigdy nie stali niebezpieczni! Poparta siłą roztropność ministeriumi Rady bardzo łatwo znajdzie środki, z których tak szczęśliwie korzysta tyle innych narodów.

Są jeszcze fanatycy wśród motłochu kalwińskiego, ale nie ulega wątpliwości, że jest ich o wiele więcej wśród motłochu konwulsyjnego. Znikły prawie obłąkane szumowiny spod znaku świętego Medarda, a zupełnie przestały istnieć szumowiny zwane prorokami kalwińskimi. Wspaniałym środkiem do zmniejszenia liczby maniaków, jeżeli coś tam ich jeszcze zostało, jest oddanie tej choroby ducha pod władzę rozumu, który oświeca ludzi z wolna, lecz niezawodnie. Rozum jest łagodny, jest ludzki, napawa pobłażaniem, tłumi niezgodę, umacnia cnotę, umila posłuszeństwo wobec praw, dla których lepsza jest podporządkowanie. A czyż nie jest śmieszność, która dzisiaj dla wszystkich przyzwoitych ludzi wiąże się ekstazami? Ta śmieszność jest potężnąaporą przeciwko dziwactwom wszelkich sekciarzy. Nie liczą się czasy minione. Trzeba zawsze wychodzić z tego punktu, w którym się znajdujemy, stąd, dokąd doszły narody.

Były czasy, gdy poczytywano sobie za obowiązek ferować wyroki przeciwko tym, którzy głosili

naukęsprzecznąz kategoriami Arystotelesa, ze strachem przed próżnią, z istotami rzeczy i z powszechnikamia *parte rei*.Mamy w Europie ponad sto ksiąg prawniczych traktujących o czarach i sposobach odróżniania czarowników fałszywych od prawdziwych. Klątwa na szarańczęi na owady szkodliwe dla plonów miała szerokie zastosowanie i sąo niej wzmianki w wielu agendach. Zwyczaj ten należy do przeszłości. Pozostawia sięw spokoju Arystotelesa, czarowników i szarańczę. Przykłady tych szaleństw, tak ongi niebezpiecznych, sąniezliczone. Od czasu do czasu straszające szaleństwa, ale obracająsięwniwecz, gdy już. zrobiły swoje, a ludzie doznali przesytu. Jeżeliby ktośwbіłsobie dzisiaj w głowę, że jest karpokracjaninem, eutychaninem lub monoteletą, monofizytą, nestorianinem, manichejczykiem itd., to czegożby dopiął?Śmiano by sięz niego jak z człowieka ubranego po staroświecku, noszącego krezęi kaftan.

Narodowi poczęły otwieraćsięoczy, gdy jezuici Le Tellier i Doucin spreparowali bullę *Unigenitusi* posłali jądo Rzymu; mniemali, żeżyjąjeszcze w czasach niewiedzy, gdy ludy bezkrytycznie przyjmowały najniedorzeczniejsze twierdzenia.Śmieli potępićto zdanie, które jest prawdąpowszechnąwe wszystkich przypadkach i po wszystkie czasy: „Obawa przed niesprawiedliwąklątwanie powinna nikomu przeszkadzaćw wykonywaniu tego, co nakazuje obowiązek." Było to wyrugowaniem rozumu, przekreśleniem swobód Kościoła gallikańskiego i fundamentu moralności. Znaczyło to, że mówi sięludziom: „Bóg wam każe, abyście nigdy nie wykonywali swojego obowiązku, skoro tylkożywicie obawęprzed niesprawiedliwością." Nigdy bezczelniej nie wystawiano zdrowego rozsądku na urągowisko. Doradcy Rzymu nie zważali na to. Przekonano dwór rzymski, że ta bulla była konieczna iże naród jej pragnął. Została podpisana, opieczętowana i wysłana. Wiadome sajej następstwa. Gdyby

je przewidziano, złagodzono by, oczywiście, bullę. Kłótnie były gwałtowne. Uśmierzyła je w końcu roztropność dobroć króla.

Istnieje jeszcze wiele spraw, które dzielą protestantów i nas. Jedne z nich nie mają znaczenia, inne są poważniejsze, ale i co do nich zaciekłość dysput tak bardzo osłabła, że sami protestanci zaniechali dziś kontrowersji w swoich kościołach.

Mamy więc czasy odrzuty, przesytu albo raczej czasy rozumu, czasy, które można uważać za epokę ręki mięspokoju publicznego. Waśń religijna jest chorobą epidemiczną już wygasającą. Ta zaraza, z której wyszliśmy cało, wymaga obecnie już tylko łagodnej terapii. Słowem, leży w interesie państwa, aby wygnani synowie skromnie powrócili do swego ojca. Człowieczeństwo tego żąda, doradza to rozum, a polityka nie może się przed tym wzdragać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

CZY NIETOLERANCJA WYNIKA Z PRAWA NATURALNEGO I Z PRAWA LUDZKIEGO

Prawem naturalnym jest to, co natura przykazuje wszystkim ludziom. Wychowałeś dziecko, winno ci ono szacunek, jako swemu ojcu, wdzięczność, jako swemu dobroczyńcy. Masz prawo do płodów ziemi, którą uprawiałeś własnymi rękami. Dałeś i otrzymałeś słowo, winno być ono dotzymane.

W żadnym razie prawo ludzkie nie może się opierać na czymś innym niż na prawie natury. Zasadą wielką, zasadą powszechną obu praw jest na całej ziemi: „Nie czyni drugiemu, co tobie niemiło.” Otóż nie widać sposobu, aby w zgodzie z tym prawem jeden człowiek mógł powiedzieć do drugiego: „Wierz w to, w co ja wierzę, a w co ty wierzyć nie możesz; inaczej zginiesz.” Tak się mówi w Portugalii, w Hiszpanii, w Goa. Obecnie w niektórych krajach przestaje się na tym, że się mówi: „Wierz albo ciężko cię nawidzę. Wierz albo wyrządzę ci wszelkie zło, na jakie się będę mógł zdobyć. Potworze, nie wyznajesz mojej religii, nie masz przeto żadnej religii. Niechże cię mają ohydnie twoi sąsiedzi, twoje miasto, twoja prowincja.”

Jeżeli by takie postępowanie wynikało z prawa ludzkiego. Japończyk nienawidziłby Chińczyka, Chińczyk zaś śmiałby odrazę do Syjamczyka. Ów prześladowałby Gangarydów, a ci rzuciliby się na mieszkańców Hindostanu. Mongoł wydarłby serce pierwszemu z brzegu Malabarczykowi, którego by napotkał, Malabarczyk mógłby udusić Persa, Pers

mógłby zarżnąć Turka, a wszyscy razem rzuciliby się na chrześcijan, którzy tak długo pożerali się wzajemnie.

A więc prawo nietolerancji jest niedorzeczne i barbarzyńskie. To prawo tygrysie. Ale jest ono tym straszniejsze, że tygrysy rozszarpują to, aby jeśćmy zaś wyniszczyliśmy się dla paragrafów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CZY GRECY ZNALI NIETOLERANCJĘ

Wszystkie ludy, o których historia pozostawiła nam trochę słabszych wiadomości, uważały swoje odrębne religie za węzły łączące je w jedność. Było związkiem rodzaju ludzkiego. Istniała pewna postać prawa gościnności zarówno między bogami, jak i między ludźmi. Gdy cudzoziemiec przybywał do miasta, na samym wstępie oddawał cześć bogom kraju. Czczono nawet bogów swych nieprzyjaciół. Trojanie wznosili modły do bogów, którzy walczyli po stronie Greków.

Aleksander udał się do pustyni Libii, aby zasięgnąć rady boga Ammona, któremu Grecy nadali imię

Zeusa, a Latynowie Jowisza, chociaż jedni i drudzy mieli u siebie swego Zeusa i swego Jowisza. Gdy oblegano miasto, składano ofiarę bogom miasta i zanoszono do nich modlitwy, aby sobie zjednać ich przychylność. W ten sposób nawet wśród wojny religia łączyła ludzi i jeżeli nieraz popychała ich do czynów nieludzkich i strasznych, to nieraz również powściągała ich uniesienia.

Może się mylę, ale wydaje mi się, że żaden z cywilizowanych ludów starożytnych nie krępował swobody myślenia. Wszystkie ówczesne ludy miały swoją religię, sądzę jednak, że postępowały z ludźmi tak jak ze swymi bogami: uznawały boga najwyższego, ale przydawały mu ogromną ilość bóstw niższych. Miały tylko jeden kult, ale dopuszczały całe mnóstwo systemów szczegółowych.

Grecy, na przykład, jakkolwiek byli głęboko wierzący, pozwolili jednak, aby epikurejczycy przeczyli istnieniu

Opatrzności i istnieniu duszy. Nie mówię już o wszystkich innych sektach, które obrażały zdrowe pojęcia, jakie powinno się mieć Stwórcy, a jednak wszystkie były tolerowane.

Powiadają, że Sokrates, który najbardziej zbliżył się do poznania Stworzyciela, poniósł za to karę umarł jako męczennik Bóstwa. Był jedynym, któremu Grecy kazali umrzeć za swe poglądy. Jeżeli taka była rzeczywiście przyczyna jego skazania, nie przynosi to zaszczytu nietolerancji, po-

nieważ ukarano li tylko tego, który właśnie oddał cześć Bogu, a uszanowano tych wszystkich, którzy podsuwali najniegodziwsze pojęcia o Bóstwie. Moim zdaniem, wrogowie tolerancji nie powinni powoływać się na ohydny przykład sędziów Sokratesa.

Zresztą jest rzeczą oczywistą, że byłem ofiarą rozsierzonego nastroju szaleńców. Zrobiłem sobie nieprzejeźdźnych wrogów z sofistów, z krasomówców, z poetów, którzy nauczali w szkołach, a nawet ze wszystkich wychowawców, którzy mieli staranie o dzieci rodzin znakomitych. W swej mowie, podanej przez Platona, wyznaje sam, że chodził od domu do domu, aby dowieść tym wychowawcom, że byli li tylko nieukami. To postępowanie nie było godne człowieka uznanego przez wyrocznię za najmądrszego z ludzi. Poszczuto na niego kapłana i członka Rady Pięciuset, którzy go oskarżyli. Wyznaję, że nie wiem dokładnie o co, bo w jego *Apologii* dostrzegam tylko mętność; każe się powiedzieć ogólnie Sokratesowi, że posądzono go o podszeptywanie młodym ludziom sentencji przeciw religii i rządowi. Tym sposobem co dzień posługują się światu oszczercy, ale w trybunale potrzeba faktów udowodnionych, ściśłego i szczegółowego ujęcia głównych punktów oskarżenia, czego proces Sokratesa wcale nie

dostarcza. Wiemy tylko, że na początku Sokrates miał za sobą dwadzieścia głosów. Trybunał Pięciuset miał więc dwustu dwudziestu filozofów. To dużo; wątpię, czy znaleziono by ich tylu gdzie indziej. Na koniec większość powiedziała się za cykutą; ale pamiętajmy również, że odknawszy się Ateńczycy poczuli odrazę do oskarżycieli i do sędziów, że Melitus, główny sprawca tego wyroku, został za to bezprawie skazany na śmierć, że innych skazano na wygnanie i że wzniesiono świątynię Sokratesowi. Nigdy tak wspaniale nie pomszczono filozofii ani też tak jej nie uczczono. Przykład Sokratesa jest w istocie najstraszniejszym argumentem, jaki by można wytoczyć przeciwko nietolerancji. Ateńczycy mieli ołtarz poświęcony bogom obcym, bogom, których nie mogli znać. Czy istnieje wymowniejszy dowód nie tylko pobłażania wszystkim narodom, ale i szacunku dla ich kultów?

Pewien godny człowiek, który nie jest wrogiem ani rozumu, ani literatury, ani uczciwości, ani ojczyzny, usprawiedliwiając ostatnio noc świętego Bartłomieja, powołuje się na wojnę Focyjczyków noszącą miano wojny świętej, jak gdyby tę wojnę wznieciły sprawy kultu, dogmatów czy też racje teologiczne; chodziło o ustalenie, do kogo należy pole – to jest przedmiotem wszystkich wojen. Snopy zboża nie są symbolem wiary. Nigdy żadne greckie miasto nie walczyło za swe poglądy. Zresztą czegożąda ten człowiek łagodny i skromny? Czy chce, abyśmy wszczęli wojnę świętą?

ROZDZIAŁ ÓSMY

CZY RZYMianie BYLI TOLERANCYJNI

U starożytnych Rzymian od czasów Romulusa aż do chwili, gdy chrześcijanie walczyli z kapłanami cesarstwa, nie spotkacie ani jednego człowieka prześladowanego za swe zapatrywania. Cycero wątpił wszystkim, Lukrecjusz wszystkiemu zaprzeczał — i nie czyniono im z tego powodu najłżejszego zarzutu. Swoboda posunęła się aż tak daleko, że Pliniusz Przyrodnik na samym początku swej księgi przeczy istnieniu Boga mówiąc, że jeśli jakiś Bóg istnieje, to jest nim słońce. Cycero, wspominając otchłanie piekielne, powiada: „*Non est anus lam excors, quae credat.*” — „Nie ma tak głupiej staruszki, która by w nie wierzyła.” Juwenalis powiedział: „*Nec pueri credunt.*” — „Dzieci już w nie nie wierzą,” (*Satyra II*, wiersz 152.) Śpiewano w teatrze rzymskim:

Post mortem nihil est. ipsaque mors nihil.

(Niczego nie ma po śmierci, niczym jest sama śmierć.)

Seneka .*Troades*. chór na końcu drugiego aktu.

Brzydzić się musimy tymi maksymami, co najwyżej możemy wybaczyć ludowi, którego nie oświecały Ewangelie. Zdania te są błędne, są bezbożne, ale wyciągnijmy stąd wniosek, że Rzymianie byli bardzo tolerancyjni, skoro nigdy nie wywołały one najłżejszego szemrania.

Wielką zasadą senatu i ludu rzymskiego było: „*Deorum offensae diis curae.*” - „Niech sami bogowie troszczą się o

obelgi wyrządzone bogom." Ten lud-król myślał jedynie o tym, by świat podbić, rządzić nim i cywilizować go. Rzymianie byli wobec nas tak samo prawodawcami, jak i zwycięzcami. Nigdy Cezar, który przyniósł nam kajdany, prawa i igrzyska, nie pragnął nas zmusić, abyśmy dla niego opuścili naszych druidów, jakkolwiek był arcykapłanem narodu władającego nad nami.

Rzymianie nie byli wyznawcami wszystkich religii, nie wszystkim nadawali sankcję publiczną, ale pozwalali istnieć wszystkim. Za Numy nie mieli żadnego materialnego przedmiotu czci religijnej: ani bałwanów, ani posągów. Wkrótce wznieśli je bogom *maiorum gentium*, których dali im poznać Grecy. Prawo dwunastu tablic- „*Deos peregrinos ne colunto*”-dopuszczało jedynie kult publiczny tych bóstw, które uznał senat. Izolda miała w Rzymie świątynię aż do czasu, gdy zburzył ją Tyberiusz, kiedy to kapłani tej świątyni, przekupieni pieniędzmi Mundusa, kazali mu pod imieniem boga Anubisa spać w tej świątyni z kobietą imieniem Paulina.

Co prawda, historię tę opowiada tylko jeden Józef. Nie był on świadkiem współczesnym, odznaczał się łatwowiernością i lubił przesadzać. Jest mało prawdopodobne, jakoby w czasach tak oświeconych jak czasy Tyberiusza dama najwyższego stanu była na tyle głupia, by wierzyć, że jest w łaskach u boga Anubisa.

Ale czy ta anegdota jest prawdziwa, czy też wymyślona; pozostaje rzeczą pewną, że zabobon egipski wzniósł w Rzymie świątynię za zgodą powszechną. Żydzi handlowali tam od czasu wojen punickich, mieli swe synagogi za rządów Augusta i później nie tracili ich prawie nigdy, podobnie jak w Rzymie współczesnym. Czy jest lepszy przykład na to, że Rzymianie uważali tolerancję za najświętszą ustawę prawa ludzkiego?

Mówiąnam, że chrześcijan, gdy się tylko pojawili, prześladowali ci sami Rzymianie, którzy nie prześladowali nikogo. Wydaje mi się rzeczاً oczywistą, że ta sprawa jest zmyślona. By tego dowieść, nie chcę się powoływać na nikogo innego prócz samego świętego Pawła. Dzieje Apostolskie donoszą, że gdy Żydzi oskarżyli świętego Pawła, iż chce zburzyć zakon Mojżeszowy za pomocą nauki Jezusa Chrystusa, święty Jakub przedstawił świętemu Pawłowi, aby kazał ogolić sobie głowę razem z czterema Żydami poszedłoczyści się do świątyni, „a wtedy wszyscy przekonają się, że w tym, czego się dowiedzieli o tobie, nie tylko nie ma żadźbła prawdy, lecz że ty sam przestrzegasz Prawa na równi z nimi”.

Paweł, chrześcijanin, poszedł więc, by przez siedem dni wypełniać wszystkie obrządki żydowskie, ale siedem dni jeszcze nie upłynęło, gdy rozpoznali go Żydowie z Azji i widząc, że wszedł do świątyni nie tylko z Żydami, ale i z poganami, krzyczeli, że splugawił miejsce święte. Pojmano go i zaprowadzono przed wielkiego rządcę Feliksa, a potem zwrócono się do trybunału Festusa. Tłum Żydów domagał się śmierci; Festus im odpowiedział: „Rzymianie nie mają zwyczaju wydawania kogokolwiek, zanim oskarżony nie stanie wobec oskarżycieli i nie będzie miał możności bronięcia się przed zarzutami.”

Te słowa są tym godniejsze uwagi w ustach tego urzędnika rzymskiego, że zdawał się nie mieć żadnego szacunku dla świętego Pawła i odczuwał dlań tylko pogardę. Oszukany fałszywym światłem swego rozumu, wziął go za obłąkanego. Powiedział jemu samemu, że uważa go za obłąkańca: „*Multae te litterae ad insaniam convertunt.*” Festus słuchał więc tylko sprawiedliwości prawa rzymskiego biorąc pod opiekę nieznanego, którego nie mógł poważać.

Tak sam Duch Święty oznajmia, że Rzymianie nie byli prześladowcami i że byli sprawiedliwi. To nie Rzymianie podnieśli się przeciwko świętemu Pawłowi, lecz Żydzi. Święty Jakub, brat Jezusa, został ukamienowany na rozkaz Żyda saduceusza, a nie Rzymianina. Sami Żydzi ukamienowali świętego Szczepana, a gdy święty Paweł strzegł płaszczy oprawców, z pewnością nie występował jako obywatel rzymski.

Pierwsi chrześcijanie na pewno nie mieli żadnych zatargów z Rzymianami, nieprzyjaciół mieli tylko w Żydach, od których zaczęli się oddzielać. Wiemy, jaką nieubłaganą nienawiścią ścigają sekciarze tych, którzy odbiegają od ich sekty.

Niewątpliwie w synagogach rzymskich miały miejsce jakieś zamieszki. W swym *Żywocie Klaudiusza* (rozdział XXV) Swetoniusz powiada: „*Judaeos, impulsore Christo, assidue tumultuantes, Roma expulit.*” Mylił się mówiąc, że to było za poduszczeniem Chrystusa: nie mógłbyć szczegółowo poinformowany o narodzie tak w Rzymie pogardzanym jak naród żydowski, ale nie mylił się co do powodów tych waśni. Swetoniusz pisał za panowania Hadriana, w II wieku. W oczach Rzymian chrześcijanie nie odróżniali się wtedy jeszcze od Żydów. Ustęp ze Swetoniusza świadczy o tym, że Rzymianie, dalecy od uciskania pierwszych chrześcijan, karcili wtedy Żydów, którzy chrześcijan prześladowali. Chcieli, aby synagoga rzymska okazywała swym odoszczepieńczym braciom tę samą pobłażliwość, jaką miał dla niej senat. A wygnani Żydzi wnet potem wrócili. Doszli nawet do zaszczytów mimo ustaw, które tego zabraniały. Powiadają o tym Dion Kasjusz i Ulpian. Czy jest możliwe, aby po zburzeniu Jerozolimy cesarze hojnie obdarzali Żydów dostojenstwami, a prze-

śladowali, wydając na pastwękatów i dzikich zwierząt, chrześcijan, których uważano za sektę żydowską?

Powiadają, że Neron ich prześladował. Tacyt podaje, że byli oskarżeni o podpalenie Rzymu i że zostawiono ich wściekłemu gniewowi ludu. Czyżw takim oskarżeniu chodziło o ich wiarę? Z pewnością —nie. Czyżpowiemy, że Chińczyków, których kilka lat temu Holendrzy pomordowali na przedmieściach Batawii, złożono w ofierze religii? Jakkolwiekby kto pragnąłulegaćzłudzeniom, jest niemożliwościąprzypisywaćnietolerancji owe ciosy, które za Nerona spadły na paru nieszczęsnych pójżydów i półchrześcijan.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O MĘCZENNIKACH

Byli następnie męczennicy chrześcijańscy. Bardzo trudno jest ustalić, z jakich przyczyn skazywano tych męczenników, aleśmiem przypuszczać, że za pierwszych cesarówżaden z nich nie zostałskazany dla samej religii, skoro tolerowano je wszystkie. Jakżeby było możnaścigać prześladowaćludzi nieznanych, którzy mieli swój własny kult, w czasach gdy dopuszczano wszystkie inne wierzenia?

Tacy cesarze, jak Tytus, Trajan, Antoninowie, Decjusz, nie byli barbarzyńcami, czyżwięc można sobie wyobrazić, żeby jedynie chrześcijan pozbawili wolności, którącieszyła sięcała ziemia? Czyżby w ogóle ważyli sięoskarżycich o uprawianie tajemnych misteriów, podczas gdy misteria Izydy, misteria Mitry, misteria bogini syryjskiej, wszystkie obce kultowi rzymskiemu, były dozwolone bezżadnego sprzeciwu? Musiały działaćinne jeszcze przyczyny prześladowańi pewnie osobiste wrogości, poparte racjąstanu, sprawiły, że połała siękrew chrześcijan.

Gdy, na przykład, święty Wawrzyniec odmawia prefektowi Rzymu, Korneliuszowi Sekularowi, pieniędzy chrześcijan, które ma w swej pieczy, jest rzecząnaturalną, że prefekt i cesarz popadająw gniew. Nie wiedzieli, żeświęty Wawrzyniec rozdzieliłte pieniądze między ubogich iże było uczynek miłosierny iświątobliwy. Uważali go za nieposłusznego prawu i skazali go naśmierć.

Zastanówmy sięnad męczeństwemświętego Polieukta. Czyżskazano go tylko za jego wiarę? Idzie doświątyni, gdzie właśnie składa siędziałczynienia bogom za zwycięstwo odniesione przez cesarza Decjusza. Tam znieważa ofiarników, wyraca i rozbija ołtarze i posągi. W jakimżto

kraju na świecie wybaczone by podobny zamach?
Chrześcijanin, który podał publicznie edykt cesarza
Dioklecjana iściągnął na swych braci wielkie prześladowania
w ciągu dwu ostatnich lat rządów tego władcy, nie okazał
żarliwości zgodnej z rozsądkiem i biadał, że
stał się przyczyną niedoli swego stronnictwa. Niebaczny
fanatyzm, który często wybuchał nawet był potępiony przez
wielu ojców Kościoła, stał się prawdopodobnie źródłem
wszystkich prześladowań.

Oczywiście, nie porównuję pierwszych sakramentarzy z
pierwszymi chrześcijanami, nie stawiam bynajmniej błędu
obok prawdy, ale Farel, poprzednik Jana Kalwina, uczynił w
Arles to samo, co święty Polieukt uczynił w Armenii. Niesiono
w procesji ulicami statuetkę świętego Antoniego Pustelnika.

Farel z garścią swoich wpada na mnichów
niosących świętego Antoniego, bije ich, rozpędza i
rzucił świętego Antoniego do rzeki. Zasłużył na śmierć, której
nie poniósł, gdyż starczyło mu czasu do ucieczki. Gdyby
poprzestał na tym, aby krzyczeć do zakonników, że nie wierzy,
jakoby kruk przyniósł połowę chleba świętemu Antoniemu
Pustelnikowi ani też jakoby święty Antoni toczył rozmowy z
satyrami i centaurami, zasłużyłby na surową nagannę,
ponieważ zakłóciłby porządek. Ale jeżeliby wieczorem po
procesji spokojnie roztrząsał historię kruków, centaurów i
satyrów, nie można by mu niczego wytknąć.

Jak to? Rzymianie mieliby ścierpieć, aby bezecny Antinous
został zaliczony w poczet drugorzędnych bogów, a
rozdzieliliby, rzucaliby na pastwę dzikim zwierzętom tych
wszystkich, którym można było zarzucić tylko to, że spokojnie
oddawali cześć prawemu Bogu? Jak to? Mieliby
uznawać Boga najwyższego, Boga wszechpotężnego, pana
wszystkich bogów niższych, czemu daje świadectwo

formuła „*Deus optimus maximus*”, i jednocześnie ścigać tych, którzy czcili Boga jedyne go?

Jest rzeczą niewiarogodną, aby kiedykolwiek za cesarzy toczono śledztwo przeciwko chrześcijanom, to znaczy, aby ktoś przychodził przesłuchiwać w sprawach wiary. W tej mierze nie niepokojono nigdy ani Żyda, ani Syryjczyka, ani Egipcjanina, ani bardów, ani druidów, ani filozofów. Męczennicy więc to byli ci, którzy powstawali przeciwko fałszywym bogom. Nie wierzyli w nich, było to sprawą wielkiej mądrości, wielkiej pobożności, ale jeżeli w końcu, nie poprzestając na wielbieniu Boga w duchu i w prawdzie, męczennicy unosili się gwałtownie przeciwko przyjętemu kultowi, jakkolwiek on był niedorzeczny, musimy przyznać, że to oni sami byli nietolerancyjni.

W swym *Apologetyku* Tertulian potwierdza, że uważano chrześcijan za bulwników. Oskarżenie było niesłuszne, ale dowodziło, że to nie sama religia chrześcijan wzmacniała gorliwość urzędników. Tertulian przyznaje, że chrześcijanie wzbranieli się przed zdobieniem swych bram gałęziami, wawrzynu w czasie igrzysk publicznych z okazji zwycięstw odniesionych przez cesarzy. Tę karygodną przesadę łatwo można było wziąć za zbrod-

nięprawą wywarłą na chrześcijanach Domicjana, ale ograniczała się ona do ich wygnania, które nie trwało nawet roku. "*Facile coeptum repressit, restitum etiam quos relegaverat*" - mówi Tertulian (rozdział V). Laktancjusz, w którego stylu tyle jest zapalczywość, przyświadcza, że od Domicjana do Decjusza Kościół żył w spokoju, rozkwicie. Ten długi spokój, powiada, skończył się, gdy owo szkaradne zwierzę, Decjusz, uciemiężyło Kościół: „*Exstitit enim post annos plurimos execrabile animal Decius, qui vexaret Ecclesiam*”. (*Apol.c. IV.*)

Nie chcemy tu rozważać poglądu uczonego Dodwella, że liczba męczenników była mała, ale jeżeli prześladowano w Rzymie religię chrześcijańską, jeżeli senat kazało niewinnym umierać w niezwykłych męczarniach, jeżeli Rzymianie pogrążali chrześcijan we wrzącej oliwie jeżeli wystawiali nagie dziewczęta na pastwędziskich zwierząt w cyrku to jakżeby mogli pozostawić w spokoju pierwszych biskupów rzymskich? Spośród nich za męczennika święty Ireneusz uważa tylko Telesfora umęczonego w roku 139 ery powszechnej, a i tu nie ma żadnego dowodu, że ów Telesfor został umięcony. Zefiryn kierował rządem rzymskim w ciągu osiemnastu lat i umarł spokojnie w roku 219. Prawda, że w starożytnych martyrologiach umieszczeni są prawie wszyscy pierwsi papieże, ale słowo *martyrium* używano podówczas tylko w znaczeniu prawdziwym: *martyrium* oznaczało „świadeństwo”, a nie „męczarnię”.

Trudno jest połączyć prześladowań z wolnością, z której korzystał, chrześcijanie zwołując pięćdziesiąt sześć synodów, tyle ich bowiem, według pisarzy kościelnych, odbyło się w pierwszych trzech wiekach.

Były prześladowania, ale gdyby były tak gwałtowne, jak się powiada, jest rzeczą prawdopodobną, że Tertulian, który pisał tak porywczością przeciwko panującemu kultowi, nie umarłby w swym łóżku. Wiadomo nam dobrze, że cesarze nie czytali *Apologetyka*, że to zapoznane, powstałe w Afryce dzieło nie dotarło do tych, w czyich rękach spoczywała władza nad światem, ale musiało być znane tym, którzy mieli przystęp do prokonsula Afryki, musiało sięgnąć wiele nienawiści na autora, a jednak nie poniósł męczeństwa.

Orygenes nauczał publicznie w Aleksandrii, a nie skazano go na śmierć. Ten sam Orygenes, który przemawiał tak swobodą do pogan i do chrześcijan, zwiastując Jezusa

pierwszym, przecząc wobec drugich istnieniu Boga w trzech osobach, potwierdza wyraźnie w swej trzeciej księdze przeciw Celsowi, „że bardzo mało było męczenników, i to jeszcze w znacznych odstępach czasu. Jednakże chrześcijanie—powiada—nie zaniedbują niczego, aby skłonić cały świat do przyjęcia ich religii. Przebiegają miasta, miasteczka, wsie."

Oczywiście, nieprzyjaźni kapłani i atwo mogli wnieść oskarżenie, że w tych ustawicznych wycieczkach szerzy się bunt, a jednak tolerowano te misje, na przekór ludowi egipskiemu, zawsze niesfornemu, wichrzyćielskiemu i tchórzliwemu, ludowi, który rozszarpał Rzymianina za zabicie kota, ludowi we wszystkich czasach godnemu pogardy, cokolwiek by mówili wielbiciiele piramid.

Któż powinien był bardziej podburzyć przeciwko sobie kapłanów i rząd niż święty Grzegorz Cudotwórca, uczeń Orygenes? Nocą Grzegorz ujrzał starca posłanego przez Boga, a przy nim niewiastę jaśniejącą światłem. Niewiasta była Najświętszą Dziewicą, a starzec był świętym Janem Ewangelistą. Święty Jan podyktował mu Skład Apostolski, który święty Grzegorz poszedł głosić. Dążąc do Nowej Cezarei przechodził obok świątyni, gdzie czyniono wróżby. Deszcz zmusił go spędzić w niej noc. Nakreślił tam parokrotnie znak krzyża. Na jutro wielki ofiarnik świątyni zdumiał się, że demony, które mu przedtem odpowiadały, nie chciały już stawiać wróżb. Wezwał je; diabły przybyły, aby mu powiedzieć, że już się więcej nie zjawiają. Powiadomiły go, że już nie mogą mieszkawć w tej świątyni, albowiem Grzegorz spędził tu noc i nakreślił znaki krzyża.

Ofiarnik kazał schwycić Grzegorza, który mu odpowiedział: „Mogę wypędzić demony, skąd zechcę, i kazać im wstąpić, dokąd mi się podoba.

Uczyńtedy - powiedziałofiarnik - aby wróciły do mejświętyni. Naonczas Grzegorz uderzyłskrawek ze zwoju, który trzymałw ręce,i skreśliłna nim te słowa: „Grzegorz do Szatana: Rozkazujęci powrócićdo tejświętyni." Położono bilecik na ołtarzu. Demony posłuchały i owego dnia, jak zwykle, wydawały wyrocznie, po czym, jak wiadomo, tego poniechały.

Zdarzenia te przytacza święty Grzegorz Nysseński w swymżywocięświętego Grzegorza Cudotwórcy. Kapłani bożków winni byli bez wątpienia oburzyćsięna Grzegorza i w swym zaślepieniu oskarżyćgo przed sądem, a tymczasem największy ich wróg nie doznał żadnego prześladowania.

Powiedziane jest w żywocięświętego Cypriana, że byłon pierwszym biskupem Kartaginy skazanym naśmierć. Męczeństwoświętego Cypriana datuje sięz roku 258 naszej ery, a więc w ciągu bardzo długiego czasużaden biskup Kartaginy nie zostałwydany naśmierćza swojąreligię. Historia nie mówi nam, jakie potwarze rzucano naświętego Cypriana, jakich miałwrogów, dlaczego prokonsul Afryki rozgniewałsięna niego.Święty Cyprian pisałdo Korneliusza, biskupa rzymskiego: „Było niedawno poruszenie ludu w Kartaginie i krzyczano dwakroć, że należy mnie rzucićlwom." Jest rzecząprawdopodobną, że zapalczywośćokrutnego ludu kartagińskiego stała sięna koniec przyczyną śmierciświętego Cypriana, a jest rzeczązupełnie pewną, że to nie cesarz Gallus skazałgo z tak daleka za jego wiarę, skoro zostawiałw spokoju Korneliusza , którego miałpod bokiem.

Tyle przyczyn tajemnych wikła sięczęsto z przyczynąjawną, tyle sprężyn nieznanych może spowodowaćprześladowanie jakiegośczłowieka, że w stuleciach późniejszych niepodobna jużrozpoznaćukrytegoźródła nieszczęśćludzi najznamienitszych, a cóżdopiero mówićo przyczynach

skazania zwykłego człowieka, którego mogli znać tylko ludzie jego stronnictwa.

Zwróćcie uwagę, że święty Grzegorz Cudotwórca i święty Dionizy, biskup Aleksandrii, żyli w czasach świętego Cypriana i nie zostali umęczeni. Dlaczego pozostawiono ich w spokoju, chociażbyli przynajmniej tak znani jak biskup Kartaginy? I dlaczego święty Cyprian został wydany na męczarnie? Czy nie ma pewnej poszlaki, że jeden trafił na wrogów osobistych i potężnych, na oszczerstwo kryjące się pod pozorem racji stanu, a inni mieli szczęście uniknąć złośliwości ludzkiej?

Niemożliwością jest, aby samo oskarżenie o chrześcijaństwo było przyczyną śmierci świętego Ignacego za czasów łagodnego i sprawiedliwego Trajana. skoro pozwolono chrześcijanom towarzyszyć mu i nieść pociechę, gdy go wieziono do Rzymu. W Antiochii, mieście zawsze skorym do

zamieszek, gdzie święty Ignacy był potajemnie biskupem chrześcijan, często wybuchały bunty. Może te rozruchy, złośliwie przypisywane niewinnym chrześcijanom, zwróciły na nich uwagę władz, które jak to zdarzało się zbyt często, zostały wprowadzone w błąd.

Świętego Szymona, na przykład, oskarżono przed Saporem o to, że jest szpiegiem Rzymian. Historia jego męczeństwa opowiada, że król Sapor zaproponował mu, aby oddał cześć słońcu, a my wiemy przecież, że Persowie wcale nie oddawali czci słońcu. Uważali je za znak widomy pierwiastka dobra, Oromaza czy Ormuzda, Boga-stworzyciela, którego uznawali.

Mimo naszej wielkiej tolerancji nie możemy pohamować w sobie niejakiego oburzenia na czcnych krasomówców, którzy

oskarżają Dioklecjana o to, że prześladował chrześcijan od chwili wstąpienia na tron. Zdajmy się na Euzebiusza z Cezarei, jego świadectwa nie można odrzucić. Ulubieńcowi, panegirysty Konstantyna, zjadłemu wrogowi poprzednich cesarzy trzeba wierzyć, kiedy ich broni. Oto jego słowa: „Cesarze długo dawali chrześcijanom wielkie dowody życzliwości, powierzali im prowincje, wielu chrześcijan przebywało w ich pałacu. Poślubiali nawet chrześcijanki. Dioklecjan pojął za żonę Priskę, której córka została żoną Maksymiana Galeriusza” itd.

Niech nas to stanowcze świadectwo oduczy rzucania oszczerstw. Rozsądźmy, czy prześladowania wzniecone przez Galeriusza po dziewiętnastu latach rządów spokojnych i dobroczynnych nie mogły mieć swego źródła w jakichś intrygach, których nie znamy.

Przyjrzyjmy się, w jakiej mierze niedorzeczna jest baśń o legionie tebaidskim czy też tebańskim, wyciętym, jak powiadają, co do nogi z przyczyn religijnych. To śmieszne, że sprowadzono ten legion z Azji przez Przełęcz Świętego Bernarda, to niemożliwe, aby przyzwano go z Azji dla uśmierzenia buntu Galów—w rok po stłumieniu tego buntu. Jest rzeczą nie mniej niemożliwą, aby wymordowano sześć tysięcy piechurów i siedmiuset jeźdźców w przejściu, gdzie dwustu ludzi mogłoby zatrzymać całą armię. Opowiadanie o tej domniemanej rzezi zaczyna się oczywistym fałszem: „Gdy ziemia jęczała pod tyranią Dioklecjana, niebo zaludniało się męczennikami.” Otóż ten wypadek, jak już wspomnieliśmy, umieszcza się w roku 286, w chwili gdy Dioklecjan najbardziej sprzyjał chrześcijanom, gdy cesarstwo rzymskie było najszczęśliwsze. Wreszcie coś, co by nam powinno oszczędzić wszelkich roztrząsań: nie istniał nigdy legion tebaidski. Rzymianie byli zbyt wyniośli i zbyt rozsądni, aby tworzyć legion z Egipcjan, którzy służyli w Rzymie tylko jako

niewolnicy- *verna Canopi* .To tak, jakby mieli legionżydowski.
Znamy imiona trzydziestu dwu legionów, które stanowiły
siłęorężnąimperium rzymskiego. Legionu tebaidskiego wcale
wśród nich nie spotykamy. Odrzućmy więc tębajkęrazem z
akrostychami Sybill przepowiadających cuda Jezusa
Chrystusa i razem z tyloma podrobionymi dokumentami,
których fałszywa gorliwośćnie szczędziła, aby
omamiać łatwowiernych.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O NIEBEZPIECZEŃSTWIE FAŁSZYWYCH LEGEND I O PRZEŚLADOWANIU

Kłamstwo przez długi czas sprowadzało ludzi na manowce. Pora już, abyśmy poznali niewiele prawd dających się rozeznaczyć przez chmury bajek, które od czasów Tacyta i Swetoniusza okryły historię rzymską i prawie zawsze osnuwały annały innych narodów starożytnych.

Jakże, na przykład, można uwierzyć, że Rzymianie, ów lud poważny i surowy, od którego dostaliśmy prawa, skazywali na nierząd dziewice chrześcijańskie, panny dobrze urodzone? Zła to znajomość nieubłaganego dostojeństwa naszych prawodawców, którzy tak surowo karali słabości westalek. *Dzieje szczerze* Ruinartha opowiadają o tych bezceństwach. ale czy mamy wierzyć *Dziejom* Ruinartha tak jak *Dziejom* Apostolskim? *Dzieje szczerem* ów Bollandus, że w mieście Ancyrze było siedem dziewcząt chrześcijańskich, z których każda liczyła około siedemdziesięciu lat, iż z wyroku gubernatora Teodekta miały przejść przez ręce młodych ludzi z miasta, ale ponieważ, jak wskazywał rozsądek, dziewczęta te oszczędzono, Teodekt zmusił je, aby całkiem nago służyły w misteriach Diany, na których przecieżnik nie występował bez kwefu. Święty Teodot, który wprowadził byt szynkarzem, ale to nie zmniejszało jego żarliwości, modlił się gorąco do Boga, aby dał umrzeć tym świętym pannom, co czynił w obawie, że ulegną pokusie. Bóg wysłuchał go; gubernator kazał przywiązać każdą z dziewcząt do szyi i rzucić do jeziora. Ukazały się natychmiast Teodotowi i prosiły go, aby

nie dozwolił, iżby ciała ich zostały zjedzone przez ryby. Tak brzmiały ich własne słowa.

Święty szynkarz udał się nocą z towarzyszami nad strzeżony przez żołnierzy brzeg jeziora. Niebiańska pochodnia szła bezustannie przed nimi, a gdy się znaleźli na miejscu, gdzie stały strażnicy, niebiański jeździec, uzbrojony od stóp do głów, ścigał je z włócznią w dłoni. Teodot wydobyl z jeziora ciała dziewic. Zaprowadzono go przed gubernatora, a niebiański jeździec nie przeszkodził, aby mu ucięto głowę. Będziemy wciąż powtarzać, że czcimy prawdziwych męczenników, ale trudno jest wierzyć w tę powiastkę Bollandusa i Ruinarta.

Czy zachodzi potrzeba, abyśmy tu przytoczyli bajkę o młodym świętym Romanie? Wrzucono go do ognia, mówi Euzebiusz, a obecni przy tym Żydzi urągali Jezusowi Chrystusowi, że pozwala palić swych wyznawców, gdy tymczasem Bóg wyciągnął Sydracha, Misacha i Abdenaga z ognistego pieca. Za ledwie to powiedzieli, a już święty Roman zstąpił tryumfalnie ze stosu. Cesarz rozkazał, aby mu darowano, i powiedział do sędziego, że nie chce mieć żadnego zatargu z Bogiem. Niestłychane to słowa w ustach Dioklecjana! Wbrew pobłażliwości cesarza sędzia kazał uciąć język świętemu Romanowi, a chociaż miał katów, polecił dokonać tej operacji lekarzowi. Młody Roman, który urodził się jakąś, mówił płynnie, odkąd ucięto mu język. Lekarz dostał nagany, aby więc pokazać, że operacja została dokonana według zasad sztuki, pochwycił przechodnia i uciął mu język dokładnie tak samo, jak uciął go świętemu Romanowi, na skutek czego przechodzień umarł natychmiast, albowiem—dorzuca uczenie autor—anatomia nas poucza, że człowiek bez języka nie zdołałby żyć. Doprawdy, jeśli to sam Euzebiusz napisał podobne banialuki, jeśli nie dorzucono ich do jego pism, to czyż można polegać na jego *Historii*?

Nie wymieniając autora podaje się nam opowieść o męczeństwie świętej Felicji i jej siedmiorga dzieci, wysłanych podobno na śmierć przez mądrego i pobożnego Antonina.

Prawdopodobnie jakiś autor bardziej żarliwy niż wiarogodny chciał naśladować historię Machabeuszów. Opowieść tak się zaczyna: „Święta Felicja była Rzymianką, która żyła za panowania Antonina.” Te słowa wskazują, że autor nie był współczesnym świętej Felicji. Powiada on, że pretor sądził świętą Felicję i jej dzieci przed swym trybunałem na Polu Marsowym, a tymczasem prefekt rzymski odprawiał sądy na Kapitolu, nie na Polu Marsowym, które odkąd przestało być miejscem obrad komicjów, służyło do parady żołnierskich, przejażdżek, igrzysk wojskowych. Już to dowodzi nieprawdy.

Powiedziano również, że gdy się już sąd odprawił, cesarz powierzył różnym sędziom pieczęć nad wykonaniem wyroku. Jest to najzupełniej sprzeczne z wszelkimi formalnościami tamtych czasów i wszystkich czasów.

Był również pewien święty Hipolit, o którym urojono sobie, że włączono go końmi jak Hipolita, syna Tezeusza. Starożytni Rzymianie nigdy nie znali takiej kary i jedynie samo podobieństwo imion dało powód do zmyślenia tej baśni.

Zważcie jeszcze, że w opowiadaniach o męczeństwach, układanych li tylko przez samych chrześcijan, widzimy prawie zawsze, jak tłum chrześcijan swobodnie przybywa do więzienia, w którym znajduje się skazany, towarzyszy mu na miejsce męczeństwa, zbiera jego krew, grzebie jego ciało, czyni cuda za pomocą relikwii. Jeżeli by tylko religię prześladowano, czyż nie wydano by na śmierć jawnych chrześcijan, którzy nieśli ostatnią posługę swym skazanym braciom i którym zarzucano, że dokonywali cudów nad szczątkami umęczonych ciał? Czyż nie obchodzono by się z nimi tak, jak

my obchodziliśmy się waldensami, albigensami, husytami, z różnymi sektami protestanckimi? Myśmy ich wycinali, palili całymi gromadami bez różnicy wieku i płci. Czyż w sprawdzonych opowieściach o prześladowaniach w dawnych wiekach istnieje chociażby jeden wypadek podobny do nocy świętego Bartłomieja i do rzezi irlandzkich? Czyżkolwiek tam przypomina doroczne święto obchodzone nadal w Tuluzie, święto okrutne, święto, które trzeba znieść raz na zawsze, święto, podczas którego cały lud zanosi w procesji dziękczynienie Bogu i raduje się tego, że przed dwustu laty zamordował cztery tysiące swych współobywateli?

Mówię to z obrzydzeniem, ale w poczuciu prawdy. To my, chrześcijanie, to my byliśmy prześladowcami, katami, mordercami! I czyimi? Naszych braci! To my zburzyliśmy sto miast trzymając krucyfiks lub Pismo Święte w ręku, to my nie zaprzestaliśmy przelewać krwi i zapalać stosów od panowania Konstantyna aż do szaleństw ludożerców zamieszkujących dawniej Sewenny, szaleństw, które, Bogu dzięki, już nam nie grożą.

Posyłamy jeszcze niekiedy na szubienicę biedaków z Poitou, z Vivarais, z Valence, z Montauban. Od roku 1745 powiesiliśmy osiem osób spośród tych, których nazywamy predykantami albo posłami Ewangelii. Nie popełniły one żadnej innej zbrodni prócz tej, że modły za króla zasyłały do Boga w gwarze i że dawały kroplę wina i kruszynę chleba na drożdżach garstce głupich chłopów. Nie wie się o tym w Paryżu, gdzie zabawa jest jedyną rzeczą ważną, gdzie nikt się nie orientuje, co się dzieje na prowincji i za granicą. Tego rodzaju sprawy rozstrzygają się w jednej chwili, szybciej, niż się sądzi dezertera. Gdyby król było tym poinformowany, okazałby łaskę.

Nikt nie obchodzi się ten sposób z duchownymi katolickimi w krajach protestanckich. Jest ponad stu księży katolickich w Anglii i Irlandii. Znani są, pozwolono im żyć nader spokojnie podczas ostatniej wojny .

Czy mamy zawsze na ostatku przyjmować zdrowe poglądy innych narodów? One się poprawiły, kiedyż więc my się poprawimy? Trzeba nam było sześćdziesięciu lat, aby przyswoić sobie to, czego dowiódł Newton. Ledwie zaczynamy zdobywać się na odwagę, by ratować życie naszych dzieci szczepieniem ospy . Dopiero od bardzo niedawna stosujemy właściwe zasady uprawy roli. Kiedy zaczniemy stosować właściwe zasady człowieczeństwa? Z jakim czołem możemy zarzucać poganom, że stworzyli męczenników, jeżeli dopuściliśmy się takiego samego okrucieństwa w takich samych okolicznościach?

Założmy, że Rzymianie zadali śmierć wielu chrześcijanom z powodów religijnych. W takim razie zasłużyli na potępienie. Czyżbyśmy chcieli popełnić tę samą niesprawiedliwość? Czy zarzucając im prześladowania chcielibyśmy zostać prześladowcami?

Jeżeli by znalazł się ktoś na tyle pozbawiony dobrej woli i na tyle fanatyczny, by mi powiedzieć: „Po co rozwodzisz się nad naszymi błędami i naszymi winami? Po co burzysz wiarę w nasze fałszywe cuda i fałszywe legendy? Są one pokarmem dla pobożności wielu ludzi. Istnieją błędy konieczne. Nie usuwaj z ciała zastarzałego wrzodu, bo to pociągnęłoby za sobą ruinę ciała!” — to odpowiedziałbym mu tak:

„Te wszystkie fałszywe cuda, którymi podważasz wiarę w prawdziwe cuda, te wszystkie niedorzeczne legendy, które przydajesz do prawd Ewangelii, gaszą wiarę w naszych sercach. Zbyt wielu ludzi, którzy chcą się oświecić, a nie mają okazji, by się oświecić dostatecznie,

powiada: «Nauczyciele mojej religii oszukali mnie, nie ma więc religii. Lepiej rzucić się ramiona natury niż ramiona błędu. Wolę podlegać prawu natury niż ludzkim wymysłom.» Inni posuwają się swoim nieszczęściu jeszcze dalej. Widzą, że oszustwo założyło im wędzidła, i nie chcąc już nawet wędzidła prawdy skłaniają się ku ateizmowi. Ulegają zgorszeniu, ponieważ inni byli szalbierzami i okrutnikami."

Są to niewątpliwe skutki wszelkich pobożnych oszustw i wszelkich zabobonów. Ludzie zazwyczaj rozumiały tylko połowicznie. Kiepski to dowód, gdy się mówi: „Voragine”, autor *Złotej legendy*, i jezuita Ribadeneira, kompilator *Kwiatów świętych*, gadali same brednie, a więc nie ma Boga. Katolicy wycięli pewną liczbę hugonotów, z kolei hugonoci wymordowali pewną ilość katolików, a więc nie ma Boga. Posługiwano się powiedzią, komunią i wszystkimi sakramentami, aby popełnić najstraszniejsze zbrodnie, a więc nie ma Boga." Ja wyciągnąłbym wniosek przeciwny: a więc jest Bóg, który po tym życiu znikomym, gdzieśmy tylekroć nim zapominali i tyle w jego imię popełnili zbrodni, raczy nas pocieszyć, a tyle strasznych nieszczęść, albowiem zważywszy wojny religijne, czterdzieści schizm papieskich, z których prawie wszystkie były krwawe, oszustwa, z których prawie wszystkie miały opłakane skutki, nieprzejednaną nienawiść, którą wzniecały odmienne poglądy, zważywszy wszelkie zło, które sprowadziła fałszywa żarliwość, ludzie przez długie wieki mieli piekło w tym życiu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NADUŻYCIE NIETOLERANCJI

Ale jakże to? Czyż wolno będzie każdemu obywatelowi wierzyć w swój rozum i trzymać się sądów, które mu poddyktują? Czyż wolno będzie każdemu obywatelowi wierzyć w swój rozum i trzymać się sądów, które mu poddyktują? Czyż wolno będzie każdemu obywatelowi wierzyć w swój rozum i trzymać się sądów, które mu poddyktują? Tak winien robić, byle tylko nie zakłócać porządku. Bo wierzyć czy nie wierzyć nie jest w ludzkiej mocy. Natomiast jest w ludzkiej mocy szanować zwyczaj ojczyzny. Gdybyście zaś powiedzieli, że zbrodnicą jest nie wyznawać religii panującej, to byście sami oskarżyli pierwszych chrześcijan, waszych ojców, a uniewinnilibyście tych, których oskarżacie o wydanie ich na mękę.

Odpowiadacie, że to wielka różnica, że wszystkie religie są dziełami ludzi, a tylko Kościół katolicki, apostolski i rzymski jest dziełem Boga. Ale czyż, mówiąc szczerze, dlatego że nasza religia jest boska, ma ona panować przy pomocy nienawiści, furii, banicji, wydzierania dóbr, więzień, morderstw i przy pomocy aktów dziękczynnych oddawanych Bogu za te morderstwa? Im bardziej religia chrześcijańska jest boska, tym siemniej godzi, aby ją człowiek narzucał. Jeżeli jest dziełem Boga, Bóg utrzyma ją bez was. Wiecie, że nietolerancja tworzy tylko obłudników albo buntowników. Jakaż zgubna alternatywa! Czyżbyście, jednym słowem, chcieli podtrzymywać przy pomocy katów religię Boga, którego kaci zgładzili, a który głosił jedynie łagodność i cierpliwość?

Proszę was, abyście przyjrzeni się strasznym skutkom prawa nietolerancji. Jeżeli wolno było ograbić dóbr, wtrącić do ciemnicy i zabić obywatela, który pod danym stopniem szerokości geograficznej nie wyznawał religii przyjętej pod

tymże stopniem, to na mocy jakiegoż wyjątku mieliby być uwolnieni od tych samych kar ludzie najpierwsi w państwie? Religia obowiązuje jednakowo monarchę i żebraków, toteż przeszło pięćdziesięciu doktorów czy mnichów przytaknęło tej potwornej okropności, że można złożyć tronu i zgładzić władców, którzy by nie myśleli tak jak Kościół panujący. A parlamenty królestwa nieustannie potępiały te szkaradne postanowienia szkaradnych teologów.

Krew Henryka Wielkiego jeszcze dymiła, gdy parlament paryski wydał dekret ustanawiający niezależność korony jako prawo podstawowe. Kardynał Duperron, który zawdzięczał swą purpurę Henrykowi Wielkiemu, wystąpił w Stanach Generalnych z roku 1614 przeciwko dekretowi parlamentu i sprawił, że go zniesiono. Wszystkie relacje ówczesne podają słowa, którymi Duperron posłużył się w swych przemowach: „Jeżeli by panujący został arianinem — powiedział — byłoby przecież obowiązkiem złożyć go z tronu.”

Niekoniecznie, eminencjo. Przyjmijmy jej chimeryczne przypuszczenie, że któryś z naszych królów, przeczytawszy dzieje soborów i ojców Kościoła, skądinąd zaś uderzony tymi słowami: „Mój Ojciec niebieski jest większy aniżeli ja”, biorąc je nazbyt dosłownie i chwiejąc się między soborem nicejskim a konstantynopolitańskim, opowiedział się za Euzebiuszem z Nikomedii. Ja z tego powodu nie okażę mu mniej posłuszeństwa, nie będę uważał, że mniej wiąże mnie przysięga, którą mu złożyłem. A jeżeli by eminencja miała powstać przeciw niemu, ja zaś byłbym jednym z jej sędziów, uznałbym ją za winną zbrodni obrazy majestatu.

Duperron posunął się jeszcze dalej w swej rozprawie, ale ją skracam. Nie ma tu miejsca na zgłębianie tych

oburzających wymysłów; ograniczę się do stwierdzenia razem ze wszystkimi obywatelami, że Henrykowi IV

nie dlatego należało się posłuszeństwo, iż został namaszczony w Chartres, ale dlatego, że bezsporne prawo urodzenia dało koronę temu władcy, który zasłużył na nią dzięki swej odwadze i dobroci.

Niech więc wolno będzie orzec, że na mocy tego samego prawa każdy obywatel winien dziedziczyć dobra swego ojca i że nie zasłuży, aby go ich pozbawiano i wleczono na szubienicę, gdy będzie podzielał poglądy Ratrama przeciwko Paschasowi Ratbertowi i Berengera przeciwko Szkotowi.

Wiadomo, że nie wszystkie nasze dogmaty były zawsze jasno wyłożone i powszechnie przyjęte w naszym Kościele. Ponieważ Chrystus nie powiedział nam, jak począł się Duch Święty, Kościół łaciński długo wierzył razem z greckim, że począł się Ojca; w końcu dodano do Składu Apostolskiego, że począł się z Syna. Zapytuję, czy na jutro po tym postanowieniu zasługiwałby na śmierć obywatel, który by się trzymał wczorajszego Składu Apostolskiego? Czyż okrucieństwo, czyż bezprawie byłoby mniejsze, gdyby dzisiaj ukarano kogoś, kto by myślał tak, jak myślano ongi? Czyż za czasów Honoriusza I było występkiem wierzyć, że Jezus nie miał innej woli?

Nie tak dawno temu ustanowiono Niepokalane Poczęcie; dominikanie nie wierzą w nie dotąd. Kiedyż dominikanie zasłużą sobie na kary tego świata i tamtego?

Jeżeli w ogóle od kogoś mamy się uczyć prowadzenia naszych nieskończonych dysput, to z pewnością od apostołów i ewangelistów. Były sprawy, które mogły wywołać gwałtowną schizmę między świętym Pawłem a świętym Piotrem. W swym Liście do Galatów

Paweł powiedział wyraźnie, że sprzeciwił się twarz Piotrowi, albowiem Piotr był godzien nagany, albowiem uciekał się do obłudy, jako i Barnabasz, albowiem jadali z poganami przed przybyciem Jakuba, a potem zataili się odłączyli od pogan, bojąc się obrządku, którzy byli obrzezani. „Gdy tedy spostrzegłem - dodaje - że nie idą tą szną drogą, zgodną z prawdą Ewangelii, powiedziałem Kefasowi wobec wszystkich: "Jeżeli ty, choć jesteś Żydem, masz zwyczaj prowadzić życie wedle obyczajów przyjętych wśród pogan, a nie wśród Żydów, jak możesz zmuszać pogan do przyjęcia zwyczajów żydowskich?"

Mogło to stać się przedmiotem gwałtownego sporu. Chodziło o stwierdzenie, czy nowi chrześcijanie zachowają obrządku żydowskie, czy też nie. Święty Paweł udał się nawet w owym czasie do świątyni jerozolimskiej, by złożyć ofiarę. Wiadomo, że piętnastu pierwszych biskupów jerozolimskich było obrzezanymi Żydami, którzy przestrzegali sabatu i powstrzymywali się od zakazanego mięsa. Biskupowi hiszpańskiemu lub portu-

galskiemu, który dałby się obrzezać, przestrzegałby sabatu, sprawiono by auto da fe. A jednak ta kardynalna sprawa nie naruszała pokoju ani między apostołami, ani też między pierwszymi chrześcijanami.

Gdyby ewangelici byli podobni do pisarzy nowożytnych, mieliby bardzo szerokie pole dościerania się między sobą. Święty Mateusz liczy dwadzieścia osiem pokoleń od Dawida do Jezusa, święty Łukasz liczy ich czterdzieści i jedno, a przy tym te pokolenia są najzupełniej różne. Nie widać jednak, aby między uczniami powstały niesnaski na skutek tych jawnych sprzeczności, nader dobrze pogodzonych przez wielu ojców Kościoła. Miłość bliźniego nie doznała szkody, pokój został utrzymany. Gdzież znajdziemy

doskonalszą lekcję tolerancji dla naszych dysput, dla
ukorzenia się we wszystkim, czego nie rozumiemy?

W liście do pewnej grupy Żydów rzymskich nawróconych
na chrześcijaństwo święty Paweł poświęca całe zakończenie 3
rozdziału, aby nam powiedzieć, że jedynie wiara wynosi do
chwały wiekuistej, uczynki zaś niczego nie dowodzą. W
przeciwieństwie do tego święty Jakub w 2 rozdziale swego
listu do dwunastu pokoleń rozproszonych po całej ziemi
powtarza: nieustannie, że nie można być

zbawionym bez uczynków. To właśnie, co u nas podzieliło
dwa wielkie zbiorowiska wyznawców, wcale nie poróżniło
apostołów.

Jeżeli by prześladowanie ludzi, z którymi dysputujemy, było
działaniem świętym, to trzeba by uznać, że
największym świętym w raju byłby ten, kto by zabił najwięcej
heretyków. Przyżarliwcu, który by setki ich wyciął w
noc świętego Bartłomieja, z jakąż twarzą ukazałby się tam
człowiek, który by poprzestał na ograbieniu i wtrąceniu
swych braci do więzienia? A oto dowód:

Następca świętego Piotra i jego konsystorz nie
mogą się mylić. Pochwalili, wynieśli pod niebiosy, uświęcili to,
co się stało w noc świętego Bartłomieja. A więc to, co
się wtedy stało, było nader święte. A więc z dwóch
morderców równych sobie pobożności, który by
rozpruł brzuchy dwudziestu czterem ciężarnym kobietom
hugonockim, powinien być wyniesiony w chwale
dwakroć wyżej niż ten, który by rozpruł tylko brzuchów
dwanaście. Dla tej samej przyczyny fanatycy z Sewennów
powinni by wierzyć, że dostąpią chwały stosownie do ilości
zamordowanych kapłanów, zakonników i kobiet katolickich.
Są to osobliwe prawa do chwały wiecznej.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CZY NIETOLERANCJA BYŁA W JUDAIZMIE PRAWEM BOSKIM I CZY ZAWSZE BYŁA STOSOWANA

„Prawem boskim" nazywa się, jak sądzę, prawidła, które dałsam Bóg. A on chciał, aby Żydzi jedli pieczonego baranka z polnąsałataj we wspólnej biesiadzie spożywali go stojąc, z laskaw rękę, na pamiątkęucieczki z Egiptu. Nakazał, aby konsekracja arcykapłana dokonywała sięprzez położenie krwi na jego prawym uchu, na jego prawej ręce, na jego prawej stopie. Zwyczaje to niezwykle dla nas, ale nie dla starożytności. Chciał, aby obarczono kozła Hazazel nieprawościami ludu. Zakazał

żywićsię' rybami bezłusek,świńmi, zającami, jeżami, jaskółkami, gryfami, orłami morskimi itd.

Ustanowił święta, obrzędy. To wszystko, co innym narodom wydawało siędowolne, podległe prawu pisanemu, zwyczajowi, stało się, będąc nakazane przez samego Boga, prawem boskim dlaŻydów, podobnie jak to wszystko, co Jezus Chrystus, syn Marii, Syn Boży, nam nakazał, jest prawem boskim dla nas.

Strzeżmy siętu dociekań, dlaczego Bóg nowym zakonem zastąpiłzakon dany Mojżeszowi, dlaczego dałwięcej przykazańMojżeszowi niżpatriarsze Abrahamowi i więcej Abrahamowi niżNoemu. Bodajże raczy on sto-

sowaćsiędo czasu i do wzrostu zaludnienia. To jego ojcowskie stopniowanie, wszelako owe otchłanie sążbyt

bezdenne dla naszego słabego wzroku. Pozostańmy w granicach naszego przedmiotu. Przypatrzmy się na samprzód, czym była nietolerancja u Żydów.

Prawdą jest, że w księgach Exodus, Numeri, Leviticus i Deuteronomium istnieją surowe prawa dotyczące obrzędów i jeszcze surowsze kary. Wielu komentatorom trudno jest pogodzić powieści Mojżeszowe z ustępami Jeremiasza i Amosa oraz ze słynną przemową świętego Szczepana, przytoczoną w Dziejach Apostolskich. Amos mówi, że Żydzi przez cały czas pobytu na pustyni czcili Molocha, Refana i Kiuma. Jeremiasz powiada wyraźnie, że Bóg nie domagał się żadnej ofiary od ich ojców, kiedy wyszli z Egiptu. Święty Szczepan w swej przemowie do Żydów powiada, że oddawali cześć wojsku niebieskiemu; ani nie składali ofiar, ani nie czynili całopaleń na puszczy przez lat czterdzieści. Nosili namiot boga Molocha i gwiazdę boga Refana."

Inni krytycy wnioskuje, że dla tylu bogów obcych, że Mojżesz tolerował tych bogów, i na dowód przytaczają następujące słowa z Deuteronomium: „Kiedy będziecie w Ziemi Chananejskiej, nie będziecie czynić, jako my dziś czynimy, gdzie każdy czyni, co mu się zda dobre w oczach jego."

Opierając się na tym, że nie ma mowy o żadnym akcie religijnym na puszczy; nie obchodzono Paschy ani Zielonych Świątek, nie ma wzmianki, ażeby odprawiano Święto Kuczek, nie ustanowiono żad-

nych modłów publicznych. Wreszcie obrzezanie, pieczęć przymierza Bożego z Abrahamem, nie było wcale praktykowane.

Ponadto wyciągaję wniosek z dziejów Jozuego. Ten zdobywca mówi do Żydów: „Dany wam jest wybór, obierzcież sobie stronę, która wam się podoba: czy czcić bogów, którym służyliście w Ziemi Amorejskiej, czy też tych, którychście poznali w Mezopotamii.” Lud odpowiada: „Nie stanie się tak, będziemy służyli Adonai.” Niezaprzeczenie mieli więc za czasów Mojżesza innych jeszcze bogów niż Adonai.

Najzupełniej zbędne jest obalać sądy krytyków, którzy twierdzą, że Pentateuchu nie napisał Mojżesz. Od dawna wszystko już powiedziano w tym przedmiocie. A jeśliby nawet jakaś część

Ksiąg Mojżeszowych powstała w czasach sędziów lub kapłanów, byłyby nie mniej natchnione i nie mniej boskie.

To, zdaje się, wystarczy, aby za pomocą Pisma Świętego dowieść, że mimo niezwyklej kary, którą ściągnęli na siebie kłaniając się Apisowi, Żydzi długo zachowali całkowitą swobodę. Może nawet rzeź, której dopuścił się Mojżesz na dwudziestu trzech tysiącach ludzi za to, że jego brat wznosił cielca, dała mu pojąć, że nie osiąga się niczego surowością. I był muszony przymknąć oczy na żarliwość, z jaką lud czcił obcych bogów.

Bodajże on sam wnet przekracza własny zakon. Zakazał wszelkich bałwanów, a tymczasem wystawił węża miedzianego. Takie samo odstępstwo od zakonu spotykamy później w świątyni Salomona. Ten władca kazał wyrzeźbić dwanaście wołów, aby podtrzymywały wielki basen w świątyni. Na ścianach arki są wyrzeźbione cherubiny, mają głowę orła i głowę cielęcia. To zapewne ta kiepsko rzeźbiona głowa cielęcia, którą żołnierze rzymscy znaleźli w świątyni, długo kazała im wierzyć, że Żydzi czcili osła.

Daremnie zabroniono kultu bogów cudzych, Salomon spokojnie oddaje się bałwochwalstwu. Jeroboam, któremu Bóg dał dziesięć części królestwa, każe wystawić dwa cielce złote i panuje dwadzieścia dwa lata, łącząc w swojej osobie dostojęstwa monarchy i arcykapłana. Małe królestwo Judy wznosi za Roboama ołtarze i posągi cudzoziemskie. Święty król Aza wcale nie burzy wyżyn. Arcykapłan Uriasz stawia w świątyni ołtarz króla syryjskiego na miejscu ołtarza całopaleń. Jednym słowem, nie dostrzegamy żadnego skrupowania religii. Wiem, że królowie żydowscy po większej części tępili się, mordowali między sobą, ale przyczyną był zawsze interes, a nie wiara.

Prawda jest, że wśród proroków byli tacy, którzy wciągali niebo do swej zemsty: Eliasz kazał zstąpić

ogniowi niebieskiemu, aby strawił kapłanów Baala; Elizeusz wezwał niedźwiedzie, aby pożarły czterdzieścioro dwoje dzieci, które nazwały gołysym. Ale są to cuda rzadkie i fakty dość trudne do naśladowania.

Pada jeszcze zarzut, że lud żydowski był nader ciemny i barbarzyński. Powiedzione jest, że w wojnie, którą toczył z Madianitami, Mojżesz kazał zabić wszystkie dziatki płci męskiej i wszystkie matki i podzielić łupy. Zwycięzcy znaleźli w obozie sześćset siedemdziesiąt pięć tysięcy owiec, siedemdziesiąt dwa tysiące wołów, sześćdziesiąt jeden tysięcy osłów i trzydzieści dwa tysiące dziewcząt. Podzielili się tym i zabili wszystko inne. Wielu z komentatorów sądzi nawet, że trzydzieści dwie dziewczyny zabito na ofiarę Panu: „*Cesserunt in partem Domini triginta duae animae.*”

Rzeczywiście, Żydzi poświęcali ludzi na ofiarę Bogu, czego świadectwem jest ofiarowanie córki przez Jeftego, czego świadectwem jest również król Agag rozdarty na sztuki

przez kapłana Samuela. **2** Aby ich podnieść na duchu, Ezechieli przyrzeka nawet, że będą jedli mięso ludzkie: „Będziecie jedli—mówi—konie i jeźdźcy, będziecie pili krew książąt.” Wielu komentatorów odnosi dwa wersety tego proroctwa do samych Żydów, a inni do zwierząt mięsożernych. W całej historii tego ludu nie znajdujemy ani jednego rysu szlachetności, wielkoduszności, dobroczynności, ale spośród chmur tak długiego i tak ohydneho barbarzyństwa wyrwywa się promień powszechnej tolerancji.

Natchniony przez Boga Jefte, który złożył w ofierze swą córkę, rzekł do Ammonitów: „Czyż to, co wam dał Bóg wasz Kamos, nie należy do was sprawiedliwie? Dozwólcie więc, abyśmy zajęli ziemię, którą nasz Bóg nam przyobiecał.” To oświadczenie jest stanowcze, może zaprowadzić bardzo daleko, ale co najmniej jest oczywistym dowodem, że Bóg tolerował Kamosa. Albowiem Pismo Święte nie mówi: „Mniemacie, że przysługuje wam prawo do ziem, o których mówicie, iż zostały wam dane przez boga Kamosa.” Mówi ono stanowczo: „Macie prawo”— *„Tibi iure debentur”*, co oddaje prawdziwy sens tych słów hebrajskich: *„Oto tirasz.”*

Historia Michasa i lewity, opowiedziana w 17 i 18 rozdziale Księgi Sędziów, jest również niezbitym dowodem tolerancji i jak największej wolności przyjętej podówczas u Żydów. Matka Michasa, bardzo bogata kobieta z Efraim, zgubiła tysiąc sto srebrników. Syn zwrócił je matce. Ofiarowała te pieniądze Panu. Kazała z nich odlać bałwany i zbudowała małą kapliczkę. Obsługiwała tę kapliczkę lewita otrzymując rocznie dziesięć srebrników, tunikę, płaszcz i pożywienie. A Michas zawołał: „Teraz wiem, że będzie mi Pan błogosławił, gdyż mam lewitę za kapłana.”

W owym czasie sześciuset mężów z plemienia Dan, którzy usiłowali zawładnąć jakąś wioską w kraju i usadowić się tam, nie mając u siebie kapłana z pokolenia Lewi, który był im potrzebny, by Bóg sprzyjał ich przedsięwzięciu, poszło do Michasa i pochwyciło jego efod, jego bałwany i jego lewitemo mimo przedłożenia kapłana, mimo krzyków Michasa i jego matki. Wtedy bezpiecznie natarli na wieś Lais i według swego zwyczaju wszystko tam puścili z dymem i utopili we krwi. Na pamiątkę swego zwycięstwa nadali wsi Lais imię Dan. Postawili bałwany Michasa na ołtarzu. A co znamiennejsze, Jonatan, wnuk Mojżesza, został arcykapłanem tej świątyni, w której oddawano cześć Bogu Izraela i bałwanom Michasa.

Po śmierci Gedeona Żydzi przez prawie dwadzieścia lat czcili Baalbe-

ryta i zaprzestali kultu Adonai, przy czym żaden wódz, żaden sędzia, żaden kapłan nie wołał pomsty. Przyznaję, że zbrodnia ich była wielka, ale jeśli nawet takie bałwochwalstwo było tolerowane, to jakaż tolerancja musiała istnieć wobec różnic w prawdziwym obrządku!

Niektórzy podają za dowód nietolerancji, że sam Pan, dozwoliwszy, aby Filistyni zawładnęli w boju jego arką, ukarał Filistynów tylko w ten sposób, iż dotknął ich tajemną chorobą podobną do hemoroidów, obalił posąg Dagona i zesłał mnóstwo szczurów na ich wsie, ale gdy Filistyni dla ułagodzenia jego gniewu odesłali arkę zaprzęzoną dwiema krowami karmiącymi swe cielęta oraz ofiarowali Bogu pięć złotych szczurów i pięć złotych odbytnic, Pan poraził śmiercią siedemdziesięciu starców izraelskich i pięćdziesiąt tysięcy mężów swego ludu za to, że spojrzeli na arkę. Odpowiedź na to brzmi, że kara Pana nie spada za żadne wierzenie, za żadną różnicę kultu ani też za bałwochwalstwo.

Jeżeli by Pan chciał ukarać bałwochwalstwo, wygubiłby wszystkich Filistynów, którzyśmieli porwać jego arkę i oddawali cześć Dagonowi. Ale on wytracił pięćdziesiąt tysięcy i siedemdziesięciu mężów ze swego ludu jedynie dlatego, że spojrzeli na jego arkę, na którą nie powinni byli spoglądać. Tak bardzo prawa, obyczaje owego czasu, porządkizydowskie różni się od wszystkiego, co jest nam znane, tak bardzo niezbadane drogi Boże przewyższają nasze drogi. „Surowość okazana wobec tej wielkiej masy ludzi-mówi roztropny ojciec Calmet-wyda się nadmierna jedynie tym, którzy nie pojęli, do jakiego stopnia chciał Bóg przebywać w bojaźni i czci między swoim ludem, i którzy o widokach i zamysłach boskich sądzali tylko według słabego światła swego rozumu.”

Bóg nie ukarał więc religii cudzej, ale zbezczeszczenie swojej, ciekawość niebaczną, nieposłuszeństwo, być może nawet ducha buntu. Dobrze wiemy, że takie kary przystowały tylko Bogu w teokracji żydowskiej. Wciąż za mało powtarzamy, że te czasy i obyczaje nie mają żadnego związku z naszymi.

Wreszcie, skoro w którymś ze stuleci późniejszych Naaman bałwochwalca zapytał Elizeusza, czy wolno mu wejść za królem swym do kościoła Remmon i kłaniać się tam razem z nim, to czyż ten sam Elizeusz, który dawał dzieci na pożarcie niedźwiedziom, nie odpowiedział mu: „Idź w pokoju”? '

Co więcej, Pan kazał Jeremiaszowi włożyć na szyję chomątą i jarzma i posłać je królikom, czyli *melakhim*, Moabu, Ammonu, Edomu, Tyru, Sydonu, i Jeremiasz kazał im powiedzieć od Pana: „Dałem wszystkie wasze ziemie Nabuchodonozorowi, królowi babilońskiemu, memu słudze.” Tak więc Bóg uznał króla bałwochwalcę za swego sługę wybrańca.

Ten sam Jeremiasz, którego *melekh*, czyli król żydowski, Sedecjasz kazał wtrącić do studni, a potem uwolnić, uzyskawszy od Sedecjasza przebaczenie radzi mu, powtarzając słowa Boga, udać się do króla babilońskiego: „Jeżeli wynijdziesz do książąt króla babilońskiego—powiada — żyć będzie dusza twoja.” W końcu więc Bóg bierze stronę króla bałwochwalcy; oddaje mu arkę, której sam widok kosztował życie pięćdziesiąt tysięcy i siedemdziesięciu Żydów, oddaje mu święte świętych i szczątki świątyni, której zbudowanie kosztowało sto osiem tysięcy talentów złota, milion siedemnaście tysięcy talentów srebra i dziesięć tysięcy drachm złota, pozostawionych przez Dawida i jego majordomów na wzniesienie domu Pana, co, nie licząc denarów wydanych przez Salomona, dosięga sumy około dwunastu miliardów sześćdziesięciu dwu milionów według kursu obecnego.

Nigdy szcudziej nie wynagrodzono bałwochwalstwa. Wiem, że ten rachunek jest przesadzony, że prawdopodobnie mamy tu do czynienia z pomyłką kopisty, ale zredukujcie tę sumę do połowy, do jednej czwartej, do jednej ósmej nawet, a wciąż jeszcze będzie was zdumiewała. Nie mniej jesteśmy zdumieni bogactwami świątyni efeskiej, o których opowiada Herodot. A więc skarby nie są niczym w oczach Boga, dane zaś Nabuchodonozorowi imię służebnika boskiego jest skarbem prawdziwie nieoszacowanym.

Nie mniej sprzyja Bóg Kirowi-albo Koresowi czy też Korroesowi-którego my nazywamy Cyrusem. Mieni go swym Chrystusem, swym pomazańcem, chociaż nie był namaszczoney według powszechnego znaczenia tego słowa iż był podług religii Zoroastra. Mieni go swym pasterzem, chociaż był w oczach ludzkich uzurpatorem. W całym Piśmie Świętym nie ma oznaki większego umiłowania.

Przeczytacie u Malachiasza, że „od wschodu słońca do zachodu słońca imię Boga jest wielkie między narodami i że na wszelkim miejscu składane mu są ofiary czyste”. Bóg troszczy się o bałwochwalczych niniwian jak o Żydów. Grozi im i przebacza im. Melchizedech, nie będąc Żydem, był ofiarnikiem Bożym. Balaam bałwochwalca był prorokiem. A więc Pismo Święte naucza nas, że Bóg nie tylko tolerował inne narody, ale i troszczył się o nie po ojcowsku. A myśmiemy być nietolerancyjni!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

NIEZWYKŁA TOLERANCJA U ŻYDÓW

Tak więc za czasów Mojżesza, sędziów i królów natraficie wciąż przykłady tolerancji. Więcej nawet, Mojżesz nieraz mówi, że „Bóg karze nieprawości ojców na synach aż do czwartego pokolenia”. Ta groźba była konieczna wobec narodu, któremu Bóg nie odsłonił ani nieśmiertelności duszy, ani kar i nagród w innym życiu. Tych prawd nie ogłosiły mu ani tablice dziesięciorga przykazań, ani też żadne prawidło z Lewityka lub Deuteronomium. Były to dogmaty Persów, Babilończyków, Egipcjan, Greków, Kreteńczyków, ale bynajmniej nie stanowiły one istoty religii żydowskiej. Mojżesz nie mówi: „Czcij ojca twego i matkę twoją, jeżeli chcesz wniknąć do nieba”, ale: „Czcij ojca twego i matkę twoją, abyś długo żyła na tej ziemi.” Grozi Żydom tylko boleściami cielesnymi, świerzbem suchym, świerzbem ropiejącym, złośliwymi wrzodami na kolanach i łydkach, przestrzega ich, że się narażą na niewierność swych żon, będą pożyczać cudzoziemskich lichwiarzy, a sami nie będą mogli pożyczyć lichwę, że będą mrzeć głodem i z konieczności będą zjadać własne dzieci. Ale w żadnym miejscu nie mówi im, że ich nieśmiertelne dusze ponosić będą męki po śmierci albo też kosztują szczęśliwości. Bóg, który sam prowadził swój lud, karał go lub nagradzał bezpośrednio po dobrych lub złych uczynkach. Wszystko było doczesne; jest to prawda, której nadużywa Warburton, aby dowieść, że zakon Żydów był boski: ponieważ sam Bóg był ich królem i wymierzał sprawiedliwość bezpośrednio po wykro-

czeniu lub akcie posłuszeństwa, nie potrzebował odsłaniać im nauki, którą chował do czasu, gdy już nie będzie zarządzał swoim ludem. Ludzie, którzy w swej

nieświadomości utrzymują, że Mojżesz nauczał nieśmiertelności duszy, pozbawiają Nowy Testament jednej z jego najistotniejszych przewag nad Starym. Pewne jest, że zakon Mojżeszowy zapowiadał tylko kary doczesne aż do czwartego pokolenia. Jednakże mimo ścisłego brzmienia tego zakonu, mimo stanowczej wypowiedzi Boga, że będzie karał aż do czwartego pokolenia, Ezechiel oznajmia Żydom coś wręcz przeciwnego i mówi im, że syn nie poniesie nieprawości ojca swego, a nawet wkłada w usta Boga słowa, iż dał im „przykazania niedobre”. A jed-

nak księga Ezechiela znalazła się wśród kanonu autorów natchnionych przez Boga. Wprawdzie synagoga nie pozwalała czytać jej przed ukończeniem trzydziestu lat życia, jak się dowiadujemy od świętego Hieronima, ale wynikało to z obawy, by młodzieńców nie uwiodły zawarte w rozdziale 16 i 22 zbyt szczere obrazy rozwiązłości dwóch sióstr: Aholi i Aholiby. Jednym słowem, jego księga była zawsze pismem uświęconym mimo jawnej sprzeczności z Mojżeszem.

Na koniec, gdy nieśmiertelność duszy przyjęła się jako dogmat, co się prawdopodobnie datuje od czasów niewoli babilońskiej, sekta saduceu-

szów wciąż uporczywie wierzyła, że nie ma ani kar, ani nagród po śmierci, a władze odczuwania i myślenia giną wraz z nami tak samo jak siła przejawiająca się w działaniu, zdolność chodzenia i trawienia. Przeczyli istnieniu aniołów. O wiele bardziej różnili się od innych Żydów, niż protestanci różni się od katolików. Niemniej pozostawali we wspólnocie ze swymi braćmi. Bywali nawet arcykapłani z ich sekty. Faryzeusze wierzyli w przeznaczenie i w metempsychozę.

Esseńczycy mniemali, że dusze sprawiedliwych odchodzą na wyspy szczęśliwe, a dusze złych do jakiegoś niby Tartaru. Nie składali ofiar, zbierali się

oddzielnej synagodze. Gdy więc zechcemy bliżej
przypatrzeć się judaizmowi, to się zdumiejemy spotykając
najwyższą tolerancję wśród jak najbardziej barbarzyńskich
okropności. Jest w tym sprzeczność, to prawda, ale istnieje
ona w postępowaniu prawie wszystkich narodów. Szczęśliwa
ta sprzeczność, która sprowadza łagodne obyczaje, kiedy
prawa są krwawe!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

CZY JEZUS CHRYSTUS NAUCZAŁ NIETOLERANCJI

Zobaczmy teraz, czy Jezus Chrystus nadał prawa krwiożercze, czy ustanowił nietolerancję, czy kazał budować więzienia inkwizycji, czy wprowadził katów autodafe.

Niewiele, jeżeli się nie mylę, jest w Ewangeliach miejsc, z których by duch prześladowczy mógł wnioskować, że nietolerancja i skrupowanie są słuszne. Jednym z tych miejsc jest przypowieść, w której królestwo niebieskie podobne jest królowi zapraszającemu gości na wesele swego syna. Monarcha ten każe im rzec przez sługi swoje: „Oto mój pozabijał woły moje i drób mój, wszystko jest gotowe, przybywajcie na wesele.” Jedni nie dbając o zaproszenie, odchodzą do swych domów wiejskich, inni do kupiectwa swego, a jeszcze inni znieważają usługi królewskie i zabijają je. Król każe ruszyć wojskom swym przeciwko tym mordercom i burzy ich miasta, posyła na gościńce sprzątać nauczycieli, kogokolwiek by napotkano. Że jeden z tych zasiadł do stołu bez szaty godowej, został zakuty w kajdany i rzucony do ciemności zewnętrznych.

Jest rzeczą jasną, że na mocy tego podobieństwa, odnoszącego się tylko do królestwa niebieskiego, nikt, zaiste, nie poczuje się prawie wiążącym lub wtrącać do lochu swego sąsiada, który by przyszedł do niego wieczerzać nie odziewszy się w stosowną szatę weselną. Nie znam w historii żadnego władcy, który by z podobnej przyczyny kazał powiesić swego dworzanina. Nie ma również obawy, że gdy cesarz, zabijając swego drób, pośle paziów do książąt cesarstwa prosząc ich na kolację, to ci książęta zabiją paziów.

Zaproszenie na ucztę oznacza zapowiedź zbawienia, rzeźwysłańców władcy wyobraża prześladowanie tych, którzy głoszą mądrość boską i cnotę.

Inna przypowieść mówi o pewnym człowieku, który zaprasza przyjaciół na wieczerzę wielką, a gdy już wszystko gotowe i można zasiadać do stołu posyła sługę swego, by ich uwiadomił. Jeden wymawia się tym, że kupił włości i idzie ją oglądać; wymówka ta nie jest dobra, bo nie chodzi się oglądać włości nocą. Drugi powiedział, że kupił pięć jarzm wołów i winien ich doświadczyć; tak samo nie ma racji, bo nie próbuje się wołów w godzinie wieczerzy. Trzeci odpowiada, że pojął żonę, i oczywiście ta wymówka nader zasługuje na uwzględnienie. Rozgniewany gospodarz kazał wezwać na swą ucztę ślepców i chromych, a spostrzegłszy, że pozostają jeszcze miejsca puste, rzekł do sługi swego: „Wynijdź na gościńce i między opłotki i przymuś ludzi, ażeby weszli.”

To prawda, że nie powiedziano wyraźnie, iż ta przypowieść jest figurą królestwa niebieskiego. Zbyt nadużywano tych słów: „Przymuś ich ażeby weszli”, jest zaś rzeczą oczywistą, że jeden służący nie mógł siłą przymusić wszystkich ludzi napotkanych do przybycia na wieczerzę swego pana. Zresztą goście w ten sposób przymuszeni nie uprzyjemniliby biesiady. „Przymuś ich, ażeby weszli”, oznacza według najwiarogodniejszych ko-

mentatorów tylko tyle co: proście, zaklinajcie, nalegajcie, zjednujcie. Jakiż, proszę państwa, jest związek tej modlitwy i tej wieczerzy z prześladowaniem?

Jeżeli bierze się rzeczy dosłownie, to czy nie będzie trzeba być ślepym, chromym i sprowadzonym siłą, aby się znaleźć na łonie Kościoła? Jezus powiedział w tejże

przypowieści: „Nie wzywaj na obiad ani twoich przyjaciół ani twoich krewnych bogatych.” Czy kiedykolwiek wyciągano stąd wniosek, że rzeczywiście nie powinno się obiadować krewnym, i przyjaciółmi, odkąd zdobyli trochę majątku?

Po przypowieści o uczcie Jezus Chrystus powiada: „Jeśli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego, matki swojej, braci swoich, sióstr swoich, nawet i duszy swojej, nie może być uczniem moim... Bo któż jest z was, kto by, chcąc budować wieżę, pierwszej nie obrachował nakładu?” Czy jest ktokolwiek w świecie na tyle wyrodny, aby stąd wnosił, że trzeba nienawidzić ojca swego i matki swojej? I czy trudno jest pojąć, że te słowa oznaczają: nie wahajcie się pomiędzy mną a swymi najdroższymi przywiaz-

zaniami?

Przytacza się ustęp ze świętego Mateusza: „Kto nie słucha Kościoła, niechaj będzie jako poganin i celnik.” To wcale nie znaczy, że powinno się prześladować pogan i dzierżawców cel królewskich. Są

przekłęci, to prawda, ale nie oddaje się ich w ręce sprawiedliwości świeckiej. Dalecy od tego, aby pozbawiać dzierżawców jakiejkolwiek prerogatywy obywatelskiej, nadaliśmy im jak największe przywileje. To jedyny zawód potępiony przez Pismo Święte, a równocześnie najbardziej popierany przez rządy. Dlaczegożby więc nasza pobłażliwość dla braci zbłąkanych nie miała być równa naszemu poważaniu dla braci poborców?

Innym ustępem, którego się grubo nadużywa, jest to miejsce ze świętego Marka gdzie powiedziano, że Jezus, będąc rankiem głodny, podszedł do drzewa figowego, na którym znalazł tylko liście, bo nie był czas figom: przeklął drzewo figowe, które natychmiast uschło.

Na różne sposoby wykłada się ten cud, ale czy chociażby jedno z tych tłumaczeń może upoważnić do prześladowań? Drzewo figowe nie mogło wydać fig na początku marca i kazano mu uschnąć. Czyżto jest powód, abyśmy naszym braciom kazali schnąć bólu o każdej porze roku? Poważajmy w Piśmie Świętym wszystko, co może nasunąć niejasności naszym ciekawym i znikomym umysłom, ale nie nadużywajmy niejasności ku temu, by stać się nieczułymi i nieubłaganymi.

Duch prześladowczy, który nadużywa wszystkiego, szuka jeszcze dla siebie poparcia w wygnaniu lichwiarzy ze świątyni i w wojsku diabłów wypędzonych z ciała człowieka opętanego do ciała dwóch tysięcy zwierząt nieczystych. Ale ktoś nie dostrzeże, że te dwa przykłady nie są czym innym niż sprawiedliwością, którą sam Bóg raczy wymierzać za przekroczenie zakonu? Brakiem szacunku dla domu Pana było zamienienie przedsionka jego świątyni w kramarnię kupczyków. Nadaremnie sanhedryn i kapłani zezwalali na ten handel, by ułatwić składanie ofiar; Bóg, któremu składano ofiary, mógł niewątpliwie — aczkolwiek ukryty pod postacią człowieka — zniweczyć tę profanację. Mógł również ukarać tych, co wprowadzili do kraju całe trzody zwierząt zakazanych przez zakon, którego sam raczył przestrzegać. Te przykłady nie mają najmniejszego związku z prześladowaniami za dogmaty. Widocznie duch nietolerancji opiera się na bardzo słabych racjach, skoro wszędzie szuka czczych pretekstów.

Prawie wszystkie inne słowa i czyny Jezusa Chrystusa zalecają łagodność, cierpliwość, pobłażanie. Ojciec przyjmuje syna marnotrawnego; robotnik przybywający w ostatniej godzinie dostaje zapłatę taką samą jak inni; Samarytanin jest miłosierny; Jezus sam zwalnia swych uczniów od postu, przebacza jawno grzesznicy, poprzestaje na tym, że zaleca wierność kobiecie cudzołożnej, raczy nawet

okazać powolność niewinnej uciechy współbiesiadników w Kanie, którzy będąc rozgrzani winem domagają się jeszcze. Przez wzgląd na nich łaskawie czyni cud, zamienia dla nich wodę w wino.

Nie unosi się nawet na Judasza, który ma go zdradzić. Nakazuje Piotrowi, aby nigdy nie posługiwał się mieczem. Łaje synów Zebedeuszowych pragnących za przykładem Eliasza sprowadzić ogień niebieski na miasto, które nie chciało dać mu noclegu.

Wreszcie umiera jako ofiara zawiści. Jeżeli nie jest zuchwalstwem porównać świętość sprawę świecką, Boga z człowiekiem, to według ludzkich pojęć jego śmierć ma wiele podobieństwa ze śmiercią Sokratesa. Filozof grecki zginął przez nienawiść sofistów, kapłanów i pierwszych w ludzie; prawodawca chrześcijan umarł przez nienawiść uczonych w Piśmie, faryzeuszy i kapłanów. Sokrates mógł uniknąć śmierci, a nie chciał tego; Jezus poświęcił się własnej woli. Filozof grecki nie tylko przebaczył swym oszczercom i sędziom niegodziwym, ale i prosił, żeby obeszli się w przyszłości z jego synami tak samo jak z nim, jeżeli synowie będą na tyle szczęśliwi, że zasłużą sobie tak jak on na ich nienawiść. Prawodawca chrześcijan, nieskończenie wyższy, prosił swego ojca, aby przebaczył jego nieprzyjaciołom. Jeżeli Jezus Chrystus zdawał się obawiać śmierci, jeżeli trwoga, której doznawał, była tak niezmierna, że oblał się potem pomieszany z krwią, co jest objawem niezwykle gwałtownym i niezmiernie rzadko występującym, to dlatego, że raczył się całkiem zniżyć do słabości ludzkiego ciała, które przyoblekł. Ciało jego drżało, dusza jego pozostała niezachwiana. Nauczył nas, że prawdziwa siła, prawdziwa wielkość polega na znoszeniu bólei, którym ulega nasza natura. Trzeba niezwyklej odwagi, aby lękając się śmierci iść na śmierć.

Sokrates nazywał sofistów nieukami i dowiódł, że działają w złej wierze; Jezus, korzystając ze swych boskich praw, nazywał uczonych w Piśmie i faryzeuszy obłudnikami, szaleńcami, ślepcami, złośliwcami, węzami, rodzajem jaszczurczym.

Sokrates nie był oskarżony o to, że chciał założyć nową sektę. Nie oskarżono Jezusa o to, że chciał jakąś sektę wprowadzić. Powiedziane jest, że przedniejsi kapłani i wszystka Rada szukali fałszywego świadectwa przeciwko Jezusowi, aby go wydać na śmierć.

Jeżeli więc szukali fałszywego świadectwa, to nie zarzucali mu, że publicznie kazał przeciwko zakonowi. Był rzeczywiście uległy zakonowi Mojżeszowemu od swego dzieciństwa aż do swej śmierci. Obrzezano go ośmego dnia jak wszystkich innych chłopców. Jeżeli później został ochrzczony w Jordanie, była to uświęcona ceremonia u Żydów, tak samo jak u wszystkich ludów Wschodu. Wszystkie zmyty rytualne oczyszczano chrztem. W tenże sposób wyświęcano kapłanów. Zanurzano się w wodzie podczas święta uroczystej pokuty, chrzczono nawróconych.

Jezus przestrzegał wszystkich przepisów zakonu; święcił wszystkie dni sabatu, powstrzymywał się od mięs zakazanych, obchodził wszystkie święta i nawet przed śmiercią odprawiał Paschę. Nie oskarżono go o to, że głosi jakiś pogląd nowy, ani też o to, że przestrzega jakiegoś obrządku cudzoziemskiego. Urodziwszy się Izraelitą, żył niezmiennie jako Izraelita.

Dwaj świadkowie, którzy się stawili, oskarżyli go, że powiedział, iż „mógłby zburzyć Kościół Boży, a za trzy dni odbudować go”. Taka mowa była niepojęta dla rozumiejących tylko to, co ziemskie, Żydów, ale to nie równało się oskarżeniu, że chciał założyć nową sektę.

Arcykapłan zapytał go i rzekł doń: „Poprzysięgam cię na Boga żywego, powiedz nam: Jesteś ty Mesjaszem, Synem Bożym?” Nie po-

uczono nas, co arcykapłan rozumiał przez „Syn Boży”. Posługiwano się nieraz tym wyrażeniem na oznaczenie człowieka sprawiedliwego, tak jak używano słów „syn Beliala” na określenie człowieka przewrotnego. Nieokrzescani Żydzi nie mieli żadnego wyobrażenia świętej tajemnicy Syna Bożego, Boga samego schodzącego na ziemię.

Jezus mu odrzekł: „Tyś powiedział; wszakże powiadam wam: odtąd ujrzycie syna człowieczego siedzącego po prawicy mocy Bożej i przychodzącego na obłokach niebieskich.”

Rozgniewany sanhedryn uznał tę odpowiedź za bluźnierstwo. Sanhedryn nie miał już prawa miecza. Poprowadzili Jezusa przed wielkorządcę rzymskiego dla tej prowincji i oskarżyli go potwarczo, że jest mącicielem spokoju publicznego mówiącym, iż nie należy płacić daniny cesarzowi, i mieniącym się ponadto królem żydowskim. Jest więc rzeczą jak najoczywistszą, że został oskarżony o zbrodnię stanu.

Wielkorządca Piłat, dowiedziawszy się, że to Galilejczyk, odesłał go na samprzód do Heroda, tetrarchy galilejskiego. Herod mniemał, że było niemożliwością, aby Jezus mógł stać na czele stronnictwa i rościć sobie prawa do władzy królewskiej. Odniósł się do niego z pogardą i odesłał do Piłata, który w swej niegodziwej słabości skazał go, aby uspokoić wzrąwą podniesioną przeciwko niemu samemu, tym bardziej że – według tego, czego się dowiadujemy od Józefa – zetknął się już z buntami Żydów. Piłat nie okazał tej szlachetności, jaką później wyróżnił się wielkorządca Festus.

Pytam teraz, czy z prawa boskiego wynika tolerancja, czy też nietolerancja? Jeżeli chcecie naśladować Jezusa Chrystusa, bądźcie męczennikami, a nie katami.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ŚWIADECTWA PRZECIW NIETOLERANCJI

„Bezbożnością jest odebrać ludziom wolność w dziedzinie religii, przeszkodzić im w obiorze bóstwa; żaden człowiek, żaden Bóg nie zechciałby przyjąć nabożeństwa wymuszonego.” (*Apologetyk*, rozdział XXIV.)

„Gdyby użyto gwałtu dla obrony wiary, biskupi przeciwstawiliby się temu.” (Święty Hilary, księga I.)

„Religia wymuszona przestaje być religią. Trzeba przekonywać, a nie zniewalać. Nie narzuca się religii.” (Laktancjusz, księga III.)

„To nieczna herezja, gdy się chce siłą, razami, więzieniem przyciągnąć tych, których nie zdołano przekonać za pomocą rozumu.” (Święty Atanazy, księga I.)

„Nie ma nic bardziej sprzecznego z religią niż przymus.” (Święty Justyn męczennik, księga V.)

„Czy będziemy prześladować tych, których Bóg toleruje?” — mówił święty Augustyn, zanim spór z donatystami nie uczynił go zbyt surowym.

„Niechaj Żydom nie będzie wyrządzany żaden gwałt.” (Czwarty sobór toledański, kanon LVI.)

„Doradzajcie, nie przymuszajcie.” (List świętego Bernarda.)

„Nie domagamy się wykorzenienia błędów gwałtem.” (Oracja kleru francuskiego do Ludwika XIII.)

„Zawsze potępialiśmy drogi surowości." (Zgromadzenie kleru, 11 sierpnia 1560 roku.)

„Wiemy, że wiara wpaja się przekonywaniem, a nie nakazem." (Fléchier, biskup Nîmes, list XIX.)

„Nie wolno również używać wyrazów obelżywych." (Biskup Du Bellai w liście pasterskim.)

„Zachowajcie w pamięci, że choroby duszy nie leczą się wcale przymusem i gwałtem." (Kardynał Le Camus, list pasterski z roku 1688.)

„Przyznajcie wszystkim tolerancję obywatelską." (Fénelon, arcybiskup Cambrai, list do księcia Burgundii.)

„Przymus wyznawania jakiegokolwiek religii jest oczywistym dowodem, że duch, który nią włada, jest duchem wrogiem prawdzie." (Dirois, doktor Sorbony, księga VI, rozdział IV.)

„Gwałt może stworzyć obłudników. Nie przekonuje się nikogo, gdy wszędzie rozbrzmiewają pogroźki." (Tillemont, *Historia Kościoła*, tom VI.)

„Wydało nam się rzeczą zgodną z sprawiedliwością i zdrowym rozu-

mem kroczyć śladami dawnego Kościoła, który nie stosował gwałtu, aby ustanowić rozpowszechnić religię." (Remonstracja parlamentu paryskiego do Henryka II.)

„Doświadczenie uczy nas, że gwałt jest raczej zdolny wzmocnić niż uleczyć chorobę, która ma swe korzenie w duchu itd." (De Thou, list dedykacyjny do Henryka IV.)

„Wiara nie budzi się pod uderzeniem miecza." (Cerisiers, *O panowaniu Henryka IV i Ludwika XIII.*)

„To barbarzyńska żarliwość, jeśli się chce religię wtłoczyć w serca, jak gdyby przekonanie mogło być skutkiem przymusu.” (Boulainvilliers *Państwo francuskie.*)

„Z religią jest jak z miłością. Nakaz nie może tu niczego dokonać, przymus jeszcze mniej. Nie ma nic bardziej niezawisłego niż kochać i wierzyć.” (Amelot de la Houssaie o *Listach kardynała d'Ossat.*)

„Jeżeli niebiosy kochały was na tyle, aby danym wam było ujrzeć prawdę, to wyświadczyły wam wielką łaskę. Ale czyż dzieci, które dostają spadek po swym ojcu, mają nienawidzić tych, którzy spadku nie dostali?” (*O duchu praw*, księga XXV.)

Można by spisać o brzymskiej złożonej podobnych ustępów. Wszystkie nasze historie, oracje, kazania, dzieła traktujące o moralności, katechizmy tchną duchem i nauką świętego obowiązku pobłażliwości. Przez jakąż fatalność, przez jakąż płochość mamy w naszym postępowaniu zaprzeczać teorii, którą obwieszczamy co dzień? Jeśli nasze postęпки przeczą naszej moralności, to dlatego że spodziewamy się jakiejś korzyści czyniąc odwrotnie, niż nauczamy. Ale na pewno nie ma żadnego pożytku, gdy prześladujemy ludzi odmiennego niż my zdania i narażamy się na ich nienawiść. Jest więc, raz jeszcze powtarzam, niedorzeczność w nietolerancji. Wszelako — powie nam ktoś — ci, którzy mają interes w krępowaniu sumień, nie grzeszą bynajmniej niedorzecznością. Do nich zwraca się rozdział następny.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZMOWA MIĘDZY UMIERAJĄCYM A CZŁOWIEKIEM MAJĄCYM SIĘ DOBRZE

Pewien obywatel w którymś mieście prowincjonalnym leżał w agonii. Ktoś cieszący się dobrym zdrowiem przyszedł naigrawać się niego i rzekł doń:

—Nędzniku, żebyś mi tu natychmiast myślał tak jak ja! Podpisz ten akt, zeznaj, że w książce, której nigdyś my obydwaj nie czytali, zawarte jest pięć twierdzeń. Przyjmij zaraz pogląd Lanfranca przeciwko Berengerowi, świętego Tomasza przeciwko świętemu Bonawenturze, uznaj drugi sobór nicejski na przekór soborowi frankfurckiemu, wyjaśnij mi niezwłocznie, jakim sposobem te słowa: „Mój ojciec jest większy ode mnie”, oznaczają wyraźnie: „Jestem równie wielki jak on.”

Powiedz mi, w jaki sposób ojciec udziela synowi wszystkiego, wyjąwszy ojcostwo, bo inaczej wyrzucę twoje ciało na smietnisko. Dzieci twoje nie będą po tobie dziedziczyły, żona twoja straci wniesione wiano i rodzina twoja będzie żebrała o chleb, którego nie dadzą jej ludzie mnie podobni.

Umierający

Ledwie rozumiem, co ksiądz mówisz. Twoje pogroźki niewyraźnie dobiegają do mego ucha, mącami duszę, zohydzają i śmierć. W imię Boże, miej litość nad mną!

Barbarzyńca Litość! Mógłbym ci jąokazać, jeżelibyśbyłwe
wszystkim mojego zdania.

Umierający

Księżu, widzisz, że—niestety!—w tych ostatnich chwilach
uwiędły wszystkie moje zmysły, zamknęły się wszystkie
bramy mojego rozumu, ulotniły się wyobrażenia, myśl moja
gaśnie. Czyż jestem w stanie rozprawiać?

Barbarzyńca

No, dobrze, jeżeli nie możesz wierzyć w to, czego od ciebie
wymagam, powiedz, że wierzysz, i to mi wystarczy.

Umierający

Jakże mogę krzywo przysięgać, aby się tobie spodobać? Za
chwilę stanę przed Bogiem, który karze krzywo przysięstwo.

Barbarzyńca

Mniejsza z tym; dostąpisz przyjemności, że
cię pochowają na cmentarzu, a twoja żona i twoje dzieci
będą miały z czego żyć. Umrzyj hipokrytą, obłuda jest
rzeczą dobrą. To—jak powiadają—hołd składany przez
występek cnocie. Mój drogi, cóż cię kosztuje trochę obłudy?

Umierający

Niestety, pogardzasz Bogiem albo go nie uznajesz, skoro
żądasz kłamstwa w momencie śmierci. A przecież wkrótce
masz stanąć przed jego sądem i odpowiesz za to kłamstwo.

Barbarzyńca

Jak to, zuchwalcze? Ja nie uznaję Boga?

Umierający

Wybacz, bracie, obawiam się, że go nie znasz. Ten, którego ja czczę, przywraca mi w tym momencie siły, aby ci powiedzieć zamierającym głosem, że jeśli wierzysz w Boga, powinienieś okazać wobec mnie miłosierdzie. On dał mi żonę i dzieci, przeto nie każim zginąć w nędzy. Dla mego ciała zrób, co chcesz, oddaję ci je. Ale zaklinam cię — wierz w Boga.

Barbarzyńca

Uczyń bez mędrkowania, com ci powiedział. Tego chcę, to ci nakazuję.

Umierający A jaki masz w tym interes, by mnie tak dręczyć?

Barbarzyńca

Co? Jaki interes? Jeżeli będę miał twój podpis, to dostanę porządną kanonię.

Umierający

Ach, mój bracie! to już mój ostatni moment. Umieram, poproszę Boga, aby cię poruszyli i nawrócił.

Barbarzyńca

Niech diabeł porwie tego bezecnika, skoro nie podpisał. Podpiszę za niego, podrobię jego pismo.

Następujący list jest potwierdzeniem tej samej moralności.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

LIST PEWNEGO BENEFICJANTA DO JEZUITY LE TELLIERA, NAPISANY 6 MAJA 1714 ROKU

Wielebny Ojcie, posłuszny jestem rozkazom, które mi Wasza Wielebność dała, abym Jej przedstawił najstosowniejsze środki oswobodzenia Jezusa i jego Towarzystwa od ich wrogów. Myślę, że w królestwie nie pozostało więcej niż pięćset tysięcy hugonotów; niektórzy mówią, że milion, inni jeszcze, że półtora miliona, ale jakkolwiek by była ich liczba, taka jest moja rada, którą — jakem powinien — przedstawiam do osądu Waszej Wielebności.

1. Łatwo jest schwytać jednego dnia wszystkich predykantów i powiesić ich wszystkich razem na tym samym placu, nie tylko dla zbudowania publicznego, ale i dla piękności widowiska.

2. Kazałbym pomordować w łóżkach wszystkich ojców i wszystkie matki, bo gdyby ich zabijano na ulicach, mogłoby to spowodować niejakie zaburzenia. Wielu również mogłoby się ocalić, czego trzeba unikać za wszelką cenę. Ta egzekucja jest konkluzją nieuchronnie wynikającą z naszych zasad, albowiem jeżeli tylu wielkich teologów dowodzi, że trzeba zabić heretyka, to jest rzeczą oczywistą, że trzeba zabić ich wszystkich.

3. Powydawałbym na jutro wszystkie dziewczęta za dobrych katolików, ponieważ nie należy zbyt wiele wyludniać państwa po ostatniej wojnie. Ale co się tyczy

chłopców czternasto- i piętnastoletnich, jużprzesiąkniętych złymi zasadami, których niewątpliwie nie uda sięnam wykorzenić, to, według mojego zdania, należy ich wszystkich wykastrować, ażeby sięto diabelskie plemięnigdy nie odrodziło. Pozostałych chłopców wychowa sięw naszych kolegiach i będzie siętosowaćchłostędopóty, dopóki nie naucząsięna pamięćdziełSancheza i Moliny.

4. Myślę, że, za pozwoleniem, należy to samo uczynić luteranami Alzacji, jako że w roku 1704 ujrzałem dwie staruchy z tego kraju, któreśmiały sięw dzieńbitwy pod Höchstädt .

5. Sprawa jansenistów wyda się, byćmoże, nieco bardziej kłopotliwa. Sądzę, że liczba ich wynosi co najmniej sześćmilionów, ale nie przerazi toczłowieka o duchu tak wielkim jak Wasza Wielebność. Zaliczam do jansenistów wszystkie parlamenty, które tak niegodnie podtrzymująswobody Kościoła gallikańskiego. Jest rzecząWaszej Wielebności rozważyćże zwykłej roztropnością, jakimiśrodkami podporządkuje sobie te wszystkie krnąbrne umysły. Spisek prochowy nie odniósłpożądanego skutku, ponieważjeden ze sprzysiężonych chciałniebacznie ocalić życie swojemu przyjacielowi, ale skoro Wasza Wielebnośćnie ma przyjaciela, nie trzeba sięobawiaćpodobnej zawady;łatwo będzie Waszej Wielebności wysadzićw powietrze wszystkie parlamenty królestwa za pomocąwynałazku mnicha Schwarza , zwanego*pufois pyrius*. Obliczam, że jedno w drugie trzeba będzie trzydzieści sześćbeczek prochu na każdy parlament; i tak, mnożąc dwanaście parlamentów przez trzydzieści sześćbeczek, daje to tylko czterysta trzydzieści dwie beczki, co, licząc po sto dukatów sztuka, równa sięsumie stu dwudziestu dziewięciu tysięcy sześciuset liwrów. To błąhostka dla wielebnego ojca generała.

Gdy już parlamenty wylecą w powietrze, Wasza
Wielebność rozda urzędy członkom swej kongregacji, którzy
doskonale orientują się w prawach królestwa.

6. Łatwo będzie otruć kardynała de Noailles, który jest
człowiekiem dobroduśnym i nie wie, co to nieufność.

Wasza Wielebność zastosuje te same środki nawrócenia
wobec niektórych opornych biskupów; ich biskupstwa
przejdą w ręce jezuitów za pomocą brewe papieskiego. Gdy
zaś wszyscy biskupi będą po stronie dobrej sprawy, a wszyscy
proboszczowie zostaną ręcznie dobrani przez biskupów,
wówczas jeśli taka jest dobra wola Waszej Wielebności,
radzę, co następuje:

7. Skoro wiadomo, że janseniści przystępują do
komunii świętej przynajmniej raz na rok około Wielkanocy,
nie byłoby źle posypać hostie specyfiką, jakim posłużono
się, aby zgładzić cesarza Henryka VII. Być może, ktoś mnie
zgani za ryzyko, iż przy tej okazji trutkę na szczury
mogą dostać moliniści. Jest to poważny zarzut, ale nie ma
zamysłu, który by się nie łączył z trudnościami, nie ma
systemu, na którym by nie było pęknięć w jakimś miejscu.
Jeżeli by nas powstrzymywały takie drobne przeszkody, nie
osiągnęlibyśmy nigdy żadnego celu. Zresztą skoro chodzi o
uczynienie największego dobra, jakie tylko jest możliwe, nie
trzeba się gorszyć, jeżeli to wielkie dobro pociąga za sobą
i owdzie złe następstwa pozbawione jakiegokolwiek
znaczenia.

Nie potrzebujemy sobie niczego wyrzucać. Dowiedziono, że
wszyscy

rzekomi reformowani, wszyscy janseniści przypadają w
udziale piekła, toteż my przyśpieszamy tylko moment, w
którym mają się tam znaleźć.

Nie mniej jasną jest rzeczą, że niebo słusznie należy się mordercom, a więc, każąc im ginąć niechcący i bez jakiegokolwiek złej intencji, przyśpieszamy ich radość. W jednym i drugim wypadku jesteśmy służebnikami Opatrzności.

Tym, których by trochę mogła odstraszać liczba, Wasza Ojcowska Wielebność będzie mogła zwrócić uwagę, że od dnia rozkwitu Kościoła aż po rok 1707, to znaczy od około tysiąca czterystu lat, teologia spowodowała rzeźnięć więcej niż pięćdziesięciu milionów ludzi, a ja proponuję udusić lub wyciąć jedynie około sześciu milionów pięciuset tysięcy.

Może nam jeszcze zarzucą, że oszacowałem niedokładnie i gwałcę regułę trzech. Bo — powiedzą — jeżeli w ciągu tysiąca czterystu lat zginęło tylko pięćdziesiąt milionów ludzi z powodu rozróżnień, dylematów i antynomii teologicznych, daje to rocznie tylko trzydzieści pięć tysięcy siedemset czternaście osób z ułamkiem, wobec czego na rok bieżący zabijam o sześć milionów czterysta sześćdziesiąt cztery tysiące dwieście osiemdziesiąt pięć osób z ułamkiem za dużo.

Ale, po prawdzie, ten zarzut jest dziecinny, można nawet powiedzieć, że jest bezbożny, bo czyż nie jest jasne, że mój projekt ocalażycie wszystkich katolików aż do końca świata? Czyn nie zostałby nigdy dokonany, gdybyśmy chcieli odpowiadać na wszystkie krytyki. Z głęboką czcią pozostaję Waszej Ojcowskiej Wielebności-

najuniższy, najpobożniejszy i najpowolniejszy R...,
rodem z Angoulême, prefekt Towarzystwa Jezusowego.

Plan ten nie mógłby być wykonany, ponieważ ojciec Le Tellier napotkał pewne trudności, a zresztą jego ojciec

wielebność została wygnana z kraju w roku następnym. Ale skoro należy rozpatrywać „za” i „przeciw”, dobrze jest zbadać, w jakich wypadkach można by z poczuciem słuszności przyklasnąć części poglądów autora listu do ojca Le Tellier. Oczywiście, trudno byłoby wykonać plan we wszystkich punktach, ale wypada rozpatrzyć, w jakich przypadkach trzeba było albo wieszać, albo też posyłać na galery ludzi, którzy mają inne niż my zapatrywania. Będzie to przedmiotem rozdziału następnego.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

JEDYNE WYPADKI, W KTÓRYCH NIETOLERANCJA WYNIKA Z PRAWA LUDZKIEGO

Jeżeli rząd ma być pozbawiony praw karania błędów ludzkich, to trzeba, aby te błędy nie były występками. Nie są występками tylko wtedy, gdy nie mają społeczeństwa. Mają społeczeństwo z tąchwilą, gdy budzą fanatyzm. Wypada tedy, aby ludzie przestali być fanatykami, jeżeli mają służyć sobie na tolerancję.

Gdy kilku młodych jezuitów—wiedząc, że Kościół nie widzi odszczepieńców, że jansenistów potępiła bulla, że wobec tego janseniści są odszczepieńcami—ma chrapkę spalić dom ojców oratorianów, ponieważ oratorianin Quesnel był jansenistą, to jasne, że jesteśmy zmuszeni ukarać tych jezuitów.

Jeżeli również głoszą zasady występne, jeżeli ich Towarzystwo pozostaje w sprzeczności z prawami królestwa, trudno nie rozwiązać ich zgromadzenia i nie skasować zakonu jezuitów, by uczynić nich obywateli. W gruncie rzeczy jest to dla nich zło urojone, a dobro rzeczywiste, bo cóż w tym złego, gdy się nosi fraczek zamiast sutanny i jest się wolnym zamiast być niewolnikiem? Rozpuszczamy w czasie pokoju całe pułki, które się wcale z tego powodu nie skarżą. Dlaczego jezuita krzyczą tak głośno, gdy się rozpущa ich zgromadzenie, aby mieć spokój?

Niech franciszkanie, uniesieni świętą żarliwością dla Panny Marii, pójdaż burzyć kościół Dominikanów, którzy uważają, że Maria urodziła się grzechu pierwotnym, a będziemy

wtedy zmuszeni postąpićz franciszkanami prawie tak samo jak z jezuitami.

Tyleżpowiemy o luteranach i kalwinistach. Daremnie będāmówić: „Idziemy za głosem naszego sumienia. Lepiej słuchaćBoga niżludzi. My jesteśmy prawdziwąowczarnią, powinniśmy wytrzebićwilki.” Oczywiście, że wtedy oni sami będąwilkami.

Jeden z najdziwniejszych przykładów fanatyzmu dała niewielka sekta duńska, która przyjęła najlepsząwświecie zasadę. Ludzie ci chcieli uzyskaćbawienie wieczne dla swych braci, ale następstwa ich zasady były osobliwe. Wiedzieli, że wszystkie dzieci zmarłe bez chrztu sąpotępione, te zaś, które mająszczęście umrzećbezpośrednio po otrzymaniu chrztu, radująsięchwiaławiekuistą; zabijali więcświeżo ochrzczone dzieci obojga płci, jakie tylko spotkali. Niewątpliwie wyświadczali im największe z możliwych dóbr: jednocześnie chronili je przed grzechem, przed utrapieniami tegożycia i przed piekłem oraz niechybnie posyłali je do nieba. Ale ci lu-

dzie miłosierni nie brali pod uwagę, że nie wolno czynićmałego zła, by wyświadczyćwielkie dobro, że nie mieliżadnego prawa nadżyciem tych dzieciątek, że ojcowie i matki sąpo większej części dostatecznie ziemscy i woląmiećswych synów i swe córki przy sobie niżpatrzeć, jak sięich dzieci zabija, aby poszły do raju, że, jednym słowem, sąd powinien karaćzabójstwo, chociażby popełniono je w dobrej intencji.

Wydawałoby się, żeŻydzi mająwiększe niżktokolwiek prawo ograbiaćnas i zabijać, bo chociażjest sto przykładów tolerancji w Starym Testamencie, to jednak sątam równieżrozmaite przykłady surowości i różne prawa surowe. Bóg nakazywałim niekiedy zabijaćbałwochwalców i

zachowywać tylko dziewczęta zdatne do zameścia.
Uważają nas za bałwochwalców i chociażmy ich dzisiaj
tolerujemy, to oni mogliby przecież, gdyby byli panami,
pozostawić na świecie tylko nasze córki.

W szczególności powinni by zabić wszystkich Turków. Łatwo
to pojąć, ponieważ Turcy mają w posiadaniu ziemie
Hetejczyków, Jebujejczyków, Amorejczyków,
Jersenejczyków, Hewejczyków, Aracejczyków, Cynejczyków,
Hamatejczyków, Samarytan. Na wszystkie te ludy padła
klątwa. Ich kraj, o długości przewyższającej dwadzieścia
pięć mil, był nadany Żydom w wielu kolejnych przymierzach.
Powinni wrócić do swych posiadłości; muzułmanie
przywłaszczyli je sobie więcej niż tysiąc lat temu.

Jasne jest, że gdyby Żydzi tak rozumowali dzisiaj, jedyną
to odpowiedzią byłoby posłanie ich na galery.

To bodajże jedyne wypadki, w których nietolerancja
wydaje się słuszną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

SPRAWOZDANIE Z DYSPUTY KONTROWERSYJNEJ W CHINACH

W pierwszych latach panowania wielkiego cesarza Kang-Hi pewien mandaryn w mieście Kantonie usłyszał ze swego domu wielki hałas, który rozlegał się w domu sąsiednim. Mandaryn zapytał, czy kogoś nie zabito. Powiedziano mu, że to rozprawiają mużnik z kompanii duńskiej, kapelan z Batawii i jakiś jezuita. Poleciał przyprowadzić ich do siebie, kazał podać herbatę z konfiturami i spytał, o co się kłócili.

Jezuita odrzekł, że jako człowiek, który zawsze ma rację, bolał nad tym, iż ma do czynienia z ludźmi, którzy nigdy racji nie mają. Z początku argumentował jak największą powściągliwością, ale na koniec wyczerpała się jego cierpliwość.

Mandaryn nader oględnie dał im do poznania, jak bardzo grzeczność jest konieczna w dyspucie; powiedział im, że w Chinach ludzie nie waśnią się nigdy, i zapytał ich, o co się spór toczył.

Odrzekła to jezuita:

—Czynię waszą dostojność sędzią: ci dwaj panowie nie chcą się podporządkować postanowieniom soboru trydenckiego.

—To mnie dziwi—odparł mandaryn. Po czym, zwracając się do dwóch opornych, dodał:—Wydaje mi się,

panowie, żeście powinni uszanować pogląd wielkiego zgromadzenia. Nie wiem, co to jest sobór trydencki, ale zbiorowisko osób mądrzejsze jest zawsze niż jedna osoba. Nikt nie powinien mniemać, że wie więcej niż inni i że rozum mieszka tylko w jego głowie. Tak naucza nasz wielki Konfucjusz. Wierzcie mi, że uczynicie bardzo dobrze, zgadzając się soborem trydenckim.

Zabrał głos Duńczyk mówiąc:

—Wasza dostojność przemawia z najwyższą roztropnością. Poważamy wielkie zgromadzenia, tak jakieśmy je poważać winni, toteż zgadzamy się najzupełniej z większością soborów, które odbyły się przed soborem trydenckim.

—O, to przepraszam pana!—powiedział mandaryn.—Jeżeli tak jest, ma pan prawdopodobnie rację. A więc ten Holender i pan jesteście tego samego zdania, przeciwko temu biednemu jezuitcie?

-Wcale nie-odrzekł Holender.-Ten człowiek ma poglądy nieomal tak samo niedorzeczne jak jezuita, który wdzięczy się do waszej dostojności. Żadną miarą nie można ich bronić.

-Nie pojmuję was-powiedział mandaryn.-Czyż wszyscy trzej nie jesteście chrześcijanami? Czyż wszyscy trzej nie przybywacie po to, aby głosić chrześcijaństwo w naszym cesarstwie? Czy wobec tego nie powinniście mieć tych samych dogmatów?

-Niech wasza dostojność zwróci uwagę -rzecze jezuita- że ci dwaj ludzie są śmiertelnymi wrogami, a obydwaj walczą ze mną. Tedy jest rzeczą oczywistą, że obydwaj nie mają racji, a słuszość jest po mojej stronie.

-To nie takie oczywiste-odparł mandaryn.-Jest bardzo prawdopodobne, że wszyscy trzej nie macie racji. Ciekaw byłbym usłyszeć was kolejno.

Wtedy jezuita wygłosił dość długą mowę, podczas której Duńczyk i Holender wzruszali ramionami; mandaryn nie pojął niej nic. Mówił kolei Duńczyk; obydwaj jego przeciwnicy patrzyli na niego z politowaniem, a mandaryn nie pojął więcej niż przedtem. Holendra spotkał ten sam los.

Wreszcie gadali wszyscy trzej razem i prawili sobie grube obelgi. Zaczęło mandaryna wiele kosztować zachodu, aby temu położyć kres.

—Jeżeli chcecie—powiedziało do nich—aby tolerowano tutaj waszą naukę, to przestańcie być nietolerancyjni i nieznośni.

Po skończonej audiencji jezuita spotkał misjonarza dominikanina; zakomunikował mu, że wygrał sprawę, i zapewnił go, że prawda tryumfuje zawsze. Na to dominikanin powiedział do niego:

—Nie wygrałbyś ksiądz, gdybym ja tam był. Dowiodłbym księdzu kłamstwa i bałwochwaltwa.

Spór nabrał gorącości. Dominikanin i jezuita porwali się za włosy. Mandaryn, powiadomiony o tym zgorszeniu publicznym, posłał obydwo do więzienia. Pewien podmandaryn powiedział do sędziego:

—Jak długo jego ekscelencja życzzy sobie trzymać ich w areszcie?

—Dopóki się nie pogodzą —odpowiedział sędzia.

—O!—rzekł podmandaryn—to posiedzą do końca życia.

—No, może—padły słowa sędziego—dopóty, dopóki sobie nie wybaczą.

Na to tamten:

—Nie wybaczą sobie nigdy, ja ich znam.

—No to—odparł sędzia—może tak długo, dopóki nie stworzą pozorów, że sobie wybaczyli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

CZY JEST POŻYTECZNE UTRZYMYWAĆ LUD W ZABOBONIE

Taka jest słabość rodzaju ludzkiego i taka jego przewrotność, że niewątpliwie na lepsze mu wychodzi znosić jarzmo wszelkich możliwych zabobonów, byleby tylko nie były zabójcze, niż żyć bez religii. Człowiek zawsze potrzebował wędzidła, a chociaż okrywał się śmiesznością składając ofiary faunom, satyrom i najadom, rozsądniej i korzystniej było czcić fantastyczne wyobrażenia bóstwa niż oddać się ateizmowi. Ateusz mądrzący się, gwałtowny i potężny byłby biczem równie fatalnym jak krwiożerczy zabobonnik.

Gdy ludzie nie mają zdrowych pojęć bóstwie, zastępują je wyobrażeniami fałszywymi, podobnie jak w czasach nędzy prowadzi się handel za pomocą monety kiepskiej, skoro brak jest dobrej. Poganin wzdygał się przed zbrodnią ze strachu, aby go nie ukarali jego fałszywi bogowie; Ma-

labarczyk boi się, aby go nie ukarała jego pagoda. Wszędzie, gdzie istnieje społeczeństwo uporządkowane, religia jest konieczna; prawa czuwają nad występkami jawnymi, religia czuwa nad występkami utajonymi.

Gdy jednak ludzie przyjęli już religię nieskażoną świętą, zabobon stał się tylko bezpłodny, ale i nader niebezpieczny. Niedopuszczalne są siłowania, aby karmić żołądkami tych, których Bóg raczy karmić chlebem.

Zabobon jest tym w stosunku do religii, czym astrologia w stosunku do astronomii: córka nader szaloną matki nader

statecznej. Te dwie panny od dawna wzięły ziemiew jarzmo.

Skoro w stuleciach naszego barbarzyństwa było zaledwie dwóch panów feudalnych, którzy by mieli u siebie Nowy Testament, można było wybaczyć, że karmiono bajkami pospólstwo, czyli owych panów feudalnych, ich głupieżony i ich nieokrzesanych wasalów. Kazano im wierzyć, że święty Krzysztof przeniósł Dzieciątka Jezus z jednego brzegu rzeki na drugi; bez końca powtarzano im historie o czarownikach i opętańcach. Łatwo sobie wystawiali, że święty Geneszusz leczy podagrę, a święta Klara leczy chore oczy. Dzieci wierzyły w wilkołaka, a ojcowie w sznur świętego Franciszka. Ilość relikwii była niezliczona.

Pleśń tyłu przesądów zachowała się jeszcze niejaki czas u ludów nawet wtedy, gdy religia została już oczyszczona. Wiadomo, że gdy eminencja de Noailles, biskup Châlons, kazała zabrać cisnąc do ognia rzekomą relikwię świętego pępka Jezusa Chrystusa, całe miasto Châlons potępiło go, ale miał on tyle odwagi co pobożności i wkrótce udało mu się przekonać Szampańczyków, że można czcić Jezusa w duchu i prawdzie, nie przechowując jego pępka w kościele.

Ci, których nazwano jansenistami, nie mało przyczynili się do tego, że niepostrzeżenie wykorzeniono z ducha narodu większość fałszywych pojęć hańbiących religię chrześcijańską. Przestano wierzyć, że wystarczy odmówić trzydziestodniową nowennę do Panny Marii, aby otrzymać wszystko, czego się tylko pragnie, i grzeszyć bezkarnie.

Na koniec mieszczaństwo zaczęło podejrzewać, że to nie święta Genowefa dawała deszcz lub posuchę, ale że to sam Bóg rozporządza żywiołami. Mnisi byli zdumieni, że ich święci nie czynili już cudów. Gdyby autorzy *Żywotu świętego Franciszka Ksawerego* powrócili

naświat, nieśmieliby pisać, że ten święty wskrzesił dziewięciu umarłych i znajdował się tym samym czasie na morzu i na ziemi, a gdy mu krucyfiks wpadł w morze, odniósł mu go krab.

Tak samo było z klątwami. Nasi historycy opowiadają nam, że gdy papież Grzegorz V wyklął króla Roberta za poślubienie księżniczki Berty, swej kumy, służba wyrzuciła przez okno mięsiwa, które podano królowi, a królowa Berta powiła gęś ponosząc karę za kazirodce małżeństwo. Powątpiewamy, aby dziś kredencjerze ekskomunikowanego króla Francji wyrzucili jego obiad za okno, a królowa wydała w podobnym wypadku naświat gąsiątko.

Jeżeli gdzieś zaułku na przedmieściu znajdzie się jeszcze trochę konwulsjonistów, jest to wszawica, która trawi już tylko najnikczemniejszy motłoch. Z dnia na dzień rozum przenika we Francji zarówno do kramów kupieckich, jak i do pałaców magnackich. Należy więc hodować owoce tego rozumu, tym bardziej że niemożliwością jest powstrzymać ich rozrost. Skoro już Francję oświecili tacy ludzie, jak Pascal, Nicole, Arnauld, Bossuet, Descartes, Gassendi, Bayle, Fontenelle i inni, nie można niarządzić tak jak za czasów Garasse'a i Menota.

Gdyby mistrze błędów—mówię o wielkich mistrzach tak długo otaczanych czcią i opłacanych za ogłupianie rodzaju ludzkiego—kazali dziś wierzyć, że ziarno powinno zgnić, aby zakiełkowało, że ziemia stoi nieruchoma w swych posadach, że nie obraca się wokół słońca, że przyływy i odpływy morza nie są naturalnym skutkiem grawitacji, że tęcza nie powstaje w wyniku załamывania się odbijania promieni świetlnych itd., i gdyby opierali się na źle rozumianych wersetach Pisma Świętego, aby umocnić swe nakazy, jakżeby na nich patrzyli wszyscy ludzie wykształceni? Czy słowo osły byłoby za mocne? Gdyby zaści

mądrzy mistrzowie używali siły i dopuszczali się prześladowań, a żeby narzucić swą uchwałę ignorancję, to czy określenie dzikie osły nie byłoby na miejscu?

Im większa pogarda otacza zabobony mnichów, tym bardziej poważani są biskupi i szanowani proboszczowie. Sprowadzają oni tylko dobro, podczas gdy mnisze zabobony ultramontańskie wyrządziłyby wiele zła. Ale czyż ze wszystkich przesądów nie jest najgroźniejsza nienawiść do bliźniego żywna z powodu jego zapatrywań? Czyż to nie oczywiste, że już rozsądniej by było oddawać część świętemu pępkowi, świętemu obrzezki, mleku i sukience Panny Marii niż pałać nienawiścią do swego brata i prześladować go?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

CNOTA JEST LEPSZA NIŻ WIEDZA

Im mniej dogmatów, tym mniej sporów, a im mniej sporów, tym mniej nieszczęść. Jeśli to nieprawda, ja nie mam racji.

Religia ustanowiona jest po to, aby nas uczynić szczęśliwymi w tym życiu i w tamtym. Czego trzeba, aby dostąpić szczęścia w życiu przyszłym? Trzeba być sprawiedliwym.

Czego trzeba, aby dostąpić szczęścia w życiu doczesnym, o tyle, o ile na to pozwala lichota naszej natury? Trzeba być pobłażliwym.

Byłoby szczytem szaleństwa, gdyby ktoś chciał musieć wszystkich ludzi, aby myśleli w ten sam sposób o metafizyce. O wiele łatwiej można by ujarzmić ręką cały świat niż ujarzmić dusze w jednym jedynym mieście.

Euklidesowi bez trudu udało się przekonać ludzkość prawdach geometrii. Dlaczego? Dlatego że nie ma wśród nich ani jednej, która by nie wynikała bezpośrednio i w sposób oczywisty z tego małego pewnika: dwa razy dwa jest cztery. Zupełnie inaczej ma się rzecz z mieszaniną metafizyki i teologii.

Kiedy biskup Aleksander i prezbiter Arius, czyli Ariusz, poczęli rozprawiać sposobie, w jaki Logos wyłonił się z Ojca, cesarz Konstantyn napisał do nich na samprzód tymi słowami, przekazanymi nam przez Euzebiusza i Sokratesa : „Jesteście

wielkimi szaleńcami spierając się o rzeczy, których nie możecie pojąć."

Gdyby obydwie strony były dość roztropne, aby przyznać, że cesarz miał rację, świat chrześcijański nie broczyłby krwią przez trzy stulecia.

Bo czyż jest coś szaleńszego i straszniejszego niż powiedzieć ludziom: „Moi drodzy, nie dość jest być wiernymi sługami, uległymi dziećmi, czułymi ojcami, dobrymi sąsiadami, nie dość jest przestrzegać wszelkich cnót, stronić od niewdzięczności, czcić w pokoju Jezusa Chrystusa. Trzeba jeszcze, abyście wiedzieli, jak on się począł we wszechwieczności, a jeśli nie potraficie rozpoznać homuzji w każdej osobie Trójcy Świętej, to zapowiadamy wam, że będziecie płonęli wieczyście w ogniu, tymczasem zaś, na początek, zaraz tu was pozabijamy."

Cóżby na to odpowiedzieli Archimedes, Posejdoniusz, Warro, Kato, Cycero, gdyby im przedstawiono taki wyrok?

Konstantyn nie wytrwał w swym postanowieniu, aby nakazać milczenie obydwu stronom. Mógł zawiadzić do pałacu przywódców ergotyzmu, mógł ich zapytać, z czyjego upoważnienia mącą świat:

„Czyż macie dokumenty boskiej rodziny? Cóż wam zależy na tym, czy

Logos został stworzony, czy też był początkiem, byle tylko dochowywano mu wiary, byle tylko głoszono dobrą moralność, byle się tylko, ile możliwości, do niej stosowano. Dopuściłem się wielu win w swoim życiu, wy również pożądamie zaszczytów i ja ich pożądam. Zdobyłem władzę za cenę szustw i okrucieństw. Zgładziłem prawie wszystkich swych bliskich, żałuję tego. Chcę mazać swe winy wprowadzając pokój w imperium rzymskim. Nie

przeszkadzajcie mi czynićjedyne dobra, dzięki któremu
mogąpójśćw zapomnienie moje dawne barbarzyństwa.
Pomóżcie mi dokończyćdni moich w pokoju."

Może nie uzyskałby niczego od zaciętrzewieńców, a może
pochlebiało mu, że przydawałsoborowi przywdziawszy
długączerwonąszatęi uginając głowępod drogimi
kamieniami.

To jednak otworzyło bramy wszelkim plagom, które
przybyły z Azji, aby zalaćZachód. Z każdego spornego
wersetu powstawała uzbrojona w sofizmat i sztylet furia,
czyniąc ze wszystkich ludzi szaleńców i okrutników.
Przybywszy znienacka, Hunowie, Herulowie, Gotowie i
Wandalowie wyrządzili nieskończenie mniej zła, a
największym złem, którego siędopuścili, było to, że sami na
koniec oddali siętym nieszczęsnym sporom.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

O TOLERANCJI POWSZECHNEJ

Nie trzeba zbyt wielkiej sztuki ani wyszukanej elokwencji, aby dowieść, że chrześcijanie winni tolerować się wzajemnie. Posunę się dalej: mówię, że powinniśmy wszystkich ludzi uważać za swych braci. Co? Turek jest moim bratem? Chińczyk jest moim bratem? Żyd? Syjamczyk? Tak, z całą pewnością. Czyżnie jesteśmy wszyscy dziećmi tego samego ojca, stworzeniami tego samego Boga?

Ależ te ludy nami pogardzają! Ależ one biorą nas za bałwochwalców! No, dobrze, to im powiem, że najzupełniej nie mają racji. Zdaje mi się, że mógłbym przynajmniej zachwiać nadętym uporem mama lub talapona, gdybym odezwał się do nich mniej więcej tak:

„Ten mały glob, który jest tylko punktem, toczy się w przestrzeni jak tyle innych globów. Jesteśmy zagubieni w tym bezmiarze. Człowiek, mający około pięciu stóp wysokości, jest na pewno drobiną pośród stworzenia. Jedną z tych istot niedostrzegalnych, gdzieś w Arabii lub w kraju Kafrów, rzecze do kilku swych sąsiadów: „Słuchajcie mnie, albowiem powiedział mi Bóg tych wszystkich światów. Jest na ziemi dziewięćset milionów takich maleńkich mrówek jak my, ale tylko moje mrowisko jest miłe Bogu. Wszystkie inne mają w obrzydzeniu od wieka do wieka. Tylko ono będzie szczęśliwe, a wszystkie inne będą wiecznie w nieszczęściu.”

Wtedy by mi przerwali pytając, kim jest obłąkaniec, który powiedział tę brednię. Byłbym zmuszony im odrzec: „To wy sami.” Próbowałbym ich następnie ułagodzić, ale to byłoby bardzo trudne.

Przemówiłbym teraz do chrześcijan. Odważyłbym się, na przykład, rzec do dominikanina, inkwizytora dla spraw wiary:

„Mój bracie, wiesz, że każda prowincja włoska ma swoje narzecze i w Wenecji mówi się inaczej niż w Bergamo czy Florencji. Akademia Crusca ustaliła język, jej słownik jest regułą, od której nie należy odstępować, a gramatyka Buonmatteiego jest nieomylnym przewodnikiem, za którym trzeba iść. Ale czy sądzisz, że konsul Akademii, a w jego nieobecności Buonmattei, mógłby z czystym sumieniem nakazać, aby poucinano języki wszystkim mieszkańcom Wenecji i Bergamo, którzy by się upierali przy swojej gwarze?”

Odpowiada mi inkwizytor:

„To wielka różnica, tutaj chodzi o zbawienie twojej duszy. To dla twojego dobra dyrektorium inkwizycji nakazuje, aby cię pojmano na podstawie zeznania jednej jedynej osoby, chociażby to był

niegodziwiec i kryminalista, abyś nie miał adwokata dla swej obrony, abyś nie znał nawet imienia swego oskarżyciela, aby inkwizytor obiecywał ci skazanie, a następnie cię skazywał, aby cię poddawał pięciu różnym torturom, aby cię potem wychłostano, zesłano na galery lub uroczyście spalono. Ojciec Ivonet, doktorowie Cuchalon, Zanchinus, Campegius, Roias, Felynus, Gomarus, Diabarus, Gemelinus wyrażają się całkiem jednoznacznie w owej materii i tej pobożnej praktyce sprzeciwiać się wolno.” Pozwoliłbym sobie odpowiedzieć mu:

„Mój bracie, może masz rację, jestem przekonany, że chcesz mi wyświadczyć dobro, ale czy nie mógłbym być zbawiony bez tego wszystkiego?”

Prawda jest, że te absurdalne okropności nie co dzień plugawią oblicze ziemi, ale powtarzały się często i łatwo można by spisać nich tom znacznie grubszy niż Ewangelie, które je potępiają. Nie tylko prześladowanie w tym krótkim życiu ludzi myślących inaczej niż my jest rzeczą okrutną, bo nie wiem, czy nie jest większym zuchwalstwem orzekać ich wieczne potępienie. Wydaje mi się, że tego rodzaju uprzedzanie wyroków Stworzyciela nie godzi się tak przelotnym jak my istotom. Daleki jestem od tego, by zwalczać maksymę: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”; szanuję ją, podobnie jak wszystko, czego się naucza, ale czyż zaprzawdęznamy wszystkie drogi Boże i cały bezmiar Bożego miłosierdzia? Czyż nie wolno tak samo pokładać w Bogu nadziei, jak się go obawiać? Czy nie dość jest dochowywać wierności Kościołowi? Czy wypada, aby każdy człowiek uzurpował sobie prawa Istoty Najwyższej i przed nią decydowało wiekuistym losie ludzkości?

Czy nosząc załobę po królu szwedzkim, duńskim, angielskim albo pruskim mówimy, że nosimy załobę po potępieńcu, który płonie na wieki w piekle? Jest w Europie czterdzieści milionów ludzi poza Kościołem rzymskim. Czyż powiemy do każdego z nich: „Panie! Z uwagi na to, że jesteś pan nieuchronnie potępiony, nie chcę z nim ani jadać, ani u niego bywać, ani z nim rozmawiać!”

Któryż ambasador francuski, przedstawiony sułtanowi na audiencji, powie sobie w głębi serca: „Jego wysokość będzie niechybnie płonąć przez całą wieczność, ponieważ została poddana obrzezaniu!” Gdyby ambasador rzeczywiście uważał, że sułtan jest śmiertelnym wrogiem Boga i przedmiotem zemsty boskiej, to czyż mógłby z nim rozmawiać? Czy należałoby go doń posyłać? Z kimże by można prowadzić handel, jakąż powinność obywatelską można by kiedykolwiek wypełnić, gdyby rzeczywiście towarzyszyło nam przeświadczenie, że rozmawiamy z potępieńcami?

O wy, zwolennicy Boga miłosiernego! Jeśliście mieli serca okrutne; jeśliście, czcząc tego, którego cały zakon polegała słowach: „Kochajcie Boga i bliźniego swego”, obciążyli ten czysty i święty zakon sofizmatami i niezrozumiałymi rozprawami; jeśliście wzniecali niezgodę, dziś powodu jakiegoś nowego terminu, jutro z powodu jednej jedynej litery alfabetu; jeśliście grozili karami wiekuistymi za opuszczenie kilku słów, za uchybienie kilku obrzędom, których inne ludy znacznie mogły-to rzeknąć was lejąwszy nad rodzajem ludzkim:

„Przenieście się wraz ze mną wów dzień, kiedy będą sądzeni wszyscy ludzie i kiedy Bóg odda każdemu według uczynków jego.

Widzę, jak sta przed nim umarli stuleci minionych i stulecia naszego. Czyście tacy pewni, że nasz Stworzyciel i Ojciec nasz powie do mądrego i cnotliwego Konfucjusza, do prawodawcy Solona, do Pitagorasa, Zaleukosa, Sokratesa, Platona, do boskich Antoninów, do dobrego Trajana, do Tytusa, rozkoszy rodzaju ludzkiego, do Epikteta i do tylu innych ludzi, wzorów człowieczeństwa: «Idźcie, potwory, idźcie ponosić kary bezgraniczne w swej mocy i trwaniu. Niechaj każda wasza będzie wieczna jako ja! A wy, ulubieńcy moi, Janie Châtelu, Ravallacu, Damiensie, Cartouche'u

itd., którzyście umarli z przepisany mi formułami na ustach, dzielcie na zawsze po mej prawicy królestwo moje i szczęśliwość moją!»"

W przerażeniu cofacie się na te słowa; teraz, gdy mi się wymknęły, nie mam wam już nic więcej do powiedzenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

MODLITWA DO BOGA

Tedy nie zwracam się już do ludzi, lecz do Ciebie, Boże wszech istot, wszechświatów i wszech czasów. Jeżeli słabym stworzeniom, zagubionym w bezmiarze i niedostrzegalnym dla reszty wszechświata, wolno jest okazać śmiałość, by prosić coś Ciebie, któryś dał wszystko. Ciebie, którego wyroki są równie niewzruszone jako i wieczne, to racz spojrzeć mi łosierne na błędy przywiązane do naszej natury. Niechaj te błędy nie pogrążają nas w nieszczęściu. Nie dałem serca po to, abyśmy się nawidzili, i rąk po to, abyśmy się mordowali. Spraw, abyśmy sobie nawzajem pomagali nieść brzemień tegoż życia ciężkiego i znikomego. Niechaj drobne różnice w ubiorach, którymi okryte są nasze kruche ciała, we wszelkich naszych niedostatecznych językach, we wszelkich naszych śmiesznych obyczajach, we wszelkich naszych niedoskonałych prawach, we wszelkich naszych niedorzecznych poglądach, we wszelkich dolach tak różnych dla naszych oczu, a tak równych przed Twoim obliczem, niechaj te wszystkie nieznaczące różnice, które znamionują atomy zwane ludźmi, nie stają się sygnałami nienawiści i prześladowania. Niechaj ci, którzy zapalają gromnice w samo południe, aby Cię uczcić, cierpiących, którzy zadowalają się światłem Twojego słońca. Niechaj ci, co okrywają sutannę białym płótnem, aby głosić, że trzeba Cię miłować, nie żywią nienawiści do tych, którzy głoszą to samo w płaszczu z czarnej wełny. Niechaj będzie wszystko jedno, czy oddawana Ci jest cześć w gwarze powstałej z języka starodawnego, czy też w gwarze nowszej. Niechaj ci, którzy noszą suknie ufarbowane na czerwono lub fioletowo, którzy panują nad cząsteczką stosu brudów tego świata i mają w swym posiadaniu zaokrąglone ułamki pewnego metalu, korzystają bez pychy z tego, co nazywają wielkością i bogactwem, inni zaś niechaj na to

patrzanie zazdrośnie, albowiem wiesz, że nie ma w tych marnościach ani czego zazdrościć, ani też czym się pysznić.

Obyżwyszcy ludzie przypomnieli sobie, że są braćmi!
Obyżmierzyli sobie tyrańskie sprawowanie nad duszami,
podobnie jak brzydzą się rabun-

kiem, który siłą wydziera owoce pracy i spokojnego
rękodzieła! Jeżeli już plagi wojny są nieuniknione, porzućmy
nienawiść, nie rozdzierajmy się wzajemnie pośród pokoju i
korzystajmy z chwili naszego istnienia, aby jednak w
tysiącu języków od Syjamu aż do Kalifornii
wielbić twoją dobroć, która nas obdarzyła tą chwilą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

POSTSCRIPTUM

Kiedyśmy pracowali nad tym dziełem, pragnąc jedynie skłonić ludzi do współczucia i łagodności, inny człowiek pisał jednocześnie, powziąwszy zamiar wręcz odwrotny, bo każdy ma swoje zdanie. Człowiek ten drukował mały kodeks prześladowań zatytułowany *Zgodność religii i uczuć ludzkich* (to błąd drukarski, czytajcie: *nie* ludzkich).

Autor tego świętego paszkwilu opiera się na świętym Augustynie, który najpierw był kaznodzieją łagodności, ale w końcu stał się głosiicielem prześladowań, ponieważ należał wtedy do tych, co byli górami, i ponieważ często zmieniał zdanie. Autor cytuje również biskupa z Meaux, Bossueta, który prześladował sławnego Fénelona, arcybiskupa Cambrai, za wydrukowanie, że Bóg jest wart zachodu, aby go kochać dla niego samego.

Przyznaję, że Bossuet był elokwentny. Przyznaję to, że biskup Hippony, często kroć niekonsekwentny, był wymowniejszy niż inni Afrykańczycy, ale słowami Armandy z *Uczonych białogłów* pozwolę sobie powiedzieć autorowi tego świętego paszkwilu:

Jeśli kto chce się zbliżyć do jakiejś istoty, W tym niechaj szuka wzorów, co tworzy jej cnoty.

(Akt I. scena I)

Powiem do biskupa Hippony: „Ekscelencja zmieniła zdanie, niech więc mi pozwoli trzymać się jej poprzedniego sądu. Po prawdzie, uważam go za lepszy.”

Powiem do biskupa z Meaux: „Ekscelencjo, jesteś wielkim człowiekiem, uważam, że jesteś co najmniej równie uczony

jak święty Augustyn, a o wiele wymowniejszy. Ale po cóż tak dręczyć swego konfratra, który—w innym stylu — odznaczał się taką samą excelsą wymową, a bardziej był godny miłości?"

Autor świętego paszkwilu o nieludzkości nie jest ani Bossuetem, ani Augustynem, natomiast wydaje mi się, że byłby z niego wyśmienity inkwizytor. Postawiłbym go w Goi na czele tego pięknego trybunału. Jest on ponadto mężem stanu i popisuje się doniosłymi maksymami politycznymi: „Jeżeli—powiada—macie u siebie wielu nieprawowiernych, to miejcie dla nich względy, przekonujcie ich. Jeżeli jest ich mało, zróbcie użytek z szubienicy i galer, a wyjdziecie na tym bardzo dobrze.” Tak radzi na stronicy 89 i 90.

Jestem, Bogu dzięki, dobrym katolikiem, nie potrzebuję obawiać się tego, co hugonoci nazywają męczeństwem, ale jeżeli ten człowiek zostanie kiedy pierwszym ministrem, jak się zdaje tuszyć w swym paszkwilu, to ostrzegam, że udaję się do Anglii tego samego dnia, w którym otrzyma on nominację.

Zanim to się stanie, mogę tylko dziękować Opatrzności, że za jej dopustem ludzie tego pokroju zawsze kiepsko rozumują. Ten człowiek posuwa się aż tak daleko, że wymienia Bayle'a wśród zwolenników nietolerancji. Jest w tym sens i spryt: stąd, że Bayle godzi się, aby karać buntowników i hultajów, nasz mąż wyciąga wniosek, że trzeba prześladować ogień i mieczem spokojnych ludzi dobrej woli.

Prawie cała jego książka jest naśladownictwem *Apologii nocy świętego Bartłomieja*. To ten sam apologeta albo jego echo. I w jednym, i w drugim wypadku należy żywić nadzieję, że ani mistrz, ani uczeń nie będą rządzili państwem.

Ale jeżeliby się tak zdarzyło, że staliby się jego panami, przedkładał im z góry tęsknąc do dwóch linijek na stronie 93 świętego paszkwilu:

„Czy dla szczęścia dwudziestej części narodu należy poświęcić szczęście całego narodu?”

Gdy nawet założymy, że we Francji rzeczywiście jest dwudziestu rzymskich katolików na jednego hugonota, to nie sądzę, żeby jeden hugonot pożarł dwudziestu katolików; ale również dla czego tych dwudziestu katolików miałoby pożreć hugonota i czemu wzbraniać hugonotowi zawarcia małżeństwa? Czyż nie ma biskupów, opatów, mnichów posiadających włości w Delfinacie, w Gevaudan, ku Adge, ku Carcassonne? Czyż ci biskupi, ci opaci, ci mnisi nie mają dzierżawców, którzy nieszczęsnym trafem nie wierzą transsubstancjację? Czyż w interesie tych biskupów, tych opatów, tych mnichów i w interesie publicznym nie leży, aby owi dzierżawcy mieli liczne rodziny? Czyż tylko tym, którzy będą komunikować pod jedną postacią, będzie wolno płodzić dzieci? To na prawdę jest ani słuszne, ani uczciwe.

„Odwołanie Edyktu nantejskiego nie wyrządziło tylu szkód, ile się temu przypisuje”—powiada autor.

Jeżeli rzeczywiście przypisuje się temu odwołaniu więcej szkód, niż ono wyrządziło, grzeszy się przesadą, ale przesada jest błędem prawie wszystkich historyków, jak błędem wszystkich kontrowersystów jest bagatelizowanie zła, które im się wytyka. Nie wierzymy ani doktorom paryskim, ani też amsterdamskim kaznodziejom.

Weźmy na sędziego pana hrabiego d'Avaux, który był ambasadorem w Holandii od 1685 do 1688 roku. Powiada on (tom V, strona 181), że jeden jedyny człowiek ofiarował się wykryć przeszło dwadzieścia milionów, które

prześladowani wywieźli z Francji. Ludwik XIV odpowiedział panu d'Avaux: „Codziennie otrzymuję raporty o ogromnej liczbie nawróconych; nie pozwalajami one dłużej wątpić, że najbardziej nawet uparci nie idą już za przykładem tamtych.”

Z tego listu Ludwika XIV widzimy, że szczerze wierzył w potęgę swej władzy. Mówiono doń co rano: „Najjaśniejszy panie, jesteś największym królem świata. Cały świat będzie się chlubił, że myśli tak jak ty, skoro tylko przemówisz.” Pellisson, który wzbogacił się na stanowisku ministra skarbu, Pellisson, który przesiedział trzy lata w Bastylii jako współnik winy Fouqueta, Pellisson, który z kalwinisty stał się diakonem i beneficjariuszem, który drukował książeczki do nabożeństwa i wiązanki wierszy do lrydy, który zawiadywał beneficjami kościelnymi i funduszami dla nowo nawróconych, Pellisson, powtarzam, przynosił co trzy miesiące długą listę wyznań wiary po siedem lub osiem talarów sztuka i wmawiał swemu królowi, że gdyby chciał, nawróciłby wszystkich Turków po tej samej cenie. Wszyscy po kolei go oszukiwali. Czyż mógł się oprzeć takim praktykom uwodzicielskim?

Równocześnie tenże sam pan d'Avaux zawiadamia króla, że niejaki Vincent zatrudnia w okolicy Angoulême ponad pięćset robotników; jego wyjazd będzie wielką szkodą (tom V, strona 194).

I ten sam pan d'Ayaux mówi o dwóch pułkach, które książę Orański już kazał zaciągnąć z biegłym oficerom francuskim, mówi o marynarzach, którzy zdezerterowali z trzech statków, aby służyć na statkach księcia Orańskiego. Oprócz tych dwu pułków książę Oranii formuje jeszcze kompanię biegłych kadetów pod dowództwem dwu kapitanów (strona 240). Ów ambasador pisze ponadto do pana de Seignelai 9 maja 1686 roku, „że trudno mu przed

nim ukryć ból, z jakim patrzyła rękodzielnie francuskie otwierające się Holandii, której już nigdy nie opuszczą".

Dodajcie do tych świadectw świadectwa wszystkich intendentów królestwa za rok 1699 i osądźcie, czy odwołanie Edyktu nantejskiego nie przy-

niosło więcej zła niż dobra, wbrew opinii szanownego autora *Zgodności religii i uczuć ludzkich*.

Pewien marszałek Francji, znany z wybornego umysłu, powiedział kilka lat temu: „Nie wiem, czy dragonady były konieczne, ale jest rzeczą konieczną, by ich już nie powtórzyć.”

Zdawało mi się, przyznaję, iż posuwam się trochę za daleko publikując list korespondenta ojca Le Telliera, w którym to liście członek kongregacji proponuje beczki z prochem. Powiedziałem sobie: „Nie uwierzami, uznaj ten list za sztuczkę myśloną.” Na szczęście, opuściły mnie skrupuły, gdy w *Zgodności religii i uczuć ludzkich* przeczytałem na stronie 149 te słodkie słowa:

„Całkowite wyćpienie protestantów we Francji nie więcej osłabiłoby Francję, aniżeli puszczenie krwi osłabia chorego dobrej konstytucji cielesnej.”

Ów miłosierny chrześcijanin, który przed chwilą powiedział, że protestanci stanowią dwudziestą część narodu, pragnie więc rozlewu krwi tej dwudziestej części i uważa tę operację tylko za puszczenie krwi do miedniczki! Niechaj nas wraz z nim Bóg ochroni od trzech dwudziestych!

Jeżeli więc ten zacny człowiek zaleca uśmiercić dwudziestą część narodu, to dlaczego by przyjaciel ojca Le Telliera nie miał zalecać wysadzenia w powietrze,

wymordowania i wytrucia trzeciej części? Jest tedy rzeczą prawdopodobną, że list do ojca Le Telliera został rzeczywiście napisany.

Święty autor dochodzi na zakończenie do wniosku, że nietolerancja jest rzeczą wyborną, „ponieważ —mówi— nie potępił jej wyraźnie Jezus Chrystus”. Ale Jezus Chrystus nie potępił również tych, którzy by podłożyli ogień z czterech stron Paryża! Czyżto dowód, że mamy kanonizować podpalaczy?

Tak więc gdy z jednej strony natura odzywa się głosem łagodnym i dobrotliwym, fanatyzm, wróg natury, podnosi wrzask, a gdy nastaje pokój, nietolerancja kuje oręż. O ty, rozjemco narodów, któryś dał pokój Europie, zakończ spór między duchem pokoju i duchem mordu!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

CIĄG DALSZY I WNIOSKI

Dowiadujemy się, że gdy 7 marca 1763 roku zebrała się w Wersalu cała Rada Stanu pod przewodnictwem kanclerza, w obecności ministrów bez

99

teki, pan de Crosne, referendarz Rady Stanu, przedstawił sprawę Calasów' z bezstronnością sędziego, ścisłością człowieka doskonale oświeconego, prostą i prawdziwą elokwencją mówcy-męża stanu, jedyną, która przystoi w takim zgromadzeniu. W galerii pałacu niesłychana ciżba ludzi wszelkich klas czekała na orzeczenie Rady. Doniesiono wkrótce królowi, że wszystkimi bez wyjątku głosami zapadła uchwała, aby parlament tuluzjański przesłał Radzie akta procesu i motywy wyroku, mocą którego Jan Calas wyzionął ducha na kole. Jego Królewska Mość zatwierdził postanowienie Rady.

Jest więc człowieczeństwo i sprawiedliwość wśród ludzi, szczególnie w łonie Rady króla umiowanego i godnego miłości. Sprawa nieszczęśliwej rodziny nieznanego obywateli zajęła Jego Królewską Mość, jego ministrów, kanclerza i całą Radę, była roztrząsana z tym samym skrupulatnym namysłem, z jakim można rozpatrywać wielkie zagadnienia wojny i pokoju. Każdym z sędziów powodowały miłość do sprawiedliwości oraz dobro rodzaju ludzkiego. Niechaj oddane będą dzięki owemu Bogu miłosiernemu, który jest jedynym natchnieniem sprawiedliwości i wszelkich cnót.

Składamy tu świadectwo, żeśmy nigdy nie znali tego nieszczęsnego Calasa, którego ośmiu sędziów tuluzjańskich skazało na zasadzie najbliższych poszlak, wbrew edyktom

naszych królów i wbrew prawom wszystkich narodów. Nie znaliśmy też ani jego syna Marka Antoniego, którego dziwna śmierć wprowadziła tych ośmiu sędziów w błąd, ani matki równie szanownej jak nieszczęśliwej, ani niewinnych córek, które razem z nią przebyły dwieście mil, aby złożyć swą niedolę i cnotę stóp tronu.

Bóg wie, że ożywia nas tylko duch sprawiedliwości, prawdy i pokoju, gdyśmy z powodu Jana Calasa, którego zabił duch nietolerancji, napisali to, co myślimy o tolerancji.

Nie wydawało nam się, abyśmy znieważali ośmiu sędziów tuluzańskich mówiąc-podobnie, jak to się stało przypuszczeniem całej Rady- że się pomylili. Wręcz odwrotnie: otworzyliśmy im drogę do sprawiedliwienia się przed całą Europą. Droga ta zmierza ku temu, by się przyznali, że wątpliwe poszlaki i krzyki niepoczytalnego tłumu zwiodły ich sprawiedliwość, by prosili wdowę o przebaczenie i wynagrodzili, o ile to tylko jest w ich mocy, rodzinie jej całkowitą ruinę, przyłączając się do tych, którzy ją wspierają w utrapieniu. niesprawiedliwie posłali na śmierć ojca, muszą

Pan de Voltaire ma tu na myśli, że nie łączyły go żadne inne związki z rodziną Calasów prócz tego, że podjęli ich obronę oraz popierali ich zażalenia i skargi. (Przypis wydania kehl-

skiego.)

więc zastąpić dzieciom ojca, o ile tylko sieroty zechcą przyjąć słaby dowód bardzo słusznego żalu. Obowiązkiem sędziów jest okazać owe dowody, a obowiązkiem rodziny jest ich nie przyjąć.

Niech pan David, kapituł Tuluzy, da przykład żalu, skoro był pierwszym prześladowcą niewinności. Znieważył ojca rodziny umierającego na szafocie. To niesłychane

okrucieństwo! ależe Bóg wybacza, ludzie powinni również wybaczyć temu, kto naprawia swe nieprawości.

Napisano mi z Langwedocji ten list datowany z dnia 20 lutego 1763 roku:

„Pańskie dzieło o tolerancji wydaje mi się pełne człowieczeństwa i prawdy, ale boję się, by nie uczyniło rodzinie Calasów więcej zła niż dobra. Może ono rozjątrzyć ósmiu sędziów, którzy opowiedzieli się za kaźnią łamania kołem. Zażądają od parlamentu, aby spalono pańską książkę, a fanatycy (bo oni istnieją zawsze) odpowiedzą wściekłym wrzaskiem na głos rozumu” itd.

Odpowiedziałem tak:

„Ósmiu sędziów z Tuluzy może nakazać spalenie mojej książki, jeżeli jest dobra. Nie ma nic łatwiejszego: spalono przecież *Prowincjałki*, które niewątpliwie są więcej warte. Każdy może u siebie palić książki i papiery, które mu się nie podobają.

Moje dzieło nie może ani wyświadczyć dobra, ani wyrządzić zła Calasom, których wcale nie znam.

Rada królewska, bezstronna i niewzruszona, sądzi według praw, według sprawiedliwości, na zasadzie akt, stosownie do procedury, a nie na podstawie pisma, które nie ma charakteru prawnego i w gruncie rzeczy jest całkowicie postronne wobec sądzonej sprawy.

Nadaremnie byśmy drukowali foliały przemawiające za ósmioma sędziami z Tuluzy lub przeciw nim, za tolerancją lub przeciw niej: ani Rada, ani żaden trybunał nie uzna tych ksiąg za dowody w procesie.

To pismo o tolerancji jest prośbą, którą człowieczeństwo najuboższej przedkłada władzom i rozsądkowi. Rzucam w ziemię ziarno, które pewnego dnia może wydać plon. Oczekujemy wszystkiego od czasu, od dobroci króla, od mądrości jego ministrów i od ducha rozumu, który wszędzie zaczyna szerzyć swoje światło.

Natura powiada do ludzi: "Sprawiłam, że wszyscy urodziliście się słabymi i nieświadomymi, aby kilka minut wegetować na ziemi i użyżnić waszymi zwłokami. Wspierajcie się, ponieważ jesteście słabi, oświecajcie się tolerując wzajemnie, ponieważ jesteście nieświadomi. Gdybyście nawet

wszyscy byli tego samego zdania, co z pewnością nie nastąpi nigdy, gdyby był tylko jeden jedyny człowiek przeciwnego zdania, powinniście mu wybaczyć, to ja bowiem kazałam mu myśleć tak, jak myśli. Dałam wam ręce, abyście uprawiali ziemię, dałam wam niktę światła i rozumu, aby was prowadziło. Zasadziłam w waszych sercach ziarenko współczucia, abyście jedni drugim pomagali znosić życie. Strzeżcie się, by nie zagłuszyć tego ziarenka i nie skazić go, wiedźcie, że jest boskie, i nie zastępujcie głosu natury żalosną jadłocią systematu.

To także ja jedynie, wbrew wam samym, łączę was wzajemnymi potrzebami nawet pośród waszych okrutnych wojen tak lekkomyślnie podejmowanych, na wiecznym teatrum waszych błędów, hazardów i nieszczęść. To ja jedynie powściągam w narodzie nigdy nie kończącą się niezgodę między szlachtą i magistraturą, między tymi dwoma ciałami i klerem, a nawet między mieszczaninem i rolnikiem. Nie znają oni granic swych praw, ale wszyscy z czasem wbrew woli dają posłuch mojemu głosowi, który przemawia do ich serc. To ja jedynie zachowuję sprawiedliwość w trybunałach, gdzie beze mnie

wszystko byłoby wydane na łup chwiejności i kaprysów—
pośród tej gmatwaniny ustaw wydanych
częstokroć przypadkiem i dla potrzeby przelotnej,
odmiennych co prowincja, co miasto i prawie zawsze
sprzecznych między sobą tej samej miejscowości. Jedynie
ja mogę natchnąć sprawiedliwością, podczas gdy ustawy
pobudzają tylko do wybiegów. Ten, kto mnie słucha, zawsze
sądzi dobrze, a kto stara się tylko pogodzić opinie
sprzeczne, błąka się po manowcach.

Istnieje budowla olbrzymia, której fundamenty położyłam
własnymi rękoma; była mocna i prosta, każdy człowiek
mógł wejść do niej bezpiecznie. Ale każdy chciał dodać do niej
ozdoby jak najbardziej dziwaczne, niekształtne i
bezużyteczne. Gmach rozsypuje się gruzy ze wszystkich stron.
Ludzie chwytają stamtąd kamienie i ciskają je sobie na głowy.
Wołam do nich: Powściągnijcie się, usuńcie żałosne zwaliska,
będące dziełem rąk waszych, i ciesząc się pokojem
zamieszkajcie na wieki ze mną w niewzruszonej budowli,
która należy do mnie.»"

ROZDZIAŁ ŚWIEŻO DODANY

— W KTÓRYM ZDAJE SIĘ SPRAWĘ Z OSTATECZNEGO WYROKU WYDANEGO NA KORZYŚĆ RODZINY CALASÓW

Od 7 marca 1763 roku aż do wyroku ostatecznego minęło jeszcze dwa lata. Tak łatwo jest fanatyzmowi pozbawić niewinność życia, a tak trud-

no jest rozumowi oddać jej sprawiedliwość. Trzeba było przetrwać okresy koniecznych zwłok, nieuchronnie związanych z formalnościami. Im mniej tych formalności przestrzegano skazując Calasa, tym surowiej musiała ich przestrzegać Rada Stanu. Jeden rok nie wystarczył, aby zmusić parlament tuluzjański do nadesłania Radzie wszystkich akt sądowych celem ich zbadania i zreferowania. Panu de Crosne znowu przypadł ciężar tej mozolnej pracy. Zgromadzenie nieomal osiemdziesięciu sędziów skasowało wyrok tuluzjański i zarządziło całkowitą rewizję procesu.

Inne doniosłe sprawy zajmowały podówczas prawie wszystkie trybunały królestwa. Wygnano jezuitów, zniesiono we Francji ich towarzystwo. Byli nietolerancyjni i prześladowali; z kolei na nich spadły prześladowania.

Już szaleństwo kartek od spowiedzi, których, według powszechnego mniemania, byli cichymi twórcami, a publicznie opowiadali się jako ich zwolennicy, wznieciło przeciwko nim nienawiść narodu. Dopełniło ich zguby bankructwo jednego z misjonarzy jezuickich, bankructwo,

które uważano za w pewnej mierze złośliwe i którego rozmiary były ogromne. Te dwa słowa: „misjonarze” i „bankruci”, jak najmniej nadające się do tego, aby je z sobą łączyć, zabrzmiały we wszystkich duszach jak dekret potępienia jezuitów. Wreszcie ruiny Port-Royalu i kości tylu ludzi sławnych znieważone przez nich w swoich grobach i z tych grobów wyrzucone w początkach stulecia na mocy rozporządzeń, które dyktowali sami jezuita, podniosły się pospołu przeciwko ich wygasającemu kredytowi. Możemy poznać historię ich wygnania dzięki wyśmienitej książce zatytułowanej *O zagładzie jezuitów we Francji*, dziełu bezstronnemu, ponieważ skreśliło je pióro filozofa, napisanemu z przenikliwością i wymową Pascala, a przede wszystkim uderzającemu wyższością wiedzy, która nie jest, jak u Pascala, zamglona przesadami, uwodzącymi nieraz wielkich ludzi.

Ta wielka sprawa - o której pewni zwolennicy jezuitów mówili, że stanowiła zniewagę dla religii, natomiast olbrzymia większość ludzi była zdania, że religię pomoszono - stała się przyczyną zniesienia na kilkanaście miesięcy procesu Calasów z widowni publicznej. Ale gdy król przyznał trybunałowi zwanemu Sądami Nadwornymi prawo zawyrokowania w ostatniej instancji, publiczność, która lubi przerzucać się od widowiska do widowiska, zapomniała o jezuitach, a całą jej uwagę skupili na sobie Calasowie.

Sądy Nadworne są trybunałem suwerennym, złożonym z referendarzy Rady Stanu i rozstrzygającym w procesach toczących się między urzędnikami dworu oraz w sprawach, które im król odsyła. Trudno było wy-

brać trybunał lepiej poinformowany o sprawie: występowali tu ci sami prawnicy, którzy dwukrotnie rozpoznawali preliminaria rewizji i wyśmienie znali zarówno istotę, jak i formę sprawy. Wdowa po Janie Calasie, jej syn i pan Lavoisier

poszli znów do więzienia. Sprowadzono z głębi Langwedocji ową starą służącą katoliczkę, która ani na chwilę nie opuściła swych panów i swej pani w czasie, gdy wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu przypuszczano, że udusili syna i brata. Rozpatrzono wreszcie te same akta, które posłużyły do skazania Jana Calasa na łamanie kołem, a jego syna Piotra na wygnanie.

Wtedy właśnie ukazał się nowy memoriał wymownego pana de Beaumont i drugi, napisany przez młodego pana Lavoisier'a, tak niesprawiedliwie wpłatanego w ten proces kryminalny przez sędziów tulujańskich, którzy aby osiągnąć szczyt sprzeczności, nie ogłosili wyroku uniewinniającego. Ten młody człowiek sam skreślił pismo przedstawiające stan faktyczny, wszyscy zaś osądzili, że godne ono jest, aby ukazało się drukiem, na równi z memoriałem pana de Beaumont.

Miał podwójną przewagę występując w swojej obronie i w obronie rodziny, z którą dzielił kajdany. Rozbicie własnych kajdan i wyjście z więzienia tulujańskiego zależało tylko od niego, wystarczało, by tylko zechciał powiedzieć, że na chwilę opuścił Calasów w czasie, kiedy jak utrzymywano, ojciec i matka zamordowali swego syna. Grożono mu karą, stawiano przed oczyma torturę i śmierć. Jedno słowo mogło mu przywrócić wolność. Wolał narazić się na karę niż wypowiedzieć to słowo, które byłoby kłamstwem. W swym piśmie przedstawił wszystkie te szczegóły ze szczerością tak szlachetną, tak prostą, tak daleką od wszelkiego popisu, że wzruszyły tych, których chciały tylko przekonać, iż, nie ubiegając się o rozgłos, zniewolił do podziwu.

Jego ojciec, wzięty adwokat, w najmniejszym nawet stopniu nie uczestniczył w opracowaniu tego pisma. Syn, który nigdy nie występował przed sądem, od razu dorównał ojcu.

Nadszedł dzień 9 marca 1765 roku, w którym niewinność atriumfowała całkowicie. Gdy pan de Baquencourt zreferował przebieg procesu aż do najdrobniejszych nawet okoliczności, wszyscy sędziowie jednogłośnie uznali rodzinę za niewinną niesprawiedliwie osądzoną przez parlament tulujański. Zrehabilitowali pamięć ojca. Zezwolili rodzinie odwołać się, gdzie należy, aby pozwać sędziów i uzyskać zwrot kosztów oraz wynagrodzenie strat, które sadownicy tulujańscy winni byli pokryć własnej woli.

Powszechna była radość w Paryżu. Gromadzono się na placach publicznych, na promenadach, ludzie zbiegali się, by ujrzeć rodzinę szczęśliwą, a tak szczęśliwie uniewinnioną. Klaskano w ręce na widok przecho-

dzących sędziów, obsypywano ich błogosławieństwami. Widowisko to jeszcze bardziej wzruszało, jako że ten dzień, 9 marca, był dniem tym samym, w którym przed trzema laty Calas zginął wśród najokrutniejszych męczarni.

Panowie referendarze oddali rodzinie Calasów pełną sprawiedliwość, przez co wypełnili jedynie swój obowiązek. Pozostaje jeszcze drugi obowiązek, obowiązek wyświadczenia dobra, rzadziej dopełniany przez trybunały, które sobie bodaj wyobrażają, że stworzono je tylko po to, aby były sprawiedliwe. Referendarze Rady Stanu uchwalili wspólnie napisać do Jego Królewskiej Mości z uniżoną prośbą, by swymi darami podźwignął zrujnowaną rodzinę. List został napisany. Król odpowiedział nań, każąc wręczyć trzydzieści sześć tysięcy liwrów matce i dzieciom. Z tych trzydziestu sześciu tysięcy liwrów trzy tysiące przeznaczał dla poczciwej służącej, która niezachwianie broniła prawdy broniąc swoich panów.

Tym aktem łaskawości, jak i tyloma innymi czynami, król zasłużył sobie na przydomek, który mu nadała miłość narodu. Niechaj ten przykład natchnie ludzi tolerancją, bez której fanatyzm spustoszyłby ziemię albo przynajmniej pogrążyłby ją w nieustannym smutku. Wiemy, że nie chodzi tutaj o jedną tylko rodzinę, jako że zjadłość sekt zgubiła rodzin tysiące. Ale dziś, gdy po stuleciach rzezi ciemności pozwala odpocząć społeczeństwom chrześcijańskim, w tym czasie spokojnym nieszczęście Calasów powinno sprawić olbrzymie wrażenie, niemal na podobieństwo gromu, który spada z jasnego nieba. Takie wypadki bywają rzadkie, ale zdarzają się z skutkiem ponurego zabobonu, który zniewala dusze słabe do pomawiania o zbrodnię każdego, ktokolwiek nie myśli tak jak one.

DOKUMENTY AUTENTYCZNE DOTYCZĄCE ŚMIERCI CALASÓW I WYROKU WYDANEGO W TULUZIE

Wyjątek z listu wdowy po Calasie

15 czerwca 1762

Tak, Panie, uczynię wszystko, aby udowodnić, żeśmy niewinni, bo wolę umrzeć niewinną niż żyć piętnem posądzenia o zbrodnię. Nie przestano ciężyć niewinnych i prześladować okrutnie naszej nieszczęśliwej rodziny. Niedawno, jak Pan wie, porwali mi moje najdroższe córki, jedyną pociechę, jaką mi została, i wtrącili je do dwóch różnych klasztorów w Tuluzie. Zawlekli je na miejsce, które było sceną wszystkich naszych straszliwych nieszczęść, i nawet nie pozwolili im być razem. Ale jeśli król raczy rozkazać, żeby troszczono się o nie, nic innego mi nie zostaje, jak go pobłogosławić. A oto dokładne szczegóły tego nieszczęsnego zdarzenia, tak jak naprawdę ono się stało.

Owego niefortunnego dla nas dnia, 13 października 1761 roku, przyszedł do naszego domu pan

Gobert Lavaisse, który przybył z Bordeaux (gdzie czas jakiś przebywał), aby odwiedzić rodziców bawiących podówczas w swojej wsi, i szukał konia do wynajęcia, bo chciał pojechać do nich między czwartą

piątą godziną wieczorem. Mój mąż powiedział mi, że skoro nie jedzie zaraz, zrobi nam przyjemność, jeśli zechce zjeść z nami kolację, na co ów młodzieniec przystał chcąc przywitać się przyszedł do mego pokoju, z którego wbrew zwyczajowi nie wyszłam. Zaraz po powitaniu powiedział mi: „Zostaję na kolacji u państwa, mąż pani mnie zaprosił.” Wyraziłam mu swoje zadowolenie i opuściłam go na chwilę dla wydania poleceń służącej. Następnie odszukałam mego starszego syna, Marka Antoniego, którego zastałam siedzącego samotnie w sklepie i bardzo zamyślonego; poprosiłam go, by poszedł po ser roquefort. To on go zazwyczaj kupował, bo znał się na tym lepiej od innych. Powiedziałam mu zatem: „Słuchaj, idź kupić sera roquefort, tu masz pieniądze, resztę oddasz ojcu”, i powróciłam do pokoju, w którym zostawiłam młodego Lavoisiera. Ale on po chwili opuścił mnie mówiąc, że chce raz jeszcze iść do zajazdu zobaczyć, czy nie wrócił jaki koń, pragnął bowiem koniecznie jechać na jutro do ojca; i wyszedł.

Kiedy mój starszy syn przyniósł ser i nadeszła pora wieczerzy, wszyscy udaliśmy się do sali jadalnej i zasiedliśmy do stołu. Podczas kolacji, która nie trwała długo, była mowa o rzeczach obojętnych, między innymi o zabytkach znajdujących się w ratuszu; mój młodszy syn, Piotr, chciał wyliczyć niektóre z nich i brat go zganił, bo mówił niezręcznie i źle.

Przy deserze ten nieszczęsny chłopiec, chcąc powiedzieć mój starszy syn, Marek Antoni, wstał od stołu, jak to było w jego zwyczaju, i poszedł do kuchni. Służąca spytała go: „Nie zimno paniczowi? Niech panicz się ogrzeje.” Odparł jej: „Przeciwnie, cały jestem w ogniu”, i wyszedł. Pozostaliśmy jeszcze czas jakiś przy stole, po czym przeszliśmy — pan Lavoisier, mój mąż, syn i ja — do tego pokoju, który Panu jest znajomy, bo Pan w nim nocował. Pan Lavoisier i mąż siedli na sofie, mój młodszy w fotelu, a ja na

krześle i wiedliśmy wspólnie rozmowę. Mój młodszy syn zdrzemnął się. Za kwadrans dziesiąta lub o dziesiątej pan Lavoisier pożegnał się z nami, więc obudziliśmy młodszego syna, żeby poszedł doprowadzić Lavoisiera. Daliśmy mu świecznik, aby poświecił na schodach, i zeszli razem na dół.

Lecz w chwili potem, kiedy byli już na dole, usłyszeliśmy głośne krzyki na trwogę; nie mogliśmy zrozumieć, co wołali, i mąż pobiegł za nimi, a ja wyszłam cała drżąc na galerię, nieśmiało zejść nie wiedząc, co by to być mogło.

Jednak gdy nikt nie przychodził, postanowiłam zejść na dół, co też uczyniłam, ale na ostatnich stopniach spotkałam pana Lavoisiera, którego z wielką niecierpliwością zapytałam, co się zdarzyło. Odrzekł na to, że błaga mnie, bym powróciła na górę, że dowiem się o wszystkim. I tak usilnie nalegał, że powróciłam z nim do mego pokoju. Zapewne uczynił to, aby oszczędzić mi bolesnego widoku syna w takim stanie. Zaraz też szedł powrotem na dół. Ale niepewność, w jakiej się znajdował, była zbyt silna, że bym w niej długo wytrwać mogła. Wołam więc służącą mówiąc: „Zaneto, idź, zobacz, co się tam stało. Nie wiem, co to znaczy, i dręcała.” Dałam jej świecę i zeszła na dół. Ponieważ jednak nie wracała, żeby mi zdać sprawę, zeszłam sama. Och, wielki Boże! Jakaż była moja boleści zdumienie, gdy spostrzegłam mego drogiego syna leżącego na ziemi! Wszakże nie sądziłam wcale, że jest nieżywy, i pobiegłam po lekarza, myśląc, że zasnął. A ponieważ nadzieja nie odstępuje nas aż do ostatka, czyniłam wszystkie możliwe starania, żeby przywrócić go do życia, nie mogąc uwierzyć, że umarł. Łudziłam się wszyscy, bo gdy posłano po chirurga i znalazł się on obok mnie, zauważyłam go dopiero wtedy, kiedy powiedział, że synowi już nic nie pomoże, bo nie żyje. Odparłam, że to być nie może, i prosiłam, żeby zbadał go uważnie i dokładnie, co spełnił, ale nadaremnie. Było to

aż nadto prawdziwe. Przez cały ten czas mój mąż stał oparty o ładek tak rozpaczał, że moje serce jednakowo rozdzierał okropny widok zmarłego syna i strach, że utracę męża przez ten ból, któremu cały się oddawał nie chcąc słuchać żadnej pociechy. W tym to właśnie stanie zastała nas sąd, gdy rozkazała nam pilnować w naszym pokoju, do którego polecono nam się udać.

To wszystko, słowo w słowo, co naprawdę się wydarzyło. I proszę Boga, który zna naszą niewinność, żeby mnie skazała na karę wieki, jeśli dodałam lub odejłam choć jotę, jeśli nie wyznałam całej prawdy we wszystkich jej szczegółach. Gotowa jestem prawdę tę krwią własną przypieczętować.

LIST DONATA CALASA DO MATKI, WDOWY PO JANIE CALASIE

Châielaine. 22 czerwca 1762

Moja droga, nieszczęśliwa i czcigodna Matko! Widziałem Twój list w ręku naszego przyjaciela, który czytając go płakał. Zrosiłem i ja ten list łzami. Upadłem na kolana i zaklinałem Boga, żeby miżycie odebrał, jeśli ktokolwiek z naszej rodziny winien jest morderstwa przypisywanego memu ojcu i bratu, a o które nawet Ty, najcnotliwsza z matek, zostałaś obwiniona.

Przed kilkoma miesiącami udałem się do Szwajcarii, jak tego wymagały moje skromne sprawy handlowe, i tam właśnie dowiedziałem się o strasznym losie naszej rodziny. Najpierw otrzymałem wiadomość, że Ty, Matko, ojciec, brat Piotr Calas i pan Lavoisier, młodziśeniec znany z prawości charakteru i łagodności obyczajów, znajdujecie się w więzieniu w Tuluzie, że mój starszy brat, Marek Antoni Calas, zginął straszną śmiercią, że z nienawiści, którą tak często rodzą różnice religijne, Was wszystkich oskarżono o zabójstwo. Rozpacz przyprawiła mnie o chorobę. Pragnąłem umrzeć.

Wkrótce doniesiono mi, że na widok ciała mego zmarłego brata część motłochu tuluzjańskiego krzyczała u naszych drzwi: „To ojciec i jego protestancka rodzina go zamordowali! Chciał zostać katolikiem, miał

jutro wyrzec się wiary protestanckiej. Ojciec udusił go własnymi rękami, chcąc spełnić miły Bogu uczynek. W

składaniu tej ofiary pomagałmu jego syn Piotr, żona i młody Lavoisier."

Dodawano, że dwudziestoletni Lavoisier, przybyły w tym właśnie dniu z Bordeaux, został przednio na zgromadzeniu protestantów wybrany na kata sekty i że jego obowiązkiem było zgładzić każdego, kto zamierzałby zmienić wiarę. Krzyczano w Tuluzie, że takie prawa panują protestantów.

Jawna niedorzeczność tych oszczerstw podnosiła mnie na duchu. Im bardziej były one nieprawdopodobne, tym większą budziły we mnie ufność rozsądek Waszych sędziów.

Zadrżałem, to prawda, gdy zewsząd doszły mnie słuchy, że pochowano mego brata Marka Antoniego w kościele katolickim, powodując się tylko urojonym przypuszczeniem, iż zamierzał zmienić wiarę. Doniesiono nam, że bractwo białych pokutników odprawiło za niego uroczyste modły jako za męczennika, że wzniesiono mu grobowiec i ustawiono na nim jego posąg z palmą w dłoni.

Aż nazbyt trafnie przeczuwałem, jakie będą skutki tego pośpiechu i zgubnego uniesienia. Zdawałem sobie sprawę z tego, że skoro w moim bracie Marku Antonim widziano męczennika, to mego ojca. Ciebie, Matko, brata Piotra i młodego Lavoisiera uważano za katów. Przez cały miesiąc byłem pogrążony w strasznym odrętwieniu. Na próżno mówiłem sobie: znam dobrze mego nieszczęsnego brata i wiem, że wcale nie miał zamiaru odprysnąć się swej wiary. Wiem, że mój ojciec i matka nigdy nie zniewaliliby jego sumienia, gdyby chciał zmienić religię; nie sprzeciwiali się przecież memu bratu Ludwikowi, kiedy przyjął wiarę katolicką, a nawet wyznaczyli mu stałą pensję. Nic bardziej pospolitego w rodzinach tamtejszych prowincji jak to, że bracia wyznają odmienne religie. Nie oziębła to

bynajmniej przyjaźni braterskiej. Błogosławiona tolerancja, taświęta i boska zasada, której jesteśmy wyznawcami, nie pozwala nam nikogo potępiać; nie potrafimy przecieżuprzeczyćwyroków boskich. Postępujemy za głosem swego sumienia, nie zajmując sięsumieniem innych ludzi.

Przecieżto nie do wiary-mówiłem sobie- żeby moi rodzice, którzy ani razu nie obesзли się źle z którymkolwiek ze swych dzieci, których nigdy nie widziałem w złości ani w rozdrażnieniu, którzy ani razu w swymżyciu nie dali sięponieśćnajmniejszej porywczoci, porzucili nagle cechujących przez lat trzydzieściłagodności udusili własnymi rękami w niesłychanym przystępie wściekłości swego najstarszego syna-pod wpływem dziwnego strachu,żeby nie porzuciłreligii, której wcale nie zamierzałporzucić.

Takimi krzepiłem sięmysłami, moja Matko, ale z każdąpocztąnadchodziły coraz straszniejsze wieści. Chciałem jechaćdo Was, rzucićsiędo Waszych stóp i ucałowaćWasze kajdany. Twoi przyjaciele, a moi protektorzy, wstrzymali mnie, przytaczając racje równie głębokie jak mój ból.

Przeżyłem tak prawie dwa miesiące w pełnym trwogi niepokoju, nie otrzymując od Was listów i nie mogąc do Was pisać, nim w końcu ujrzałem memoriały domagające sięuznania Waszej niewinności. W dwóch z tych pism znalazłem to samo, co Ty piszesz dzisiaj, Matko, w Twym liście z 15 czerwca,że mój nieszczęśliwy brat Marek Antoni przedśmierciąwieczerzałrazem z Wami iż nikt z tych, którzy uczestniczyli w tym ostatnim posiłku mego brata, nie oddalałsięod reszty towarzystwa do strasznej chwili, gdy spostrzeżono jego tragiczny koniec.

Wybacz mi, Matko, że przypominam Ci te wszystkie okropne obrazy, ale to jest konieczne. Nasze nowe nieszczęścia odświeżają pamięć poprzednich i nie wybaczyłabyś mi, gdybym nie otworzył Ci

Twych ran. Nie uwierzysz, Matko, jak korzystne wrażenie wywołał u wszystkich ten dowód, że mój ojciec, Ty, brat Piotr i pan Lavoisier nie rozstawaliście się nawet na chwilę w tym czasie, który upłynął od smutnego posiłku aż do waszego uwięzienia.

Oto, jak rozumowano w całej Europie, wszędzie, gdzie dotarła wieść naszym nieszczęściu; jestem o tym dokładnie powiadomiony i trzeba, byś Ty także to wiedziała. Powiadano:

Skoro Marka Antoniego Calasa udusił ktoś jego rodziny, dokonała tego z pewnością cała rodzina i Lavoisier, a także służąca, dowiedziono bowiem, że wszyscy członkowie tej rodziny oraz Lavoisier i służąca byli ciągle razem. Sędziowie są do tego w zgodzie, nie ma nic oczywistszego od tego faktu. Albo wszyscy uwięzieni są winni, albo żaden z nich, niepo-

dobna znaleźć rozwiązanie pośredniego. Nie leży w naturze, żeby rodzina żyjąca dotąd bez zarzutu, dobry ojciec, najlepsza z matek, brat kochający swego brata, przyjaciel, który przyjechał do tego miasta i przypadkowo wczekał z nimi, mogli powziąć wszyscy i z nagłą, bez żadnej racji, bez najmniejszej przyczyny, niesłychany zamiar dokonania morderstwa. W podobnych okolicznościach zmowa taka jest niemożliwa a spełnienie zbrodniczego zamiaru jeszcze bardziej niemożliwe. Należy zatem spodziewać się stanowczo, że sędziowie zadość uczynią obrazę wyrządzoną niewinnym.

Wywody te pocieszały mnie nieco w moim przygnębieniu.

Wszystkie pocieszające rozumowania były, niestety, daremne. W marcu nadeszła wiadomość kaźni ojca. Z listu, który chciano przede mną ukryć i który wyrwałem przemocą, dowiedziałem się o tym, czego wspominać nie mam siły, a o czym Ty, Matko, musiałas tak często słuchać.

Wspomóż mnie, Matko, w chwili gdy z drżeniem to piszę, i natchnij mnie swoją odwagą; równa się ona Twemu straszному położeniu. Dzieci Twe rozproszone po świecie, Twój najstarszy syn zmarł w Twoich oczach, Twój mąż i mój ojciec wyzionął ducha na najokrutniejszych torturach. Twój posag stracony, nędza i hańba miast szacunku i fortuny - oto, w jakim znalazła się położeniu! Pozostał Ci jednak Bóg, on Cię nie opuścił. Honor mego ojca jest Ci ponad wszystko drogi, znosisz mężnie okropności ubóstwa, choroby, hańbę nawet, by przebyć dwieście mil i błagać stóp tronu o sprawiedliwość. Jeśli zdołasz wyjednać sobie posłuchanie, na pewno ją otrzymasz.

Cóż można by przeciwstawić łkaniom i łzom matki i wdowy, dowodzeniom rozumu? Udowodniono, że ojciec nie odchodził od Was, że był bez przerwy z Tobą i ze wszystkimi oskarżonymi w pokoju na górze, podczas gdy mój nieszczęśliwy brat został znaleziony bez życia na parterze. To wystarcza. Skazano ojca na najhaniebniejszą i najokropniejszą śmierć; brat na mocy drugiego wyroku został skazany na wygnanie, a mimo to zamknięto go w klasztorze jakobinów w Tuluzie. Umorzono skargę przeciw Tobie i także przeciw Lavoisier'owi. Nikt nie rozumie tych dziwacznych i sprzecznych wyroków. Dlaczego mój brat został skazany tylko na banicję, skoro jest winien śmierci swego brata? Dlaczego skoro został wygnany z Langwedocji, osadzono go w klasztorze w Tuluzie? Niczego w tym zrozumieć niepodobna. Wszyscy szukają właściwych przyczyn tych orzeczeń sądowych i nikt ich nie znajduje.

Wiem tylko tyle, że sędziowie opierając się na mylnych poszlakach chcieli skazać wszystkich oskarżonych na śmierć, a poprzestali na skazaniu ojca, z tą myślą, że nieszczęsny umierając wyzna zbrodnię całej rodziny. Mówiono mi, że okazali niemałe zdziwienie, gdy w czasie kaźni ojciec wzywał Boga na świadka swej własnej i Waszej niewinności i skonał prosząc go o miłosierdzie i przebaczenie dla surowych sędziów, którzy dali się zwieść oszczerstwom.

Wtedy to wydali orzeczenie przywracające Tobie wolność, które jednak nie zwróciło Ci ani dóbr utraconych, ani czci niegodnie skazanej, o ile cześć czyja może w ogóle być zależna od ludzkiej niesprawiedliwości.

Nie oskarżam sędziów; bez wątpienia nie chcieli oni za pomocą prawa zamordować niewinnego człowieka. Winę za to ponoszą oszczerstwa, fałszywe i niewyjaśnione poszlaki, donosy głupców, nedorzeczne pomyłki świadków, krzyki bezrozumnego tłumu i ta wściekła gorliwość pochopnie przypisująca największe zbrodnie wszystkim, którzy nie myślą tak jak my.

Nie będzie Ci chyba trudno. Matko, rozproszyćte zwodnicze pozory, które zawiodły na manowce sędziów, prawych zresztą światłych. Bo w końcu skoro tylko ojciec został skazany, on jeden musiał popełnić morderstwo. Jakże jednak sześćdziesięcioośmioletni starzec, który, jak na własne oczy przez dwa lata widziałem, cierpiąca reumatyzm w nogach, sam jeden zdołałby powiesić dwudziestoośmioletniego młodzieńca, znanego z niepospolitej siły i niezwykłej zręczności?

Gdyby słowo „śmieszny” stosowne było przy tych wszystkich okropnościach, sama niepomiaralna śmieszność takiego przypuszczenia, bez żadnego badania sprawy, wystarczyłaby, aby wyjednać nam

zadośćuczynienie. Jakież nędzne poszlaki, jakież mętne dowodzenia i donosy gminu ostoją się przed jasno wykazaną fizyczną niemożliwością czynu!

Oto przy czym obstaję. Niemożliwa jest rzeczą, by ojciec, by nawet dwóch ludzi zdołało udusić mego brata. Niemożliwa jest rzeczą, jeszcze raz to powtarzam, by ojciec sam jeden był winny, skoro wszyscy oskarżeni nie rozstawali się ani na chwilę. Albo tedy sędziowie skazali człowieka niewinnego, albo sprzeniewierzyli się swemu urzędowi, skoro nie oczyścili ziemi z czterech potworów winnych najohydniejszej zbrodni.

Im bardziej kocham Cię czcuję, moja Matko, tym mniej szczerzę twarde słowa. Brzemień ohydny, które na Ciebie włożono, służy jedynie do ujawnienia wielkości Twego nieszczęścia i Twojej cnoty. Domagasz się obecnie albo śmierci dla siebie, albo uniewinnienia ojca. Dołączam się do Twych próśb i tak jak Ty żądam śmierci, jeśli mój ojciec jest winny.

Uzyskaj tylko nakaz, aby sędziowie zarządzili rewizję przewodu kryminalnego. Tego tylko pragnę, tego chce świat cały i nie mogą Ci tego odmówić. Wszystkie narody, wszystkie wyznania są w tym zainteresowane. Na obrazach malują sprawiedliwość przepaskaną oczach, ale czyżma ona być

także niemą? Dlaczego gdy cała Europa domaga się zdania sprawy z tak osobliwego wyroku, sprawiedliwość ciąga się uczynieniem tego? Wymierzanie kary zbrodniarzom odbywa się publicznie, oskarżenia tedy, stanowiące podstawę kary, też winny być podawane do publicznej wiadomości. Nie wolno ukrywać dłużej tego, co musi ujrzeć światło dnia. Kiedy chcemy w paru słowach określić starożytnych tyranów, mówimy, że stanowili oni samowolnie o życiu i śmierci ludzi.

Sędziowie z Tuluzy nie sąbynajmniej tyranami, sąoni szafarzami praw, sądząw imieniu sprawiedliwego króla. Jeśli siępomylili, to dlatego, że sąludźmi. Mogąto uznać staćsięnawet Twymi obrońcami w obliczu tronu.

Z ufnościązatem, Matko, zwróćsiędo pana kanclerza' i panów ministrów. Jesteśnieśmiała, nieśmiesz mówić, ale Twoja sprawa będzie mó-

wiła za Ciebie. Nie wierz w to, że dwór królewski jest tak nieczuły, twardy i niesprawiedliwy, jak to opisująbezwstydni mędrkowie, którym ludzie wszystkich stanów sąjednakowo nie znani. Król wymaga sprawiedliwości, gdyżjest ona podstawajego władzy, a Rada na pewno nie mażadnej korzyści w tym, żeby nie wymierzono nam sprawiedliwości. Wierz mi Matko, znajdziesz w ludzkich sercach współczucie i prawość. Siejące zamęt namiętności i przesady zagłuszająw nas często te uczucia, ale Rada królewska w tej sprawie nie kieruje sięani namiętnością, ani przesadami, które mogłyby przyćmićjeświatły sąd.

Jakieżobróć przyjmie sprawa? Jeśli protokółprzewodu sądowego zostanie podany do publicznej wiadomości, zobaczymy wówczas, czy pełen sprzeczności protokółchirurga ' i inne lekkomyślnie popełnione omyłki przeważąnad dowodami najbardziej bezspornymi, jakie kiedykolwiek niewinnośćmogła przytoczyćna swąobronę.Świat będzie wówczasżałowałsędziów, że nie potrafili patrzećwłasnymi oczyma w tak ważnej sprawie, lecz oparli sięna racjach podawanych przez ludzkągłupotę. Wtedy nawet sędziowie złącząswe głosy z naszymi. Jeśli odmówiąwydobyciaprawdy ze swych archiwów, wówczas głos jej podniesie sięz tym większąsiłą.

Wytrwaj zatem, Matko, w swym przedsięwzięciu. Nie troszczmy sięo majątek; jest nas pięćoro dzieci

pozbawionych ojcowizny, ale wszyscy strzeżemy naszego honoru i tak jak Ty przedkładamy go nad życie.

Upadam do Twych stóp i zraszam je swymi łzami, prosząc Cię, Matko, ze czcią, którą Twoje nieszczęścia pogłębiają, o błogosławieństwo.

Donat Calas

MEMORIAŁ DONATA CALASA W SPRAWIE JEGO OJCA, MATKI I BRATA

Zaczynam od wyznania, że cała nasza rodzina zrodzona jest nałonie religii, która nie jest panującą. Wiadomo, ile sumienie kosztuje zmiana wyznania. Ojciec i matka wytrwali w wierze swych przodków. Byćmoże, zwiedziono nas, tak moich rodziców, jak i mnie samego, mówiąc, że jest to religia, którą wyznawała niegdyś Francja, Niemcy i Anglia, kiedy to sobór frankfurcki, zwołany przez Karola Wielkiego, potępił kult obrazów, kiedy to Ratram, za Karola Łysego, sto razy powtarzał w swej książce, wkładając te słowa w usta samego Chrystusa: „Nie wierzcie, że cieleśnie pożywacie ciało moje i pijecie krew moją”; kiedy to śpiewano we wszystkich niemal kościołach homilię, zachowaną w wielu bibliotekach: „Przyjmujemy ciało i krew Jezusa Chrystusa nie cieleśnie, lecz duchowo.”

Kiedy stworzono sobie, jak słyszałem, pojęcia bardziej wzniosłe o tej tajemnicy, kiedy uznano, że trzeba wiele zmienić w Kościele, wielu biskupów "wcale nie przyjęło zmiany; zwłaszcza Klaudiusz, biskup Turynu, pozostał wierny dogmatom i obrządkowi przyjętym na soborze frankfurckim, jako pochodzącym, jego zdaniem, z czasów pierwotnego Kościoła. Istniała zawsze grupa wiernych przywiązanych do tego obrządku. Większość przeważała i nadała naszym ojcom miana manichejczyków, bułga-

rów, patarów, lollardów, waldensów, albigensów, hugonotów, kalwinistów.

Takie wiadomości wyniosłem z badań, na jakie pozwolił mi mój młody wiek. Nie wykładam ich tutaj po to, by przechwalać się czczą erudycją, ale dlatego, iż pragnę łagodzić w umysłach naszych braci katolików nienawiść, która może ich zwrócić przeciwko braciom. Moje przekonania mogą być mylne, ale moja dobra wiara nie jest występna.

Popełniliśmy wiele ciężkich błędów jak wszyscy ludzie; naśladowaliśmy zapalczywość ksiąząt de Guise, ale walczyliśmy za sprawę Henryka IV, tak drogiego Ludwikowi XV. Zbrodnie popełnione w Sewennach przez bezrozumnych wieśniaków, które wywołała samowola dragonów, poszły w zapomnienie, tak jak zbrodnie frondy. Jesteśmy dziećmi Ludwika XV na równi z innymi jego poddanymi. Czczymy go i miłujemy w nim naszego wspólnego ojca; jesteśmy posłuszni wszystkim jego prawom, płacimy z radością podatki niezbędne dla prowadzenia jego słusznej wojny. Szanujemy duchowieństwo Francji, które tak jak my szczeni się, że poddane jest jego królewskiej i ojcowskiej władzy. Pełni czci jesteśmy dla parlamentów, uważamy je za obrońców tronu i państwa przed zakusami ultramontanów. W takich to zasadach zostałem wychowany i tak myśli wśród nas każdy, kto umie pisać czytać. Spodziewamy się pewnych łask, ale oczekujemy ich w milczeniu od dobroci najlepszego z królów.

Nie do młodego nieszczęśliwego człowieka należy rozstrzygać, która z dwóch religii miłsza jest Najwyższej Istocie; wiemy tylko tyle, że dla wszystkich prawych serc istota religii jest jedna, że wszystkie jednakowo kochają Boga, ojczyznę króla.

Wstrząsające zdarzenie, o którym zdam tutaj sprawę, z pewnością wzruszy sprawiedliwość dobrego króla i jego Rady, wzbudzi miłosierdzie duchowieństwa, które ubolewa

nad nami, jako trwającymi, jego zdaniem, w błędzie, wznieci szlachetność nawet tego parlamentu, który pogrążył nas w najstraszniejszym nieszczęściu, do jakiego uczciwą rodzinę można doprowadzić.

Jesteśmy obecnie pięciorgiem sierot; ojciec nasz bowiem zginął skazany na najstraszniejszą kaziń, a nasza matka z dala od nas, pozbawiona jakiejkolwiek pomocy i poparcia, zabiega o sprawiedliwość na pamięć ojca. Sprawa nasza jest sprawą wszystkich rodzin, jest sprawą natury; zainteresowane w niej są państwo, religia i sąsiednie narody.

Ojciec mój, Jan Calas, był kupcem osiadłym w Tuluzie od lat czterdziestu. Matka jest Angielką, lecz przez babkę wywodzi się domu de la Garde-Montesquieu, należącego do najzaczniejszej szlachty w Langwedocji. Oboje wychowali z niezwykłą czułością swoje dzieci. Żadne z nas nigdy nie otrzy-

mało razów ani nie doświadczyło gniewu rodzicielskiego. Nie było chyba lepszych rodziców na świecie.

Jeżeli zaśłaby potrzeba, bym do moich słów dołączył świadectwa innych osób, wiele takich świadectw mogę przedłożyć.

Wszyscy, którzy dobrze znali naszą rodzinę, wiedzą, że ojciec nigdy nas nie krępował w wyborze religii; odwoływał się zawsze w tej mierze do Boga i do naszego sumienia. Tak był daleki od owej nieprzejednanej żarliwości, która zaszczenia uprzedzenie w umysły, że od dawna miał dom służyącą katolicką.

Służąca ta, bardzo pobożna, przyczyniła się do tego, że jeden z mych braci, Ludwik, zmienił wiarę; po tym uczynku pozostała nadal u nas i nie robiono jej nigdy żadnych wymówek. Świadczy to najlepiej o dobroci serca mych rodziców.

Ojciec mój oświadczył swemu synowi Ludwikowi w obecności pana de Lamotte, radnego parlamentu, że o ile nawrócenie jego syna jest szczere, nie może tego ganić, ponieważ krępowanie sumienia stwarza jedynie obłudników. To były jego własne słowa, które brat mój Ludwik potwierdził w publicznym oświadczeniu złożonym w dniach naszej klęski.

Ojciec wyznaczył mi pensję w wysokości czterystu liwrów i nigdy nikt z nas nie uczynił mi najmniejszego wyrzutu z powodu odstępstwa, w takim bowiem duchu łagodności i jedności ojciec i matka nas wychowywali. Bóg im błogosławił, cieszyliśmy się zdobytym uczciwie majątkiem, mieliśmy przyjaciół przez czterdzieści lat rodzina nasza nie prowadziła z nikim w Tuluzie ani jednego procesu czy sporu. Być może, kilku kupców, zazdrosnych o pomyślność domu handlowego, którego właściciele innej byli religii niż oni, podburzało pospólstwo przeciw nam; ale nasza stała powściągliwość powinna była, jak się zdawało, złagodzić ich nienawiść.

A oto, jak z tego szczęśliwego stanu popadliśmy w najstraszniejszą niedolę. Nasz starszy brat, Marek Antoni Calas, źródło wszystkich naszych nieszczęść, był usposobienia ponurego i melancholicznego. Odznaczał się pewnymi zdolnościami, ale nie mogąc otrzymać stopnia licencjata nauk prawnych, bo musiałby albo przyjąć wiarę katolicką, albo kupić list o tym zaświadczający, nie mogąc zostać kupcem, bo się do tego zawodu nie na-

dawał, widząc wreszcie zamknięte dlań wszystkie drogi fortuny—oddawał się głębokiej rozpacz. Zastawałem go często przy czytaniu tyczących samobójstwa ustępów różnych autorów, już to Plutarcha czy Seneki, już to Montaigne'a. Znał na pamięć wierszowany przekład owego

tak słynnego w Anglii monologu Hamleta i urywki z tragikomedii francuskiej noszącej tytuł *Sidney*. Nie przypuszczałem jednak, żeby kiedy miał zrobić użytek z tych jakże zgubnych lekcji.

Na koniec, pewnego dnia, było to 13 października 1761 roku (nie byłem przy tym, ale nietrudno zrozumieć, że aż nadto dokładnie jestem o wszystkim powiadomiony), tego dnia zatem syn pana Lavoisier'a, znanego w Tuluzie adwokata, przybywa z Bordeaux i pragnie udać się do swego ojca, który bawił podówczas na wsi. Szuka wszędzie koni i nie może ich nigdzie dostać. Przypadkiem mój ojciec i brat Marek Antoni, który był jego przyjacielem, spotykają go i zapraszają na wieczerzę. Zasiadają do stołu o godzinie siódmej, wedle prostego obyczaju naszych rodzin, statecznych i pracowitych, które kończą wcześniej dzień wstając przed świtem. Ojciec, matka, dzieci i przyjaciel spożywają skromny posiłek w pokoju na pierwszym piętrze. Kuchnia znajduje się obok sali jadalnej. Ta sama służąca katoliczka przynosiła potrawy, słyszała i widziała wszystko. Mogę tu tylko powtórzyć to, co powiedziała moja nieszczęśliwa i czcigodna matka. Brat Marek Antoni wstaje od stołu nieco wcześniej od innych, wchodzi do kuchni. Służąca mówi doń: „Niech pan podejdzie do ognia.” - „Ach, jestem cały w ogniu” - odpowiada na to. Wyrzekłszy te słowa, które mówią już wszystko, schodzi na dół do magazynu, z twarzą pośpianą głęboko zadumaną. Rodzina moja i młody Lavoisier wiodą nadal spokojną rozmowę, aż do kwadransa przed dziesiątą, rozstając się ze sobą na chwilę. Pan Lavoisier żegna się, matka poleca drugiemu synowi, Piotrowi, wziąć świecznik i poświecić gościowi. Schodzą na dół, jakże straszny uderza ich obraz! Oba skrzydła drzwi do magazynu są uchylone, drąg, służący do umocowywania stosów bel, leży na górnych krawędziach drzwi, a na sznurze zakończonym pętlą wisi mój nieszczęsny brat, w koszuli, ze

starannie zaczesanymi włosami, zaś jego surdut złożony jest na ladzie.

Na ten widok obaj poczynają krzyczeć: „Och, mój Boże! ach, Boże!” Wchodzą na schody, wołając ojca. Matka wychodzi drżąc cała. Zatrzymują ją, zaklinają, by została w pokoju. Biegają po chirurgów, po urzędników sądowych. Matka przerażona schodzi na dół służącą. Płacze i krzyki wzmagają się. Co robić? Czy można zostawić ciało syna bez pomocy? Ojciec obejmuje martwego syna, sznur ustępuje od razu, gdyż jeden koniec drąga, skoro ciało podniesione przez ojca nie obciążało go już, ześliznęło się ze skrzydeł drzwi. Matka usiłuje wlać synowi do ust trzeźwiące likiery, służąca na próżno krzyczy się nad różnymi środkami ratunku—brat mój nie żył.

Pospółstwo, zwabione krzykami i płaczem moich rodziców, gromadziło się wokół naszego domu; nie wiem, jaki to fanatyk pierwszy wykonał, że mój brat był męczennikiem, że rodzina zamordowała go, by nie dopuścić do odstępstwa. Drugi dodaje, że owo wyrzeczenie się wiary miało nastąpić na jutro. Trzeci mówi, że religia protestancka nakazuje ojcom i matkom zarządzić lub udusić swoje dzieci, gdy chcą one przyjąć religię katolicką. Czwarty mówi, że to święta prawda, iż protestanci na swym ostatnim zgromadzeniu wyznaczyli katekizację, że młody Lavoisier, mający dziewiętnaście czy dwadzieścia lat, jest tym katem, że młodzieniec ten—będący uosobieniem prawości i łagodności—przybył z Bordeaux do Tuluz, by powiesić swego przyjaciela. Oto, jakie jest pospółstwo! Oto obraz ażeby wierny jego swawoli!

Pogłoski te podawano sobie z ust do ust; ci, którzy kwadrans przed dziesiątą słyszeli krzyki mego brata Piotra i pana Lavoisiera oraz jęki mego ojca i matki, nie omieszkali

twierdzić, że słyszeli krzyki mego uduszonego brata, który umarł dwie godziny wcześniej.

Na domiar nieszczęścia, kapituł, uwiadomiony o tej wrzawie, przybywa ze swymi asesorami i każe przenieść trupa do ratusza. Protokół spisują w ratuszu zamiast sporządzić go na miejscu, gdzie znaleziono zmarłego, jak to wedle tego, co mi powiedziano, nakazuje prawo. Pewni świadkowie zeznali, że ów protokół, sporządzony na ratuszu, datowany był z domu zmarłego; stanowiłoby to poważny dowód uprzedzenia, które zgubiło moją rodzinę. Ale mniejsza o to, że sędzia pierwszej instancji popełnił ten błąd. Nie zamierzamy nikogo oskarżać. Nie tylko ta jedna nieprawidłowość była dla nas tak fatalna w skutkach.

Ci pierwsi sędziowie nie wahali się między samobójstwem, które jest rzadkie w tej okolicy, i posądzeniem o synobójstwo, które jest tysiąc razy częściej spotykane. Uważali, że było to synobójstwo. Przypuszczenia swe opierali na tym, że zmarły rzekomo miał zamiar dokonać zmiany religii, dlatego też zabrano się do przeglądania jego papierów i książek, by stwierdzić, czy nie było w nich jakiegoś dowodu owego nawrócenia. Nie znaleziono niczego.

W końcu polecono chirurgowi nazwiskiem Lamarque otworzyć żołądek mego brata i zbadać, czy znajdowały się w nim jakieś resztki pokarmów. W swym raporcie chirurg stwierdził, że pokarm znajdujący się w żołądku został spożyty na cztery godziny przed śmiercią. Mylił się, oczywiście.

o więcej niż dwie godziny. Z pewnością chciał wykazać swoją uczoność, rzekając, ile czasu wymaga trawienie, które przecież, zależnie od różnic temperamentu, jest mniej lub bardziej powolne. Miałaż ta mała pomyłka chirurga zgotować śmierć memu ojcu?

Zatemżycie człowieka może zależeć od nieprawidłowego rozumowania!

Nie było i nie mogło być żadnych dowodów świadczących przeciw moim rodzicom. Sędziowie uciekli się wtedy bezzwłocznie do monitorium. Nie roztrząsam, czy ogłoszone monitorium było zgodne z ustawami. Zakładano w nim zaistnienie zbrodni i żądano podania dowodów. Zakładano, że Lavoisier został wezwany z Bordeaux, by pełnić powinność katechety, że w tym samym dniu, kiedy przyjechał, 13 października, odbyło się zebranie dla dokonania wyboru katechety. Podawano, że gdy zabijano kogoś dla przyczyn religijnych, rozkazujęmu uklęknąć, i pytano, czy kto nie widział Marka Antoniego klęczącego przed swym ojcem, który dusił go w nocy, w miejscu, gdzie nie było żadnego światła.

Przyjmowano za pewnik, że brat mój zginął jako katolik, i domagano się dowodów na to, chociażby o rzeczą dowiedzioną, że wcale nie zmienił religii i bynajmniej jej zmienić nie chciał. Uważano zwłaszcza za fakt zupełnie oczywisty, że zasadą wszystkich protestantów jest duszenie swych synów, skoro tylko zachodzi najmniejsze podejrzenie, iż chcą oni przyjąć katolicyzm. Fanatyzm ten nabrał takiego rozgłosu, że Kościół genewski był zmuszony przysłać do Tuluzy oświadczenie wyrażające odrazę do idei tak ohydnych i bezsensownych oraz zdziwienie, iż podobne podejrzenie zrodzić się mogło kiedykolwiek w głowach sędziów.

Zanim monitorium zostało ogłoszone, z tłumu podniósł się głos, że mój brat Marek Antoni miał wstąpić na jutro do bractwa białych pokutników. Natychmiast kapitulowie wydali rozkaz, by pochowano uroczystie mego brata w kościele Św. Szczepana. Czterdziestu księży i całe bractwo białych pokutników szło w pogrzebowym orszaku.

W cztery dni później biali pokutnicy odprawili w swej kaplicy uroczyste nabożeństwo za mego brata. Kościół był wybity bielą, a w środku ustawiono katafalk, nad którym wznosił się ludzki szkielet, pożyczony od pewnego chirurga. Szkielet ten w jednej ręce trzymał papier, na którym widniały słowa: „Wyrzeczenie się herezji”, zaś w drugiej palmę, oznakę męczeństwa.

Nazajutrz podobne nabożeństwo odprawili za niego franciszkanie. Łatwo się domyślić, że te uroczyste ceremonie do ostateczności rozogniły wszystkie umysły. Biali pokutnicy i franciszkanie mimo woli wydawali wyrok na mego ojca.

Parlament niebawem przejął swoje ręce całą sprawę. Unieważnił od razu procedurę śledztwa przyjętą przez kapitułę, która, jako nieprawidłowa pod każdym względem, nie mogła się stać. Ale uprzedzenie pozostało nie mniej silne jak przedtem. Wszyscy gorliwcy pragnęli składać zeznania; jeden widział w ciemnościach, przez dziurkę od klucza, biegających ludzi; drugi słyszał, znajdując się w domu położonym na drugim końcu ulicy, jak Calas żalił się głośno, że został powieszony.

Pewien malarz, nazwiskiem Matei, powiedział, że jego żona mu powiedziała, że niejaka Maudrille jej powiedziała, że jakaś nieznajoma kobieta jej powiedziała, iż słyszała krzyki Marka Antoniego Calasa rozlegające się aż na drugim końcu miasta.

Co się załtyczy oskarżonych, ojciec, matka, brat Piotr, młody Lavoisier i służąca byli jednako zgodni we wszystkich istotnych kwestiach. Będąc w więzieniu i badani oddzielnie, wszyscy oni mówili prawdę i nie zmieniali niczego ani przy odczytywaniu protokołów z poprzednich zeznań, ani przy konfrontacjach.

Co prawda, śmiertelny niepokój mógł osłabić w nich pamięć pewnych drobnych okoliczności, które dostrzegali przecieżoczymi błędnymi i przesłanionymi przezłży. Ale nikt z nich nie wahał się nawet przez chwilę w rzeczach, które mogły potwierdzić ich niewinność. Głosy pospólstwa, nieuctwo chirurga Lamarque'a, świadkowie, którzy gdy raz złożyli nedorzeczne zeznania, oparte jedynie na tym, co słyszeli, nie chcieli już później ich odwoływać - wszystko to przeważało nad prawdą najbardziej oczywistą.

Sędziowie mieli przed sobą z jednej strony owe bezwartościowe zeznania, z drugiej zaś - wykazanie możliwości przypuszczenia, że mój ojciec, obarczony wiekiem sześćdziesięciu ośmiu lat, sam jeden powiesił dwudziestoosmioletniego młodzieńca o wiele odeń silniejszego, jak to już reszta powiedziano. Zgadzała się tym, że trudno wytłumaczyć, jak zbrodnia ta mogła zostać popełniona, ale twierdzili, iż jeszcze trudniej przyjąć, aby mój brat Marek Antoni Calas sam życie sobie odebrał.

Na próżno Lavoisier i służący świadczili o niewinności mego ojca, matki i brata Piotra. Oni sami byli objęci oskarżeniem. Pomoc tych niezbędnych świadków została nam odebrana wbrew wszystkim prawom.

Oczywista jest rzeczą wszyscy z tym się zgodzają, że jeśli Marek Antoni Calas został zamordowany, to dokonała tego czynu cała rodzina wspólnie z Lavoisierem i służącą; że albo wszyscy są niewinni, albo wszyscy są winowajcami, ponieważ zostało udowodnione, że nie rozstawali się nawet na chwilę ani podczas wieczerzy, ani po wieczerzy.

Nie wiem, jakich przeznaczeń rządzeniem sędziowie uwierzyli w winę mego ojca i w jaki sposób forma odniosła zwycięstwo nad istotą. Zapewniono mnie, że wielu z nich opowiadało się przez długi czas za niewinnością ojca, ale w

końcu ustąpili przed zdaniem większości sędziów. Owa większość uważała całą moją rodzinę młodego Lavoisiera za jednakowo winnych. Nie ulega wątpliwości, że skazali oni mego nieszczęśliwego ojca na łamanie kołem w nadziei, że nie oprze się cierpieniom i wskaże podczas potwornych męczarni rzekomych współników swej zbrodni.

Powiedziałem już nigdy nie zdołam nazbyt często powtarzać, że byli zaskoczeni, gdy ojciec umierając wzywał Boga, przed którym miała chwilę stanąć, na świadka swej niewinności. O ile głos powszechny w błąd mnie nie wprowadził, dwaj dominikanie—Bourges i Caldagués—których przydzielono ojcu, by mu towarzyszyli w tych strasznych chwilach, dali świadectwo o jego poddaniu się woli Bożej. Słyszeli, jak przebaczył sędziom i żałował ich. Wyrazili nawet pragnienie, by sami mogli umrzeć kiedyś w równie wzruszającej pobożności.

Sędziowie wkrótce potem musieli wypuścić z więzienia moją matkę, młodego Lavoisiera i służącą. Brata Piotra skazali na banicję. Powtarzam nadal zgodnie z opinią publiczną: dlaczego skazano go na wygnanie, jeśli jest niewinny? I dlaczego porzeczono na banicji, jeśli jest winien?

Stale pytałem, dlaczego, gdy wyprowadzono go z miasta jedną bramą, pozwolono mu czy też kazano powrócić natychmiast drugą? Dlaczego zamknięto go na trzy miesiące w klasztorze Dominikanów? Czy chcieli jego nawrócenia miast banicji? Czy odwołano go z wygnania w zamian za nawrócenie? Byłaż to samowolna kara czy też samowolne ułaskawienie? I czy straszna śmierć ojca mogła być argumentem, który by go skłonił do nawrócenia?

Moja matka po tej potwornej katastrofie miała odwagę porzucić swój posąg i majątek. Udała się do Paryża,

nie mając żadnej pomocy krom swych cnót, błagać króla o sprawiedliwość. Ośmiela się ona ufać, że Rada jego królewskiej mości rozkaże przedłożyć sobie akta procesu, który odbył się w Tuluzie. Kto wie nawet, czy sędziowie, poruszeni szlachetnym postępowaniem mej matki, nie ujrzą jasniej dostrzeganej przez nich już przedtem niewinności tego, którego skazali na śmierć. Czy nie pomyśla, że kobieta pozbawiona jakiegokolwiek poparcia nie ośmieliłaby się pewnością żądać rewizji procesu, gdyby jej mąż był zbrodniarzem. Czyż przebyłaby dwieście mil po to, aby znaleźć śmierć, która by jej się słusznie należała? Takie postępowanie nie leży w naturze ludzkiej, podobnie jak zbrodnia, o którą został oskarżony mój ojciec. Bo, powtarzam to jeszcze raz ze zgrozą, jeśli mój ojciec winien był tego morderstwa, matka i brat Piotr również są winni; Lavoisier i służąca brali również bez wątpienia udział w zbrodni. Czyż przedsięwzięłaby moja matka tę podróż po to, żeby narazić ich wszystkich i siebie samą na śmierć?

Oświadczam, że jestem jednej z niemyśli, że tak jak ona wydaję się sam na śmierć, jeśli mój ojciec popełnił zbrodnię przeciwko Bogu, naturze, religii i państwu, któremu przypisano.

Dołączam się tedy do próśb mej czcigodnej matki w niniejszym akcie prawnym czy też może pozbawionym mocy prawnej, ale publicznym i podpisanym przeze mnie własnoręcznie. Adwokaci, którzy podejmą się jej obrony, będą mogli ujawnić nieważność procedury. Powinni oni wykazać, że Lavoisier i służąca, aczkolwiek również oskarżeni, byli świadkami niezbędnymi, świadczącymi na korzyść mego ojca. Wyjaśnią oni, jaka konieczność musiała sędziów do przypuszczenia, że starzec sześćdziesięcioośmioletni, który jak sam widziałem, z trudem chodził powodu choroby nóg, sam jeden powiesił swego własnego syna, znanego siłacza. Wykażą oni absolutne nieprawdopodobieństwo takiego

czynu. Złożona szali z jednej strony to fizyczne nieprawdopodobieństwo zbrodni, z drugiej—pogłoski krążące wśród pospólstwa. Zważą, co jest bardziej godne wiary, zbadają zeznania świadków, z których ani jeden nie jest świadkiem naocznym.

Opowiedz również o wszystkich naszych trzymiesięcznych staraniach o udostępnienie nam akt procesu i o tym, że nam na koniec tego odmówiono. Czy publiczności Rada nie będzie przejęta oburzeniem i litością, gdy dowiedzą się, że pewien prokurator zażądał od nas, od rodziny, którą doprowadzono do nędzy, dwieście tysięcy w zamian za dostarczenie nam drogą nielegalną tych akt?

Nie proszę wcale sędziów o wybaczenie mi, że podnoszę głos przeciwko ich wyrokowi; przebacząto z pewnością synowskiej miłości. Gardziłoby mną, gdybym postępowała inaczej, i może niektórzy z nich swymiłzami skropią mój memoriał.

To okropne wydarzenie dotyczy wszystkich religii i wszystkich narodów. Ważną jest rzeczą dla państwa wiedzieć, po której stronie znajduje się najniebezpieczniejszy fanatyzm. Drżę myśląc o tym i nie jeden wrażliwy czytelnik zadrży wraz ze mną.

Sam jeden wśród pustyni, pozbawiony rady, oparcia i pociechy, zwracam się do Pana Kanclerza i do całej Rady Stanu: skarga, którą noszę do Waszych stóp, nie ma mocy prawnej, ale użyjcie Waszego autorytetu i sprawiedliwości, aby jej nadać moc. Nie o litość dla mojej rodziny Was proszę, lecz o ukazanie prawdy. Niech parlament Tuluzy zdobędzie

się odwagą ogłoszenia akt procesu. Europa domaga się tego. A jeśli ich nie ogłosi, ujrzy, co Europa o tym fakcie

będzie myśleć.

Podpisano: Donat Calas

Châtelaine. 22 lipca 1762

OŚWIADCZENIE PIOTRA CALASA

Kiedy przybyłem do mego brata Donata Calasa, aby wspólnie z nim opłakiwać nasze nieszczęścia, ujrzałem w jego ręku dopiero co ukończony memoriał, w którym domaga się przywrócenia czci naszej nieszczęsnej rodzinie. Przyłączam się do mej matki i do niego; gotów jestem zaświadczyć prawdziwości tego wszystkiego, co napisał. Potwierdzam wszystko, co powiedziała moja matka, której postępowanie dodało mi odwagi, i niech mnie skazana śmierć, jeśli mój ojciec był winnym przypisanej mu zbrodni.

Oświadczam i zobowiązuję się zeznać przed sądem, co następuje: Gobert Lavoisier, mający lat dziewiętnaście lub dwadzieścia młodzieniec najłagodniejszych obyczajów i wychowany w cnocie przez swego ojca, słynnego adwokata, był przyjacielem mego brata Marka Antoniego. Brat mój był człowiekiem uczonym i kształcił się również na adwokata. Jak powiedziano, Lavoisier wieczerzał nami w dniu 13 października 1761 roku. Po kolacji zdrzemnąłem się nieco, w tym właśnie czasie, gdy pan Lavoisier chciał się pożegnać. Matka obudziła mnie i powiedziała, żebym poświęcił naszemu przyjacielowi.

Można wystawić sobie moje straszne zdumienie, skoro ujrzałem mego brata wiszącego w koszuli na drzwiach wiodących ze sklepu do magazynu. Krzyknąłem przeraźliwie; zawołałem ojca. Zszedł na dół przerażony, objął cię swego nieszczęsnego syna i wtedy drąg oraz sznur, które je podtrzymywały, zsunęły się z drzwi. Zdjąłmu stryczek ze szyi, rozciągnąwszy pętlę. Trząsł się, płakał

lamentował podczas tych smutnych czynności. „Biegnij, na Boga-powiedział mi do naszego sąsiada, chirurga Camoire'a, może mój biedny syn jeszcze żyje.” Popędziłem do chirurga. Zostałem tylko jego pomocnika, pana Gorse'a, i przyprowadziłem go ze sobą. Przy ojcu była moja matka i jeden z naszych sąsiadów, Delpêche, syn katolickiego kupca, który płakał razem z nimi. Matka usiłowała nadaremnie wlać do gardła memu bratu trochę wódki i nacierała mu skronie. Chirurg Gorse dotknął puls, serca i stwierdził, że brat jest martwy i już stygł. Zdjął mu ze szyi chustkę z czarnej tafty, ujrzał znak od sznura, po czym orzekł, że umarł przez uduszenie.

Koszula jego nie była nawet pomięta, włosy miały uczesane jak zwykle, a surdut leżał starannie złożony na łóżku. Wyszedłem z domu, żeby za-

pytać go o radę, co robić należało. Ojciec w przystępie rozpaczki powiedział mi: „Nie rozpowiadaj, że twój brat sam sobie życie odebrał, ocal przynajmniej honor twojej biednej rodziny.” Pobiegnąłem pełen rozpaczki do naszego przyjaciela, pana Caseinga, kupca mieszkającego koło giełdy. Przyprowadziłem go do naszego domu; poradziłem mu, żeby jak najprędzej uwiadomić sąd. Pobiegnąłem do pana Clausade'a, prawnika, Lavaisse poszedł do pisarza kapitułów i do asesora, mecenas Moniera. Powróciłem spiesznie do mego ojca, podczas gdy Lavaisse i Clausade budzili asesora, który już się położył, a potem poszli uwiadomić samego kapituła. Kapituł wyszedł już wcześniej z domu, żeby udać się do nas, uprzedzony o zdarzenie wieściami krążącymi wśród tłumu. Wszedł czterdziestu żołnierzami. Czekałem na dole, żeby go przyjąć. Rozkazał trzymać mnie pod strażą.

W tej samej chwili nadszedł asesor z panami Clausade'em i Lavaisse'em. Lavaisse'a strażnicy nie chcieli wcale wpuścić

odepchnęli go. Dopiero gdy podniósł wielki krzyk, zaczął nalegać powiedział, że wieczerza razem z nami, kapituła zezwolił, by go wpuszczono.

Kto choć trochę zna serce ludzkie, pozna po tych wszystkich postępках, jak oczywista była nasza niewinność. Jakże można ją było wziąć w podejrzenie? Czy w rocznikach historii świata, czy w rocznikach zbrodni znajduje się jakiś przykład podobnego morderstwa popełnionego bez żadnego celu, bez żadnego interesu, bez żadnej przyczyny?

Kapituła wezwał pana Latoura, lekarza, i chirurgów, panów Lamarque'a i Perroneta. Oglądali oni zwłoki w mojej obecności, szukali sińców na ciele i nie znaleźli ani jednego. Stryczka nie oglądali wcale. Złożyli kapitułowi sprawozdanie tajne, ustnie tylko. Po czym zaprowadzono nas wszystkich na ratusz, to jest mego ojca, matkę, pana Lavoisiera, naszego przyjaciela pana Caseinga, służącą mnie. Zabrano również zwłoki i surdut brata i zanieśiono na ratusz.

Chciałem zostawić korytarzu na parterze płonąca świecę, żebyśmy po powrocie nie musieli krzesać ognia. I ja, i mój ojciec myśleliśmy - tak bardzo czuliśmy się bezpieczni - iż prowadzając nas na ratusz tylko po to, abyśmy świadectwo dali prawdzie, i udzieliśmy się, że będziemy mogli powrócić na noc do domu. Ale kapituła, śmiejąc się mojej prostoduszności, kazał zgasić świecę powiedział, że nie wrócimy tu tak prędko. Ojca i mnie wtrącono do ciemnego lochu, matkę, a także Lavoisiera, Caseinga i służącą zamknięto w celach. Protokoły kapituły, lekarzy i chirurgów zostały sporządzone na drugi dzień w ratuszu.

Caseinga, który nie był z nami na kolacji, wkrótce uwolniono, a my wszyscy zostaliśmy skazani na tortury i

zakuci w kajdany dnia 18 listo-

pada. Odwołaliśmy się do parlamentu, który
zniósł rozporządzenie kapituły, gwałcące reguły pod wieloma
względami, i przejął śledztwo.

Przesłuchiwano mnie więcej niż pięćdziesiąt razy. Zapytano
mnie, czy mój brat Marek Antoni miał zostać katolikiem.
Odparłem, że z całą pewnością nie miał takich zamiarów, ale że
jako człowiek wykształcony i lubiący muzykę chodził czasem
słuchać kaznodziejów, których uważała za dobrych
mówców, i muzyki, gdy była dobra. I zresztą, cóż mnie
obchodziło, na Boga, czy mój brat Marek Antoni
był katolikiem, czy wyznawcą Kościoła reformowanego.
Czyż przez to, że mój brat Ludwik chodził na mszę, w
mniejszej z nim żyłem zgodzie? Czy nie obiadowałem często
u niego? Czy nie odwiedzałem katolików w Tuluzie? Czy
któryś z nich skarżył się kiedy na mego ojca i na mnie? Czy
nie dowiedziałem się ze słynnego listu pasterskiego księdza
biskupa z Soissons, że nawet do Turków należy odnosić się jak
do braci; dlaczego zatem miałbym traktować własnego brata
jak dzikie zwierzę? Co za pomysł! Jakież szaleństwo!

Konfrontowano mnie wielokrotnie ojcem, który, ile razy
mnie ujrzał, wybuchał łkaniem i zalewał się łzami. Nadmiar
nieszczęść mąci czasem jego pamięć. „Pomóż mi” — mówił do
mnie, a ja naprowadzałem go na właściwą drogę w
odpowiedziach na pytania dotyczące spraw zupełnie
nieznaczących. Na przykład, zdarzyło mu się powiedzieć,
iż wstaliśmy od stołu wszyscy razem. „Och, mój ojciec —
wykrzyknąłem — czy zapomniałeś, że mój brat wyszedł nieco
wcześniej niż

my?” - „Masz rację - odpowiedział mi - przepraszam, mąci mi
się w głowie.”

Byłem konfrontowany z przeszło pięćdziesięcioma świadkami. Litość przejmie serce tych wszystkich, którzy dowiedzą się, jacy to byli świadkowie i jakie były ich świadectwa. Jakoś świadek stawał niejaki Popis, czeladnik szmuklerski, który słyszał z sąsiedniego domu krzyki, jakie podniosłem na widok mego nieżywego brata, i wyobraził sobie, że były to krzyki samego Marka Antoniego. Stawała pocziwa służąca, która gdym krzyczał: „Ach, mój Boże!”, myślała, że wołam: „Trzymaj złodzieja!” Były to pogłoski stworzone z innych pogłosek, nie opowiadano nic innego prócz podobnych niedorzeczności.

Panna Peyronet zeznała, że widziała mnie 13 października o dziesiątej wieczorem., jak biegłem ocierając chusteczką łzy i wołałem, że brat mój zginął pchnięty szpadą. Nie, nie mówiłem tego, a gdybym i mówił, to postąpiłbym godnie, ratując honor mego drogiego brata. Czyżby sędziowie większą przywiązywali wagę do fałszywej części tego zeznania niż do jego części prawdziwej, świadczącej o moim pomieszaniu i łzach? I czy też nie były zrozumiałe i czy nie odpierały zwycięsko wszystkich lekkomyślnych zarzutów, które padły przeciw najczystszej niewinności? Być może, mój ojciec, niezadowolony z postępowania brata, który trwonił czas i pieniądze na bilard, powiedział mi kiedyś: „Jeżeli nie zmienisz się, ukarzę cię — albo — wygnam cię — albo — zgubisz się, zginiesz.” Ale trzeba trafić, że jeden ze świadków, popędliwy fanatyk, przekręcił te słowa ojcowskiego napomnienia i zastąpił niecnie wyrazy: „Jeżeli nie odmienisz swego postępowania...”, tymi okrutnymi słowami: „Jeżeli odmienisz religię...” Czy sędziowie powinni, mając przed sobą fałszywego świadka i oskarżonego ojca, rozstrzygnąć na rzecz oszczerstwa, a przeciw naturze?

Nie przeciwstawiono nam ani jednego poważnego świadka. Można będzie przekonać się tym z protokołu rozprawy, jeśli

uda się wydać akt od pisarza sądowego, któremu zabroniono go wydawać.

Reszta zgodna jest całkowicie z tym, co moja matka i brat Donat Calas napisali. Nigdy niewinność oskarżonego nie była bardziej oczywista. Z dwóch dominikanów, którzy byli obecni przy kaźni mojego ojca, jeden, przybyły z Castries, oświadczył publicznie: „Oto śmierć sprawiedliwego.” — „Na czym więc sędziowie się oparli — usłyszę — skazując twego ojca?” Powiem to i wszyscy się zdumieją.

W kilka dni po naszym uwięzieniu kapituła, asesor Monier, prokurator królewski i adwokat królewski udali się wraz z biegłym do domu, w którym umarł mój brat. Kim był ów biegły? Nikt nie zechce uwierzyć. Byłto kat. Zapytano go, czy na dwóch skrzydłach drzwi wiodących do magazynu, gdzie to znalazłem mego brata, mógłby się kto powiesić. Nędznik ten, który znał tylko swoje sposoby, odparł, że rzecz taka jest niewykonalna. Szło tedy o rozwiązanie zagadnienia z dziedziny fizyki? Niestety! Człowiek najmniej biegły spostrzegłby, że to rzecz aż nadzbyt łatwa do wykonania; Lavoisier, którego na równi ze mną można o to zapytać, na własne oczy oglądał dowód całkiem oczywisty.

Chirurg Lamarque, przyzwany do obejrzenia zwłok, mógłby być przedzany do mnie, wytknąłem mu bowiem pewnego razu omyłkę, kiedy w jednym ze swoich sądowych sprawozdań wzięło prawo za lewe. Tak zatem ojciec mój padł ofiarą ignorancji i uprzedzeń. Sędziowie dalecy byli od jednomyślności, większość wszakże przeważała.

Po owej strasznej kaźni sędziowie zawieszali mnie przed siebie i jeden z nich powiedział: „Skazaliśmy twego ojca. Jeśli nie wyznasz wszystkiego, strzeż się.” Wielki Boże! Co mogłem wyznać prócz tego, że wprowadzeni w błąd ludzie rozlali krew niewinną?

W parędni później ojciec Bourges, jeden z dwóch dominikanów, których przydzielono memu ojcu, żeby byli świadkami jego męki i słów ostatnich, przyszedł do mnie do więzienia i zagroził mi tą samą śmiercią jeśli nie wyrzeknę się swej wiary. Może niegdyś, w czasach okrutnych prześladowań, o których nam opowiadają, postąpiłby tak jak rzymski prokonsul posiadający nieograniczoną władzę. Wyznaję, że ugiąłem się, ustąpiłem w strachu przed straszliwą karą.

Na koniec oznajmiono mi wyrok skazujący mnie na banicję. Leżałem przez cztery dni nie podpisany na stole sędziowskim. Ile nieprawidłowości, ile wahań! Ręce sędziów, które podpisały wyrok śmierci na mojego ojca, musiały potem drżeć przy podpisywaniu każdego następnego werdyktu. Pisarz więzienny odczytał mi tylko dwa wiersze z mojego wyroku.

Wyroku, który wydał mego cnotliwego ojca na najcięższą kازń, nie widziałem nigdy. Nigdy nie był głośzony, stanowi on niezgłębioną tajemnicę. Wyroki są wydawane dla publiczności. Niegdyś posyłało się je do króla i nie wykonywano ich bez jego zezwolenia. Tak postępowano dotąd w znacznej części Europy. Ale jeśli chodzi o wyrok skazujący mego ojca, starano się go ukryć przed okiem ludzi z taką troskliwością, z jaką przestępcy — że ośmieli się tak wyrazić — ukrywają zazwyczaj swoje zbrodnie.

Wyrok, który otrzymałem, zdziwił mnie niepomiernie, tak jak zdziwił wszystkich. Jeśli bowiem mój nieszczęśliwy brat został zamordowany, tylko ja i Lavoisier mogliśmy to uczynić, a nie słaby starzec. Mnie tedy należała się ta najokropniejsza z kar. Jest rzeczą oczywistą, że nie mogło być

niczego pośredniego między bratobójstwem i niewinnością.

Zaprowadzono mnie natychmiast do jednej z bram miasta. Towarzyszyli mi ksiądz jakiś, który w chwilę później kazał mi zawrócić i zaprowadził mnie do klasztoru Dominikanów. Przy furcie czekał ojciec Bourges i oznajmił mi, że nie będzie się wahać, iż jestem banitą, o ile wyznawać będę religię rzymskokatolicką. Przez cztery miesiące trzymał mnie w tym klasztorze pod dozorem.

Na koniec wyszedłem z tego więzienia, gotów udać się dobrowolnie do więzienia, które król uzna za słuszne mi przeznaczyć, gotów przelać krew za cześć mego ojca i matki.

Zgubił nas ślepy przesąd, rozum oświecony współczuje nam dzisiaj. Ogół, będący zawsze sędzią honoru i hańby, przywraca cześć pamięci mego ojca i Rada na pewno zatwierdzi ten wyrok opinii publicznej, jeśli tylko raczy wejrzeć w akta procesu. Nie jest to sprawa, którą można by pozostawić w pyle sądowej kancelarii, której nie warto rozgłaszać. Uważam, że ważną jest dla ludzkości rzeczą, aby wszyscy w najdrobniejszych nawet szczegółach wiedzieli, do czego doprowadzić może fanatyzm-owa znienawidzona plaga ludzkiego rodzaju.

Podpisano: Piotr Calas

Châtelaïne. 23 lipca 1762

HISTORIA ELŻBIETY CANNING I CALASÓW

O Elżbiecie Canning

Kiedy w roku 1753 przebywałem w Londynie, nabrała wielkiego rozgłosu przygoda młodej dziewczyny—Elżbiety Canning. Elżbieta zniknęła na przeciąg miesiąca z rodzinnego domu. Wróciła wychudła, wycieńczona i w podartych sukniach.

—O Boże! Jak ty wyglądasz! Gdzie byłaś? Skąd wracasz? Co sięz tobądziało?

—Och, ciotko, kiedy wracałam do domu przez Moorfields, dwaj silni bandyci przewrócili mnie na ziemię, okradli mnie i uprowadzili do jakiegośdomu o dziesięćmil od Londynu.

Usłyszawszy to opowiadanie ciotka i sąsiadki rozplakały się.

—Ach, moje drogie dziecko, czy to nie do tej nikczemnej pani Web zawiedli cięrozbójnicy? Bo ona akuratnie mieszka w dziesięćmil stąd.

—Tak, ciotko, do pani Web.

—Do tego wielkiego domu po prawej stronie?

-Właśnie tam, ciotko.

Sąsiadki opisały wtedy wygląd pani Web i mała Canning oświadczyła, że kobieta ta wyglądała dokładnie tak, jak jąprzedstawiły. Jedna z sąsiadek oznajmia miss Canning, że u

owej kobiety grają po nocach i że jest to spelunka, do której wszyscy młodzieńcy przychodzą tracić pieniądze.

-Ach, to prawdziwa spelunka-odpowiada Elżbieta Canning.

-Dzieją się tam jeszcze gorsze rzeczy-odzywa się na to inna sąsiadka.-Ci dwaj rozbójnicy, którzy są kuzynami pani Web, pochwytywają gościńcach wszystkie młode dziewczęta, jakie tylko napotkają, i trzymają je o chlebie i wodzie, dopóki nie staną się powolne graczom bywającym w domu.

-O Boże, czy nie zamknęli cię chlebie i wodzie, kochana siostrzenico?

-Tak, ciotko.

Zapytano ją, czy owi dwaj bandyci nie uwiedli jej i czy nie zmusili do nierządu. Odpowiedziała, że się broniła, że ją bito i że jej życie było w nie-

bezpieczeństwie. Wtedy ciotka i sąsiadki poczęły znów płakać i lamentować.

Zaprowadzono też zaraz małą Canning do niejakiego pana Adamsona, będącego z dawna protektorem rodziny. Był to człowiek uczciwy, cieszący się wielkim poważaniem w swojej parafii. Pan Adamson i jeden z jego przyjaciół, równie jak on gorliwy, dosiadając koni i jadąc rozpoznali dom pani Web. Ujrawszy go nie mają już wątpliwości, że to w nim była zamknięta dziewczyna. A spostrzegłszy małą szopę, w której przechowywano siano, domyślając się nawet, że to w niej właśnie uwięziono Elżbietę. Litość pocziwego Adamsona zwiększyła się dwójnasób na ten widok. Po jego powrocie Elżbieta przyznaje, że właśnie w szopie ją zamknęto. Adamson poruszył całą dzielnicę. Przeprowadzono zbórkę pieniędzy na rzecz tak okrutnie potraktowanej młodej panienki.

W miarę jak mała Canning odzyskuje swą pulchność i powaby, wszystkie umysły coraz goręcej zapalają się dla niej. Pan Adamson przedstawia szeryfowi skargę w imieniu sponiewieranej niewinności. Pani Web i wszyscy jej domownicy, żyjący dotąd spokojnie w swym wiejskim ustroniu, zostają aresztowani i wtrąceni do lochu.

Aby lepiej zgłębić prawdę, pan szeryf na początek wzywa do siebie po przyjacielsku młodą służącą pani Web i nakłania ją łodkimi słowy, aby powiedziała wszystko, co wie. Służąca, która nigdy w swym życiu nie widziała miss Canning ani nie słyszała o niej, odpowiedziała zrazu po prostu, że nie rozumie, o co ją pytają. Ale gdy szeryf oświadczył jej, że będzie musiała odpowiadać przed sądem i że zostanie nieuchronnie powieszona, jeśli nie wyzna wszystkiego, zeznała, co tylko od niej chciano. Na koniec zebrali się przysięgli i dziewięć osób skazano na stryczek.

Na szczęście, żaden proces w Anglii nie jest tajny, bowiem kara za zbrodnie uważana tam jest za przestroagę publiczną, a nie za zemstę na jednostce. Wszystkie przesłuchania odbywają się przy drzwiach otwartych, a dzienniki drukują relacje o wszystkich interesujących procesach.

Co więcej, zachowano w Anglii dawne francuskie prawo, które zakazuje zgładzenia jakiegokolwiek przestępcy, zanim nie przedstawi się procesowi królowi i nim nie podpisze on wyroku. Prawo to, tak mądre, tak ludzkie, tak potrzebne, poszło we Francji w zapomnienie, jak wiele innych. Przestrzega go jednak cała niemal Europa. Obowiązuje ono dzisiaj w Rosji, istnieje w Chinach, tej starożytnej ojczyźnie moralności, która posiadała prawa boskie, zanim w Europie powstały prawa zwyczajowe.

Czas wykonania wyroku na dziewięciu oskarżonych zbliża się, kiedy tak zwana tam „Karta posiedzeń sądowych”

wpadła w ręce pewnego filozofa, pana Ramsaya. Przeczytałon protokółprocesu i uznałprzewód zaniedorzeczny od początku do końca. Lektura ta wznieciła w nim oburzenie. Zabrałsiędo pisania rozprawy, w której wysunąłzasadę, że pierwszym obowiązkiem przysięgłych jest posiadanie zdrowego rozsądku. Wykazał, że pani Web, jej dwaj kuzyni i pozostali domownicy stworzeni byli chyba z innej gliny niżreszta ludzi, skoro trzymali o chlebie i wodzie młode dziewczęta przeznaczone do rozpusty, gdy, przeciwnie, powinni byli je dobrze karmić i stroić, aby stały sięponętne. Kupcy nie płamiąnigdy i nie drątowarów, na których sprzedaniu im zależy. Udowodniłdalej, że miss Canning nigdy nie była w tym domu, że powtarzała tylko brednie, które ciotka w swej głupocie jej poddała. Poczciwy Adamson wywołał ów dziwaczny proces kryminalny przez zbytek gorliwości i w końcu dziewięćosób miało przypłacić życiem to, że miss Canning byłaładna i że skłamała.

Służąca, która po przyjacielsku wyznała szeryfowi to, co wcale prawdanie było, nieśmiała później przed sądem zeznańtych odwołać. Każdy, kto złożyłfałszywe zeznanie, czy to powodowany gorliwością, czy bojaźnią, zwykle podtrzymuje je potem i kłamie z obawy, by nie uchodzićza kłamcę.

„To nic, że prawo zezwala—mówiłpan Ramsay—aby na podstawie zeznańdwóchświadków wieszano oskarżonego. Gdyby pan kanclerz i arcybiskup Canterbury zeznali, że widzieli, jak zamordowałem mego ojca i matkęi zjadłem ich w całości naśniadanie w przeciągu kwadransa, należałoby raczej osadzićpana kanclerza i arcybiskupa w Bedlam , niżeli mnie spalićna stosie na mocy ich pięknegoświadectwa. Weźmijcie z jednej strony rzecz niedorzecznąi niemożliwą, z drugiej zaś -tysiącświadków i tysiąc mędrków;

niemożliwość musi zadaćłam wszystkim świadkom i rozumowaniom mędrków."

Ta mała rozprawka zdarła łuski z oczu pana szeryfa i przysięgłych. Byli zmuszeni dokonać rewizji procesu. Okazało się wówczas, że miss Canning była małyszem i że w tym czasie, kiedy rzekomo była więziona u pani Web, urodziła po kryjomu dziecko. Cały Londyn, który stanął po jej stronie, zawstydział się tak jak wtedy, gdy pewien szarlatan zapowiedział, że wejdzie cały do butelki dwukwartowej, a kiedy dwa tysiące ludzi zbiegło się oglądać to widowisko, zniknął zebrawszy uprzednio od nich pieniądze i zostawiwszy im pustą butelkę.

Być może, że pomyliłem się co do niektórych okoliczności tego wydarzenia, ale prawdziwość istotnych faktów potwierdzić może cała Anglia.

HISTORIA CALASÓW

Opowiedziane wyżej mieszne zajście miałooby tragiczny koniec, gdyby nie znalazł się filozof, który przeczytał przypadkiem ogłoszone w gazecie sprawozdanie sądowe. Dałby był Bóg, żeby podczas pewnego procesu nie mniej nędznego, a tysiącokropniejszego znalazł się w Tuluzie choć jeden filozof wśród tylu białych pokutników! Nie opłakiwano by dzisiaj krwi niewinnej, przelanej skutkiem przesądu.

Był wszakże w Tuluzie pewien człowiek mądry, który podniósł głos przeciwko krzykom szalonego motłochu i stronnictwa uprzedzonych urzędników sądowych. Mędrce m, którego błogosławieństwo, był pan de Lasalle, radny parlamentu. Miał on być jednym z sędziów.

Wyłożył na przód swój pogląd na nieprawidłowość monitorium. Potępił głośno pośpiech, z jakim odprawiono trzy uroczyste nabożeństwa za człowieka, którego zwłoki należało prawdopodobnie wlec na kracie. Oświadczył, że nie powinno się grzebać po katolicku i jako męczennika kanonizować zmarłego, który wedle wszelkich pozorów sam się życia pozbawił który z całą pewnością katolikiem wcale nie był. Wiedzano, że mecenas Chalier, adwokat parlamentu, złożył zeznanie, iż Marek Antoni Calas (który, jak przypuszczano, miał na jutro odprysnąć się swej wiary) zamierzał, wprost przeciwnie, udać się do Genewy i starać się o nominację na pastora Kościoła protestanckiego.

Pan Caseing miał w swym ręku list tegoż Marka Antoniego Calasa, w którym nazywał on dezerters swego brata Ludwika, przechrzczonego na wiara katolicką. „Mamy

kłopoty z naszym dezerterem"-pisałw tym liście. Proboszcz kościołaŚw. Szczepana zeznał, że Marek Antoni Calas przyszedłdo niego z prośbą zaświadczanie stwierdzające, iżjest katolikiem. Proboszcz nie chciałsprzeniewierzyćsięswemu sumieniu wydając takieświadectwo protestantowi.

Pan radny de Lasalle rozważałwszystkie te racje. Podkreślałzwłaszcza, że według rozporządzeńkrólewskich i prawa rzymskiego, obowiązującego w Langwedocji, „żadne poszlaki ani przypuszczenia, nawet uprawnione, nie mogąpoważniaćdo obwinienia ojca o zabójstwo syna i naruszaćnaturalnego iświętego przekonania, które oddala od ojców wszelkie podejrzenia o morderstwo dokonane na własnych dzieciach".

W końcu szacowny ten urzędnik uważał, że młody Lavoisse, który byłobcy całemu temu okropnemu zajściu, i służąca katoliczka nie mogabyćoskarżeni o domniemane zabójstwo Marka Antoniego Calasa i winni byćpoczytani zaświadków, a oskarżonych nie powinno siępozbywaćich koniecznych zeznań.

Rozporządzając tyloma tak nieodpartymi argumentami i przejęty sprawiedliwym współczuciem, pan de Lasalle zabrałgłos z zapalem, jakiego udziela przekonanie umysłu i dobroćserca. Jeden z sędziów rzekłmu wtedy: „Ach, panie, mówi pan jak Calas." — „Ach, panie, mówi pan jak pospółstwo"—odparłpan de Lasalle.

Smutne jest to, żeów szlachetny zapał, jaki okazałpan de Lasalle, obróciłsięprzeciwko nieszczęśliwej rodzinie, której prawośćbrałon w obronę. Skoro bowiem opowiedziałsiętak jawnie i publicznie po jej stronie, powziąłskrupuły co do przyjęcia funkcji sędziego. Calasowie utracili tedy

jedynego światłego sędziego, który prawdopodobnie oświeciłby również pozostałych.

Natomiast pan Laborde, który opowiedział się za przesadami ludu i okazał zapalczywość przez niego samego uznana za przesadną, który także zrzekł się sądenia tej sprawy i usunął się na wieś koło Albi, pan Laborde powrócił jednak do Tuluzy, aby skazać ojca rodziny na łamanie kołem.

Jak to już powiedziano i jak to powtarzać będziemy zawsze, nie było żadnego dowodu przeciwko tej nieszczęśliwej rodzinie. Opierano się wyłącznie na poszlakach, i to na jakich poszlakach! Rozum ludzki oblewa się rumieńcem wstydu.

Pan David, kapituła Tuluzy, zasięgał zdania kata, jakim sposobem Marek Antoni mógł się być powiesić. Zdanie kata przesądziło o wyroku śmierci, podczas gdy nie liczono się z opinią żadnego adwokata.

Kiedy przyszło do głosowania, sędzia referujący rozprawił tylko o Calasie ojcu i zawyrokował, że ten niewinny człowiek „winien być poddany najpierw torturze zwyczajnej i wyjątkowej, aby wydał swych współników, a później winien być łamany żywcem i stracony po dwóch godzinach łamania, a w końcu winien zostać spalony”.

Za zdaniem tym opowiedziało się sześciu sędziów. Trzech głosowało tylko za torturą, dwaj zaś byli zdania, że należy stwierdzić na miejscu zgonu, czy było możliwe, żeby Marek Antoni Calas sam się powiesił. Jeden tylko sędzia głosował za uniewinnieniem Jana Calasa.

Nareszcie po długich sporach większość opowiedziała się za torturą zwyczajną i wyjątkową oraz za łamaniem kołem.

Ów nieszczęsny ojciec rodziny, który nigdy z nikim nie sprzeczał się, nie uderzył nigdy żadnego ze swych dzieci, ten słaby sześćdziesięcioośmioletni starzec został tedy skazany na najokropniejszą ze wszystkich kazi za to, że z nienawiści do religii katolickiej swymi bezsilnymi rękami zadusił powiesił pełnego nieprzeciętnej siły i mocy syna, który nie więcej skłaniał się do tejże religii katolickiej niż sam ojciec.

Zapytywany pośród potwornych katuszy o współników, odpowiedział

tymi dokładnie słowy: „Jakże tam, gdzie nie było wcale zbrodni, mogli być współnicy?”

Gdy prowadzono go z izby tortur na miejsce kazi, towarzyszył mu ten sam spokój ducha. Wszyscy jego współobywatele, którzy widzieli, jak go wieziono na stracenie, byli tym poruszeni. Nawet lud, który od pewnego czasu opamiętał się swym fanatyzmem, wlewał szczerę łzę nad jego nieszczęściem. Gdy komisarz kierujący egzekucją przystąpił do ostatniego przesłuchania, otrzymał tę samą odpowiedź. Ojciec Bourges, dominikanin i profesor teologii, który wraz z ojcem Caldaguéssem, również dominikaninem, otrzymał polecenie, aby towarzyszył skazańcowi w jego ostatnich chwilach, a w szczególności, żeby go nakłaniał do wyjawienia prawdy, znalazł Calasa gotowym do złożenia Bogu ofiary życia za swe grzechy. Ale w tym samym stopniu, w jakim okazywał poddanie się wyrokowi Opatrzności, nieugięcie bronił niewinności własnej i reszty obwinionych.

Jeden tylko stłumiony jęk wydarł się z jego piersi, gdy otrzymał pierwszy cios; przy następnych nie wydał ani jednej skargi. Gdy go potem rozciągnięto na kole, żeby tam oczekiwał chwili, która zakończyć miała jego mękę wraz z życiem, wypowiadał jedynie słowa pełne

uczuc chrześcijańskich. Nie uniósł się wcale gniewem na swych sędziów. Powodowany miłością bliźniego, mówił, że nie wini ich za swą śmierć, że z pewnością zostali w błąd wprowadzeni przez fałszywych świadków. Na koniec, gdy ujrzał, że kat spობi się do zakończenia jego mąk, wyrzekł do ojca Bourges'a te oto ostatnie słowa: „Umieram niewinny. Jezus Chrystus, który był niewinnością samą, dobrowolnie umarłw jeszcze większej męce. Nie żałuję wcale życia, którego koniec, ufam, zawiedzie mnie do szczęścia wiekuistego. Boleję nad mą żoną synem. A ten biedny obcy nam człowiek, któremu pragnąłem okazać grzeczność prosząc go na wieczerzę, ten syn pana La-vaiss'e'a, powiększa jeszcze mój ból.”

Gdy to mówił, kapituł, główny sprawca tego nieszczęścia, który chciał być świadkiem jego kaźni i śmierci, choć nie został mianowany komisarzem, zbliżył się doń i zakrzyknął: „Nieszczęsny, oto stos, który w popiół zamieni twe ciało! Wyznaj prawdę!” Calas za całą odpowiedź odwrócił tylko nieco głowę i w tejże samej chwili kat wypełnił swą powinność i pozbawił go życia.

Chociaż Jan Calas umarł jako protestant, ojciec Bourges i jego kolega ojciec Caldagués, głosili same o nim pochwały. „To tak umierali - mówili każdemu, kto tylko zechciał ich słuchać - nasi męczennicy.” A nawet, gdy rozeszła się pogłoska, że Calas odwołał kłamliwe zeznania i wyznał swą domniemaną zbrodnię, ojciec Bourges czuł się obowiązku osobiście zdać sprawę sędziom o ostatnich słowach Jana Calasa i oświadczyć im, że do końca zapewniał swej własnej i innych oskarżonych niewinności.

Po tej niezwyklej egzekucji zabrano się do sądenia Piotra Calasa, syna. Uważano, że spośród tych, którzy pozostali przy życiu, on był najbardziej obciążony. A oto na czym opierano to mniemanie:

Pewien młodzieniec wywodzący się z ludu, niejaki Cazères, został w ciągu dalszego śledztwa wezwany z Montpellier dla złożenia zeznań. Zeznał, że gdy był czeladnikiem u krawcy nazwiskiem Bou, posiadającego sklep obok domu Calasa, pewnego dnia Piotr Calas wszedł do tego sklepu. Dzwoniono właśnie w tej chwili na błogosławieństwo i panna Bou wysłała swych czeladników do kościoła. Wtedy Piotr Calas powiedział: „Myślcie tylko o swoich błogosławieństwach. Zbawienia można dostąpić w obu religiach. Dwaj moi bracia myślał tak jak ja. Gdybym wiedział, że chcę zmienić wiarę, to bym ich chyba zasztytował. I na miejscu mego ojca nie oszczędziłbym był mego trzeciego brata, Ludwika Calasa, wtedy gdy został katolikiem.”

Dlaczego sprowadzono aż z Montpellier świadka dla złożenia zeznania o tym, co jak twierdził, wydarzyło się w obecności panny Bou i dwóch innych jej czeladników, skoro wszystkie te osoby były na miejscu, w Tuluzie? Dlaczego nie chciano przesłuchać panny Bou i jej dwóch czeladników, zwłaszcza że według memoriałów Calasów panna Bou i jej czeladnicy utrzymywali stanowczo, iż wszystko to, co ośmielił się twierdzić Cazères, było kłamstwem poddanym mu przez wrogów oskarżonych i przez nienawiść stronnictw? Jak to? Cazères usłyszało, co ktoś jawnie powiedział do jego chlebodawczyni, a ona i jej czeladnicy tego nie usłyszeli? I sędziowie wysłuchują jego, a nie wysłuchują tamtych?!

Czyż nie dostrzeżono w zeznaniu tego nędznika sprzeczności wewnętrznej? „Zbawienia można dostąpić w obu religiach”, to znaczy: Bóg wybacza naszej niewiedzy i ludzkiej słabości, a ja nie wybaczę bratu? Bóg przyjmuje szczere modły każdego, kto się doń zwraca, a ja zabiję tego, kto zwraca się będzie do Boga w taki sposób, który mi się nie podoba! Czyż można wystawić sobie mowę pełną tak potwornej głupoty?

Inny świadek, zresztą wiele mniej ważny, który zeznawał, że Piotr Calas źle się wyrażał religii rzymskiej, zacząłymi słowy: „Czułem odparty wstręt do wszystkich protestantów.” Taki świadek zasługuje bezsprzecznie na wiarę!

Było to wszystko, co zdołano zgromadzić przeciwko Piotrowi Calasowi. Sędzia referujący widział w tym wystarczająco silne dowody dla wydania wyroku skazującego na dożywotnie galery. Poglądu tego nikt poza nim nie podzielał. Wielu opowiedziało się za uwolnieniem Piotra Calasa od winy i kary, inni sędziowie głosowali za dożywotnim wygnaniem. Sędzia referujący przystąpił do ostatniego wyroku, który też uchwalono większością głosów.

Następnie przystąpiono do sądzenia wdowy po Calasie, tej przykładowej matki. Nie było przeciwko niej jakiegokolwiek dowodu, podejrzenia czy poszlaki. Sędzia referujący wszelako opowiedział się za skazaniem jej na wygnanie, wszyscy inni sędziowie osądzili, że należy uwolnić ją od winy i kary.

Potem przyszła kolej na młodego Lavaisse'a. Podejrzenia żywione przeciwko niemu były niedorzecznością. Jakże ten dziewiętnastoletni młodzieniec mógł zostać wybrany na kata sekty w Tuluzie, skoro przebywał w Bordeaux? Czyżby matka Marka Antoniego powiedziała doń: „Przybywa pan w samą porę. Chcemy zabić naszego starszego syna. Pan jest jego przyjacielem, zje pan z nami wieczerzę po to, by go powiesić. Pewien nasz przyjaciel miał być u nas na kolacji i pomóc nam, ale w takim razie obejdziemy się bez niego.”

Tak oczywiste głupstwo nie mogło się już dłużej ostać. Wszelako sędzia referujący był zdania, że należy

skazać Lavaïsse'a na banicję. Wszyscy pozostali sędziowie, z wyjątkiem pana Darbou, sprzeciwili się temu.

Na koniec, gdy przystąpiono do sprawy służącej Calasów, sędzia referujący opowiedział się za uwolnieniem z uwagi na to, iż była od urodzenia katoliczką. Wniosek ten przeszedł jednogłośnie.

Czy być może, żeby w tej chwili znajdowali się jeszcze w Tuluzie sędziowie, którzy nie opłakują niewinnej rodziny, w ten sposób potraktowanej? Bez wątpienia, płaczą oni i rumienią się ze wstydu. Bez wątpienia, wyrzucają sobie ów okrutny wyrok, a dowodzi tego fakt, iż przez cztery miesiące odmawiali wszystkim okazania protokołów z procesu i nawet aktu wyroku.

Każdy z nich powtarza dzisiaj w głębi duszy:

„Ze zgrozą spoglądam na wszystkie te uprzedzenia, wszystkie domysły, które naturę zdrowy rozsądek przyprawiają drżenie. Widzę, że pierwszym wyrokiem wydałem na śmierć kole starca, który nie mógł być winny morderstwa, a wyrokiem następnym uwolniłem od winy tych wszystkich, którzy musieliby być tak jak i on zbrodniarzami, gdyby zbrodnia była rzeczywiście możliwa. Rozumiem teraz jasno, że jeden wyrok przeczy drugiemu. Wyznaję, że skoro skazałem na łamanie kołem ojca, niesłusznie poprzestałem na wygnaniu syna; przyznaję, że rzeczywiście winienem sobie wyrzucać banicję syna, straszną śmierć ojca i to, że przez pół roku trzymałem w kajdanach czcigodną matkę młodego Lavaïsse'a.

Nie chcieliśmy pokazać protokołów tym, którzy się tego domagali, dla-

tego że były zatarte naszymi łzami. Przydajmy do tych łez zadość uczynienie należne uczciwej rodzinie,

którą pograżyliśmy w rozpacz i nędzy—bo nie powiem:
hańbie, jako że hańba nie jest udziałem niewinnych.
Oddajmy matce majątek, który ten odrażający proces jej
wydarł. Dodałbym: prosimy ją o przebaczenie, ale któż z nas
ośmieliłby się stanąć przed jej obliczem?

Przyjmijmy chociaż publiczne remonstracje, opłakany owoc
niesprawiedliwego wyroku. Przedkładamy remonstracje
królowi, kiedy żąda on od ludu pomocy niezbędnej do obrony
tegoż ludu przed zakusami jego nieprzyjaciół. Nie dziwmy
się, że cała ziemia nam je wytacza, skoro wydaliśmy
na śmierć najniewinniejszego z ludzi. Czyżbyśmy nie
dostrzegali, że te remonstracje pisane są jego krwią?"

Należy przypuszczać, że sędziowie wielokroć oddawali
się potajemnie takim rozmyślaniom. Jakżeby to było piękne! I
jakże godni sąłitości, jeśli fałszywy wstyd stłumił w ich
sercach te wyrzuty!

**OŚWIADCZENIE PRAWNE
SŁUŻĄCEJ PANI CALAS
W SPRAWIE NOWYCH
OSZCZERSTW, KTÓRYMI
SPOTWARZA SIĘ JESZCZE**

TE CNOTLIWĄ RODZINĘ

Roku 1767, w niedzielę dnia 29 marca o godzinie trzeciej po południu my, Jan Franciszek Hugues, radca królewski, komisarzśledczy Trybunału Châtelet w Paryżu, na prośbęprzedłożonąprzez JoannęViguiere, niegdyśsłużącąpaństwa Calasów, byśmy udali siędo miejsca jej zamieszkania dla odebrania oświadczenia tyczącego siępewnych spraw, udaliśmy sięw rzeczy samej na ulicęNową, w parafiiŚw. Eustachego, do domu będącego własnościąpana Langlois, radnego Wielkiej Rady, w którym to domu na trzecim piętrze zamieszkuje wdowa po panu Janie Calasie, kupcu z Tuluzy. A kiedy przybyliśmy do mieszkania pomienionej wdowy Calas, zaprowadziła nas ona do pokoju na czwartym piętrze, mającego okno wychodzące na ulicę, gdzie wszedłszy zastaliśmy pomienionąJoannęViguiere leżącąwłóżku na skutek upadku, o którym poniżej, i mającąprzy swym boku pielęgniarkę, której poleciliśmy oddalićsię. TażJoanna

Viguiere, uprzednio uczyniwszy i złożywwszy na nasze ręce przysięgę, iżbędzie mówićprawdęi tylko prawdę, powiedziała nam i oświadczyła, że w poniedziałek, 16 minionego miesiąca lutego, kiedy wyszła około czwartej godziny po południu udając sięna ulicęMontmartre, nieszczęsnym trafem upadła i złamała prawąnogę; że wiele osób pośpieszyło jej na pomoc i że została przeniesiona bezzwłocznie do pomienionej pani Calas, jej dawnej chlebodawczyni, u której stale zamieszkiwała, odkąd przybyła do Paryża, a ta posłała po pana Botentuit-wuja, mistrza chirurgicznego, który złożyłjej nogę; że pomieniona pani Calas przydała jej pielęgniarkę, tęsamą, która była sięoddaliła na nasze polecenie i która nie opuszczała jej ani na chwilęod rzeczzonego wypadku; że pan Botentuit

przychodził stale, udzielając opieki stosownej do jej stanu, a starania jego tak były skuteczne, że ani razu nie dostała gorączki i przez czterdzieści jeden minionych dni nie przytrafiła się jej żadna inna przypadłość; że pomieniona pani Calas udzieliła jej takiego wsparcia, jakiego tylko mogła oczekiwać od swej dawnej chlebowodczyni, która okazywała jej zawsze wszelakie dowody dobroci; że z największym zdumieniem dowiedziała się tym, że ludzie opowiadali, jakoby ona, Joanna Viguiere, była zmarła i przed śmiercią zeznała wobec notariuszów, że służąc u nieżyjącego Jana Calasa przyjęła religię protestancką; że przez rzekomą żarliwość dla tej religii, wspólnie z pomienionym Janem Calasem, jego rodziną oraz panem Lavaisse'em, zadała śmierć Markowi Antoniemu

Calasowi; że następnie, będąc uwięziona, udawała, iż zawsze była katoliczką, aby oddalić od siebie podejrzenie, ocalić własne życie, a przez swe zeznania także życie pozostałych oskarżonych; ale że, będąc bliską śmierci, powróciła do zasad wiary katolickiej i poczuła się obowiązku wyznać prawdę, którą przedtem ukrywała, okazując przy tym, jak mówiono, szczerą skruchę.

Że aby zapobiec skutkom, jakie wywołać mogła owa potwarz, pomieniona Joanna Viguiere uważała za konieczne uciec się do naszego urzędu i żądać naszego przybycia, aby nam oświadczyć, jak to czyni obecnie, w sumieniu i prawdzie, iż nie ma nic fałszywszego od tej pogłoski, o której zdała nam sprawę; że rzeczony wypadek nigdy nie spowodował u niej jakiegokolwiek niebezpieczeństwa śmierci, a nawet gdyby tak było, to nigdy nie złożyłaby oświadczenia, które ośmielano się jej przypisywać, ponieważ prawdziwe jest, tak jak to zawsze utrzymywała i utrzymywać będzie aż do ostatniego tchnienia, iż rzeczony nieżyjący Jan Calas, jego małżonka, pan Jan Piotr Calas i pan Lavaisse żadną miarą nie przyczynili się do śmierci Marka

Antoniego Calasa; że czuje się nawet zobowiązana oświadczyć, iż nieżyjący Jan Calas był mniej od kogokolwiek zdolny do popełnienia podobnej zbrodni, gdyż znała jego bardzo łagodne usposobienie i czu-

łość dla dzieci; że zresztą pobudki, którymi tłumaczono śmierć Marka Antoniego Calasa i rzekomo nawiść żywność przez ojca, były fałszywe, ponieważ pomieniona Joanna Viguiere wie, iż ów młodzieniec nie zmienił religii i aż do wigilii swego zgonu oddawał się praktykom protestanckim.

Że co się tyczy jej samej, Joanny Viguiere, to, dzięki Bogu, ani na chwilę nie przestała ona wyznawać katolickiej, apostołskiej i rzymskiej religii, w której pragnie żyć i umrzeć; że spowiednikiem jej jest wielbny ojciec Ireneusz, augustyn z placu Zwycięstwa; że pomieniony wielbny ojciec Ireneusz, będąc powiadomiony o jej wypadku, przybył odwiedzić ją w niedzielę, 8 bieżącego miesiąca marca, i że może on zaświadczyć jej uczuciach religijnych i wierze.

Rzeczona Joanna Viguiere domagała się i żądała, byśmy powyższe jej oświadczenie spisali w akcie prawnym; gdy tenże akt my, radca-komisarz, odczytaliśmy jej, oświadczyła, iż zawiera on prawdę, oraz, zapytana o to wedle ustawy, oznajmiła, że nie umie pisać ani podpisać się, co zaznaczono na oryginale.

W tejże porze przybyli stawili się przed nami, w pokoju, gdzie się znajdowaliśmy, pan Piotr Ludwik Botentuit-Langlois, mistrz chirurgiczny i były naczelny chirurg pułkowy wojsk królewskich, zamieszkały przy ulicy Montmartre, w parafii Św. Eustachego, który nam oznajmił zeznał, iż dnia 16 minionego miesiąca lutego, między siódmą i ósmą godziną wieczorem, został wezwany i udał się

do pomienionej pani Calas dla wypadku, który właśnie przytrafił się pomienionej Joannie Viguiere; że zbadawszy jej prawą nogę stwierdził złamanie zupełne obu kości nogi; że od owej chwili bezustannie ją nawiedzał, opatrywał i dokonywał wszystkich właściwych zabiegów, stosownie do stanu jej zdrowia; że nigdy nie znajdowała się ona na skutek rzeczzonego upadku w niebezpieczeństwie utraty życia; że nastąpiło jedynie zderzenie skóry na goleniu i chora przychodzi z dniem każdym do zdrowia; że wiadome mu jest, iż pomieniony ojciec Ireneusz spowiadał pomienioną Viguiere od chwili rzeczzonego wypadku; które to oświadczenie złożył, aby dać świadectwo prawdzie, i opatrzył podpisem na oryginale niniejszego aktu.

Także samo przybyli stawili się przed nami, w pokoju, gdzie się znajdowaliśmy, Piotr Wilhelm Garilland, zakonnik, ojciec zgromadzenia augustynów prowincji francuskiej osiadłych w Paryżu, przy placu Zwycięstwa, noszący imię zakonne Ireneusza odświętej Teresy, definitór rzeczzonej prowincji, zamieszkały w rzeczonym klasztorze, który nam oznajmił, że zeznał i zaświadczył, iż pomieniona Joanna Viguiere przychodzi doń spowiadać się od około trzech lat; że co roku wypełniała obowiązek wielka-

nocny i że wielokrotnie w rzeczonym okresie, aby zadość uczynić jej pobożności i ze względu na jej cnotliwe życie, dozwalał jej przystępować częściej do świętej komunii; że na koniec, od chwili nieszczęsnego wypadku, który przytrafił się pomienionej Viguiere, przychodził ją spowiadać i w dalszym ciągu spostrzegał u niej te same uczucia religijne i pobożność, jakie żywiła wprzód; które to oświadczenie pomieniony wielbny ojciec Ireneusz złożył nam, aby dać świadectwo prawdzie, i opatrzył podpisem na oryginale.

Tedy my, niżej wymieniony i podpisany radca królewski, komisarz Trybunału Chatelet, stwierdziliśmy w akcie prawnym powyższe oświadczenia pomienionej Viguiere, pomienionego Botentuit i pomienionego wielbnego ojca Ireneusza, aby służyły i świadczyły temu, co sprawiedliwe, i opatrzyliśmy podpisem oryginał pozostający w naszych rękach.

Podpisano: Hugues, komisarz

NB. Oszczerstwo to zostało rozpowszechnione w całej Langwedocji, a w Paryżu rozgłosił je niejaki Fréron, aby przeszkodzić panu de Voltaire w zabieganiu o uniewinnienie Sirvenów, oskarżonych o tę samą zbrodnię co Calasowie. Wszyscy, którzy przeczytają ten dokument, proszeni są zachować go w pamięci jako świadectwa nedorzeczej furii fanatyzmu.

LIST DO PANA DAMILAVILLE'A W SPRAWIE CALASÓW I SIRVENÓW

1 marca 1765

Drogi przyjacielu, przeczytałem chciwie nowy memoriał pana de Beaumonta niewinności Calasów; wzbudził we mnie podziw, wycisnął z mych oczu łzy, ale nie dowiedziałem się niczego nowego. Już od dawna byłem o niej przekonany i miałem szczęście jako pierwszy jej dowieść.

Pragniesz wiedzieć, w jaki sposób głos protestu całej Europy przeciwko prawemu morderstwu dokonanemu na nieszczęśliwym Calasie, łamanym kołem w Tuluzie, mógł wyjść z tego małego zapoznanego zakątka ziemi, między Alpami i Jurą, położonego o sto mil od miejsca, w którym rozegrała się ohydna scena.

Być może, nic nie ukazuje lepiej niedostrzegalnego łańcucha, który wiąże ze sobą wszystkie wypadki zachodzące na tym nieszczęsnym świecie.

W końcu marca 1762 roku pewien podróżny, którego droga prowadziła przez Langwedocję, zawitał do mej samotni leżącej o dwie mile od Genewy, opowiedział mi o kaźni Calasa i zapewnił, iż był on niewinny. Odparłem mu, że zbrodnia, o którą go posądzono, jest nieprawdopodobna, ale że jeszcze bardziej nieprawdopodobne jest, by sędziowie, nie mając w tym żadnego interesu, skazali niewinnego człowieka na śmierć przez łamanie kołem.

Nazajutrz dowiedziałem się, że jeden z synów owego nieszczęśnika uciekł do Szwajcarii i znajduje się niedaleko mego domu. Ucieczka jego utwierdziła mnie w mniemaniu, że rodzina ta winna jest przypisanego jej przestępstwa. Jednakże zreflektowałem się, że ów ojciec skazany został na śmierć za to, iż sam jeden z pobudek religijnych zamordował swego syna, że zginął mając sześćdziesiąt dziewięć lat. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek czytał, że jaki starzec powodował się tak potwornym fanatyzmem. Zawsze uderzało mnie, że szaleńcy ogarnia zwykle tylko młodzież, której wyobraźnia, burzliwa a nieodporną, łatwo daje się zapalić przesądom. Fanatycy z Sewennów byli szaleńcami mającymi od dwudziestu do trzydziestu lat, których od dzieciństwa urabiano na proroków. Prawie wszyscy konwulsjonerzy, których tyle oglądałem w Paryżu, to były małe dziew-

czynki i młodzi chłopcy. Wśród mnichów starcy bywają mniej popędliwi i nie tak skłonni do szaleńczej żarliwości niż ci, którzy wychodzą z nowicjatu. Wszyscy sławetni zabójcy, którym fanatyzm wetknął broń do ręki, byli młodymi ludźmi, jak również ci, którzy uważali się za opętanych. Nigdy nie widziano, by nad starcem były odprawiane egzorcyzmy. Myśl ta sprawiła, że zacząłem powątpiewać tej zbrodni, która zresztą sprzeczna jest z naturą. Nie znałem okoliczności, w jakich została popełniona.

Skłoniłem młodego Calasa, by przybył do mnie. Spodziewałem się ujrzeć jednego z tych opętanców, których od czasu do czasu wydaje na świat jego kraj. Zobaczyłem młodzieńca prostego, szczerego, o rysach najłagodniejszych w świecie i bardzo ciekawych, który, rozmawiając ze mną, na próżno starał się powstrzymać łzy. Powiedział mi, że przebywał w Nîmes na praktyce u pewnego fabrykanta, kiedy doszły go wieści, że w Tuluzie miano właśnie

skazać jego rodzinę na śmierć. Cała niemal Langwedocja przekonana była o jej winie, aby więc uniknąć tak straszliwej hańby, ukrył się w Szwajcarii.

Zapytałem go, czy jego ojciec i matka byli usposobienia gwałtownego. Odrzekł, że nigdy nie uderzył żadnego ze swych dzieci i że nie było na ziemi bardziej od nich pobłażliwych i czułych rodziców.

Wyznałem, że nie potrzebowałem niczego więcej, aby powziąć silne przypuszczenie o niewinności tej rodziny. Zasięgnąłem nowych informacji u dwóch kupców genewskich słynnych z prawości, którzy zatrzymywali się niegdyś w Tuluzie u Calasów. Utwierdzili mnie w moim przekonaniu. Daleki byłem od posądzania rodziny Calasów o fanatyzm i synobójstwo, natomiast domyślałem się, że to fanatycy oskarżyli ich i zgubili. Od dawna już wiedziałem, do czego zdolny jest duch stronnictwa i oszczerstwa.

Jakże jednak się zdumiałem, kiedy na moje listy w tej dziwnej sprawie, które wysłałem do Langwedocji, katolicy i protestanci odpowiedzieli mi, że nie należy wątpić o zbrodni Calasów. Nie zraziłem się bynajmniej. Pozwoliłem sobie napisać nawet do zarządzających prowincją, do gubernatorów prowincji sąsiednich, do ministrów królewskich. Wszyscy jednomyślnie radzili mi, żebym nie mieszał się do tak niebezpiecznej sprawy; wszyscy mnie potępiali, a ja obstawałem przy swoim.

Wdowa po Calasie, której dla dopełnienia miary nieszczęścia i obelg uprowadzono córkę, schroniła się do pewnej samotni, gdzie żyła łzami i wyglądała na śmierć.

Nie dowiadywałem się wcale, czy była przywiązana do religii protestanckiej, czy też nie, ale tylko, czy wierzyła w Boga wynagradzającego cnotę i mszczącego się za zbrodnię.

Kazałem zapytać, czy w imię tego Boga podpisze oświadczenie, że mój mąż jest niewinny. Nie wahała się. Ja także się nie wahałem. Poprosiłem pana Mariette'a, by w Radzie Królewskiej podjął się jej obrony. Trzeba było nakłonić panią Calas do opuszczenia jej schronienia i do odbycia podróży do Paryża.

Wówczas przekonano się, że chociaż na ziemi dużo jest potwornych zbrodni, tyleż krzewi sięcnót, iż chociaż zabobon powoduje straszne krzywdy, naprawia je filozofia.

Pewna dama, której wspaniałomyślność równa jest jej wysokiemu urodzeniu, przebywająca wówczas w Genewie dla szczepienia swych córek, pierwsza wspomogła nieszczęśliwą rodzinę. Francuzi znajdujący się w tym kraju poszli za jej przykładem. Anglicy, którzy podróżowali po Szwajcarii, także się wyróżnili. I jak powiedział pan de Beaumont, między tymi dwoma narodami wywiązała się szlachetna rywalizacja o to, kto większego udzieli wsparcia tak okrutnie uciśnionej cnotce.

Któż lepiej od pana zna resztę? Któż służył sprawie niewinności z bardziej nieugiętym i nieustraszonym zapałem? Ilużto mówców zachęcił pan do zabrania głosu, którego słuchała z uwagą cała Francja i Europa? Ujrzeliśmy, jak powróciły czasy, kiedy to Cyncero bronił przed zgromadzeniem prawodawców Amerinusa oskarżonego o ojcostwo. Kilka osób z tych, których zowią dewotami, wystąpiło przeciwko Calasom; ale po raz pierwszy od chwili, gdy pojawił się fanatyzm, głos mędrców zmusił ich do milczenia.

Rozum tedy odnosi u nas wielkie zwycięstwa. Ale czy da Pan wiarę, drogi przyjacielu, że Calasowie, których tak skutecznie wspomóżono i pomoszczono, nie byli w owym czasie bynajmniej jedyną rodziną oskarżoną o dzieciobójstwo i

złożoną w ofierze obłędowi przesądów? Inna rodzina, bardziej jeszcze nieszczęśliwa, doświadczyła takich samych okropności co Calasowie, ale nie miała wcale swego Mariette'a, Beaumonta, i Loiseau.

Zdawaćby się mogło, że po Langwedocji krąży piekielna furia przywleczona tu niegdyś przez inkwizytorów, postępujących w ślad za Szymonem de Montfort, i że od tego czasu roznieca ona co jakiś czas swą żagiew.

Komisarz praw senioralnych z Castres, nazwiskiem Sirven, miał trzy córki. Ponieważ rodzina ta wyznawała reformowaną, jak jązowią, religię, wyrывa się objęć matki najmłodszą córkę, osadza się ją w klasztorze i nie szczędi razów, by lepiej nauczyć ją katechizmu. Dziewczyna popada w szaleństwo. Rzuca się do studni odległej o milę od domu ojca. Oczywiście, gorliwi katolicy nie wątpią, że to ojciec, matka i siostry utopiły owo dziecko. Wśród katolików tej prowincji uznawano za niewzruszoną prawdę, iż jedna z głównych zasad religii protestanckiej nakazuje ojcom i matkom powiesić, zakłuć lub utopić wszystkie swe dzieci zdradzające jakąkolwiek skłonność dla wyznania rzymskiego. Działo się to w tym właśnie czasie, kiedy Calasowie znajdowali się w więzieniu i kiedy wznoszono dla nich szafot.

Wieść o utopionej dziewczynie dociera wprędce do Tuluzy. Oto nowy przykład — krzyczą — dzieciobójstwa. Wściekłość tłumy wzmagą się przez to. Łamią kołem Calasa, skazują Sirvena, jego żonę i córki. Przerażony Sirven za ledwie ma czas uciec z całą swą dręczoną chorobami rodziną. Idą piechotą przez strome góry, okryte wtedy śniegiem, nie znajdując znikąd pomocy. Jedna z córek rodzi dziecko wśród lodów i umierająca prawie unosi w ramionach swoje umierające niemowlę. Skierowują w końcu swe kroki ku Szwajcarii.

Przypadek, który przywiódł do mnie dzieci Calasów, chciał, by również Sirvenowie do mnie się wrócili. Wystaw sobie, mój przyjacielu, cztery owce, które rzeźnicy oskarżają, że pożarły jagnię — oto, co ujrzałem. Nie zdołam Panu opisać tak wielkiej niewinności i tak ogromnego nieszczęścia.

Cóż miałem robić co Pan by uczynił na moim miejscu?

Czyż można poprzestać na wyrzekaniu na ludzką naturę?

Pozwalam sobie wystosować list do pierwszego prezydenta Langwedocji, człowieka cnotliwego i mądrego. Niestety, nie było go w Tuluzie. Za pośrednictwem jednego z pańskich przyjaciół przedkładałam prośbę panu zastępcy kanclerza.

Tymczasem w Castres wykonują wyrok na kukłach ojca, matki i obu córek. Ich majątek zostaje skonfiskowany, ich posiadłość pustoszona ze szczętem, także nic z niej nie ocalało.

Oto, jak uczciwą, niewinną i cnotliwą rodzinę wydano na hańbę i skazano na żebranie obcych. Znajdują, oczywiście, litość, ale jakże ciężko jest być za grobu przedmiotem litości!

Odpowiedziano mi w końcu, że będzie można uzyskać listy ułaskawiające. Myślałem z początku, że chodziło tu o sędziów i że to dla nich owe listy miały być przeznaczone. Może Pan być pewien, że owa rodzina wołałaby chodzić od drzwi do drzwi o żebrany chleb i skonać nędzy niżeli prosić o łaskę, gdyż to znaczyłoby, że popełnili zbrodnię, i to zbrodnię zbyt potworną, by mogła być darowana. Ale jak wywalczyć sprawiedliwość? Jakże tu uda się dobrowolnie do więzienia w swej ojczyźnie, gdzie połowa ludzi mówi jeszcze ciągle, że zgładzenie Calasa było sprawiedliwe? Czy odwoływać się po raz wtóry do Rady Królewskiej? Czy pokusić się o poruszenie współczucia publiczności, które, być może, nieszczęście Calasów już wyczerpało, bo publiczności sprzykry się w końcu ustawiczne zajmowanie

się odparowywaniem oskarżeń o dzieciobójstwo,
uniewinnianiem skazańców i upokarzaniem sędziów.

Czy te dwa tragiczne wydarzenia, które nastąpiły
bezpośrednio jedno po drugim, nie są, mój przyjacielu,
dowodami owego nieuchronnego fatum, jakiemu podlega
nasz nędzny rodzaj ludzki? Prawda to okropna, wykładana w
tylu miejscach u Homera i Sofoklesa, ale prawda
pożyteczna, ponieważ uczy nas rezygnacji i umiejętności
znoszenia cierpień.

Czy uwierzy Pan, że podczas gdy ja do głębi byłem
przejęty strasznym losem Calasów i Sirvenów, pewien
człowiek, pozna Pan złatwością, jakiego stanu, po jego
wywodach, wyrzucał mi zainteresowanie się losem tych
dwóch rodzin, które były mi zupełnie obce? „Do czego pan
się wtrąca?—powiedziały mi.—Niechaj umarli grzebią swych
umarłych.” Odparłem mu tak: „Napotkałem na mej pustyni
Izraelitę zbroszonego krwią, niech pan się cierpi, bym
nał trochę oliwy i wina w jego rany. Pan jest lewitą. Pozwól
mi pan być Samarytaninem.”

To prawda, że jeśli chodzi o nagrodę za moje trudy,
potraktowano mnie prawdziwie jak Samarytanina: ułożono
pełne oszczerstw paszkwile pod nazwą *Pouczenie
pasterskie i Reskrypt biskupi*. Ale o tym nie warto pamiętać,
skomponował je pewien jezuita. Biedak nie wiedział wtedy, że
udzieliłem schronienia innemu jezuitcie. Zali mogłem lepiej
dowieść, że winniśmy naszych wrogów traktować jak braci?

Pańskimi namiętnościami są umiłowanie prawdy i ludzkości
oraz nienawiść oszczerstwa. Zgodność naszych charakterów
stworzyła naszą przyjaźń. Przepędziłem życie na szukaniu i
głoszeniu tej prawdy, którą mi uję. Któż jeszcze ze
współczesnych historyków bronił pamięci pewnego wielkiego
króla przeciwko podłym potwarzom jakiegoś tam pisarza,

którego można nazwać potwarcą królów, ministrów i wielkich wodzów, a który mimo to nie może znaleźć dzisiaj ani jednego czytelnika?

W sprawie strasznych nieszczęść Calasów i Sirvenów uczyniłem więc tylko to, co robią wszyscy ludzie: postąpiłem wedle moich skłonności. Skłonnością filozofa nie jest uzalanie się nad nieszczęśliwymi, lecz służenie im.

Wiem, z jaką wściekłością fanatyzm powstaje przeciwko filozofii. Ma ona dwie córki, które chciałby zgubić tak jak Calasów: Prawdę i Tolerancję. Filozofia zaś pragnie tylko wytrącić broń z ręki dzieciom fanatyzmu: Kłamstwu i Prześladowaniu.

Ludzie, którzy nie używają rozumu, chcieli znieśli ciętych, którzy się nim posługują: zrównali filozofa z sofistą i pomylili się bardzo. Prawdziwy filozof może czasem zirytować się na oszczerstwo, które gościga, może okryć wieczną pogardą podłego sprzedawczyka, który znieważa dwa razy na miesiąc rozum, dobry smak i cnotę, może nawet mimochodem ośmieszyć ciętych, co dla literatury sanktuarium, w którym czci się winni. Obce mu są jednak intrygi, potajemne praktyki i mściwość. Umie, jak mędrzec z Montbard i mędrzec z Vore, czynić ich bardziej urodzajną, a jej mieszkańców szczęśliwymi. Prawdziwy filozof uprawia pola leżące odłogi, pomnaża liczbę pługów, a przez to samo i liczbę mieszkańców, daje zajęcie ubogiemu i wzbogaca go, zachęca do zawierania małżeństw, opiekuje się sierotą, nie szemrze przeciwko koniecznym podatkom i sprawia, że rolnik jest w stanie płacić je ochoczo. Nie żąda niczego od ludzi, a daje im wszystko, co dać jest zdolen. Pała wstrętem do obłudników, ale łączy zabobonnych. Na koniec, umie być przyjacielem.

ODEZWA DO OGÓŁU W ZWIĄZKU ZE ZBRODNIĄ DZIECIOBÓJSTWA PRZYPISANĄ CALASOM I SIRVENOM

Tak tedy w ciągu jednego roku wniesiono we Francji dwa oskarżenia o dzieciobójstwo popełnione dla przyczyn religijnych i dwie rodziny zostały drogąprawnąłożone w ofierze fanatyzmowi. Ten sam przesąd, który w Tuluzie rozciągnąłCalasa na kole, włókłpod szubienicęw okręgu sądowym tej samej prowincji całąrodzinęSirvenów. Ten sam obrońca niewinności, pan Elias de Beaumont, adwokat parlamentu paryskiego, który oczyściłz zarzutów rodzinęCalasów, niedawno wykazałniewinnośćSirvenów w memoriale podpisanym przez wielu adwokatów i wykazującym, że wyrok na Sirvenów jest bardziej jeszcze niedorzeczny aniżeli skazanie Calasów.

Oto w paru słowach przedstawienie faktycznego stanu sprawy. Posłuży ono tym obcokrajowcom, którzy nie mieli jeszcze możliwości przeczytaćmemoriału znamienitego elokwencji pana de Beaumont.

W roku 1761, kiedy protestancka rodzina Calasów przebywała w więzieniu pod zarzutem zamordowania Marka Antoniego Calasa, który, jak twierdzono, chciałprzyjąćreligiękatolicką, zdarzyło się, że córka Pawła Sirvena, komisarza praw senioralnych okręgu Castres, została przyprowadzona przed oblicze biskupa z Castres przez jego ochmistrzynię. Biskup, skoro mu powiedziano, że

dziewczyna pochodzi z rodziny kalwińskiej, rozkazuje zamknąć ją w Castres, w pewnego rodzaju klasztorze, zwanym „domem regentek”. Tam razami kańczuga uczą młode dziewczyny religii katolickiej, siniaczają, przyprawiają szaleństwo. Wychodzi ze swego więzienia i w jakiś czas później rzuca się do studni znajdującej się w szczerym polu, daleko od domu jej ojca, w pobliżu wioski Mazamet. Zaraz też sędzia gminny poczyną tak rozumować:

„Mają krótko w Tuluzie łamać kołem Calasa i spalić na stosie jego żonę, bo najpewniej powiesili swego syna z obawy, żeby nie poszedł na mszę. Ja zatem powinienem, za przykładem moich zwierzchników, zrobić to samo ze Sirvenami, którzy najpewniej utopili swą córkę dla tej samej przyczyny. Co prawda, nie mam żadnego dowodu, że ojciec, matka i dwiesiostry tej dziewczyny ją zamordowali. Ale mówią, że tak samo nie ma żadnych dowodów przeciwko Calasom, zatem nie grozi mi żadne ryzyko. Łamać kołem i palić na stosie to byłoby może zbyt wiele jak na sędziego gminnego, ale przynajmniej będę miał przyjemność powiesić całą tę hugonowską rodzinę, a z konfiskaty ich majątku przypadnie mi co nieco jako sądowe.”

Dla większej pewności ten z rozumu obrany fanatyk polecił przeprowadzić sekcję zwłok medykowi tak samo uczonemu w fizyce, jak on był uczony w prawie. Lekarz zdziwiony, że nie znalazł wody w żołądku dziewczyny, i nie wiedząc o tym, że woda nie może wejść do ciała, z którego nie wyszło powietrze, orzekł, iż dziewczyna zabiła się uderzeniem, a następnie wrzucono do studni. Jakiś nabożny człek z sąsiedztwa zapewnia, że wszystkie rodziny protestanckie mają takie zwyczaje. W końcu, po przeprowadzeniu postępowania śledczego, w tym samym stopniu sprzecznego z prawem, jak rozumowania owe sprzeczne były z rozsądkiem, sędzia nakazuje aresztować ojca, matkę i siostry zmarłej. Na wieść o tym

Sirven zwołuje swych przyjaciół; wszyscy pewni są jego niewinności, ale sprawa Calasów przejęła strachem całą prowincję. Radzamu nie wystawiać się na furie fanatyzmu; Sirven ucieka z żoną i córkami. Dzieje się to w czasie zimy. Gromadka nieszczęśników musi przebyć na piechotę łańcuch gór pokrytych śniegiem. Jedna z córek Sirvena, zamężna od roku, rodzi dziecko w czasie podróży, bez żadnej pomocy, wśród lodowców. Ledwie żywa, musi natychmiast unieść swe maleństwo, umierające w jej ramionach. Kiedy wreszcie wszyscy znaleźli się w miejscu bezpiecznym, z pierwszych nowin dowiedzieli się, że ojciec i matka skazani są na śmierć, a obie siostry, uznane również za winne, na zawsze wygnane z kraju; że majątki skonfiskowano i nie zostało im nic na świecie krom hańby i nędzy.

Oto co - o wiele szerzej - wyłożył w swym arcydziele pan de Beaumont, wraz z wszelkimi dowodami najczystszej niewinności i najstraszniejszej niesprawiedliwości.

Opatrzność, która dozwoliła, aby pierwsze próby oczyszczenia Calasa, straconego połamaniu kołem w Langwedocji, wyszły z gór i pustkowi bliskich Szwajcarii, zechciała także, aby pomsta za krzywdę Sirvenów przyszła z tego samego ustronia. Tu się schroniły dzieci Calasów i tutaj w tym samym czasie szukała przytułku rodzina Sirvenów. Przepełnieni współczuciem i prawdziwie religijni ludzie, którzy znaleźli pociechę w służeniu swą pomocą tym dwóm nieszczęśliwym rodzinom i pierwsi uszanowali ich nieszczęście i cnotę, nie mogli wówczas złożyć odwołania w sprawie Sirvenów, tak jak to uczynili względem Calasów, ponieważ śledztwo przeciwko Sirvenom postępowało wolniej i trwało dłużej. A zresztą jakim-

że sposobem ta tułacza rodzina, znajdująca się czterysta mil od ojczyzny, mogła zebrać dokumenty potrzebne dla jej usprawiedliwienia? Czegoż mógł dokonać ów ojciec złamany

nieszczęściem, umierająca kobieta, która wkrótce istotnie miała umrzeć strapienia, i dwie córki równie nieszczęśliwe jak ojciec i matka? Trzeba było zażądać drogą prawną kopii aktu oskarżenia. Formalności, które", być może, są konieczne, ale często przyczyniają się do krzywdy niewinnego i ubogiego, odstręczyły ich od tego przedsięwzięcia. Ich zastraszeni krewni nieśmieli nawet do nich pisać. Jednego tylko ta rodzina zdołała się dowiedzieć obcym kraju: że w ojczyźnie skazano ich na kaźń. Gdyby wiadome było, ile starań i trudów należało podjąć, ażeby wydrzeć końcu kilka prawnych dowodów na ich korzyść, groza przejęłaby wszystkich! Dlaczego tak łatwo jest ciemnieć, a tak trudno wspomagać?

Nie można było użyć w odniesieniu do Sirvenów tych samych form prawnych, jakimi posłużono się w sprawie Calasów, ponieważ Calasów skazał parlament, a Sirvenów sędziowie niżsi, od których wyroku przysługuje odwołanie do tego właśnie parlamentu. Nie będziemy powtarzać tutaj tego, co powiedział elokwentny i szlachetny pan de Beaumont. Ale zważywszy, jak ściśle te dwa wydarzenia związane są ze sprawą ludzkości, doszliśmy do wniosku, że w imię tej sprawy należy uderzyć w samo źródło fanatyzmu, który je spowodował. Chodzi tylko o wprowadzenie o dwójadnym rozgłosie nie cieszące się rodzin, ale skoro najbardziej nawet niepozorne stworzenie umiera od zarazy, która przez długi czas pustoszyła całą ziemię, jego śmierć ostrzega wszystkich, że jad pozostał. Wszyscy ludzie muszą mieć się na baczności i jeżeli istniejący lekarze, to powinni oni szukać środków, które byłyby w stanie zniszczyć źródła powszechnej śmiertelności.

Być może, przepisy prawne nie pozwalają, aby odwołanie Sirvenów zostało przyjęte przez Radę króla Francji. Lecz zostało ono przyjęte przez publiczność. Ten sędzia

wszystkich sędziów wydałorzeczenie. Do niego zatem sięzwracamy i w jego imieniu chcemy przemawiać.

O FANATYZMIE W OGÓLNOŚCI

Ród ludzki zawsze był oddany nałup błędów, nie wszystkie jednak błędy były zabójcze. Można było bezkarnie nie wiedzieć, że glob nasz krąży wokół słońca, można było dawać wiarę wróżbitom, wierzyć w upiory; można było wierzyć, że ptaki przepowiadają przyszłość, że zaklina się węże; że gdy pokazuje się matkom różnokolorowe przedmioty, rodzone potem pstrokate zwierzęta; można było żywić święte przekonanie, że wraz z ubywaniem księżyca zmniejsza się szpik w kościach, że ziarna, aby wykiełkowały, muszą wprzód zgnieć. Te głupstwa nie wywoływały przynajmniej żadnych prześladowań, niezgody ani mordów.

Istnieją wszakże inne niedorzeczności, które wstrząsnęły ziemią, inne szaleńcze wymysły, które zatopiły ją we krwi. Nigdy, na przykład, nie będzie dokładnie wiadomo, ilu nieszczęśników wydali w ręce katów bezrozumni sędziowie, którzy spokojnie i bez skrupułów skazywali ich na śmierć na mocy oskarżenia o czary. Nie było ani jednego trybunału w chrześcijańskiej Europie, który przez pełnych piętnaście stuleci nie skalałby się wielokrotnie takimi prawnymi morderstwami. I nawet gdy powiem, że wśród chrześcijan było przeszło sto tysięcy ofiar tej barbarzyńskiej i głupiej sprawiedliwości i że większością ofiar to były kobiety i niewinne dziewczęta, jeszcze powiem zbyt mało.

Biblioteki pełne są ksiąg dotyczących procesów o czary. Wszystkie wyroki owych sędziów opierały się na przykładach czarnoksiężników faraona, pytonissy z Endoru, opętanych, o których mowa w Ewangelii, i apostołów, posłanych umyślnie

dla wypędzania czartów z ciałopętańców. Nikt nawet nie ośmielił się przez litość dla ludzkiego rodzaju wysunąć obiekcji, że Bóg mógł dopuszczać opętanie i czary dawniej, lecz nie pozwala na nie dzisiaj. Takie rozróżnienie wydałoby się występne, domagano się ofiar. To absurdałne barbarzyństwo od dawna plamiło chrystianizm; wszyscy ojcowie Kościoła wierzyli w magię. Przeszło pięćdziesiąt soborów kolejno rzucało klątwę na tych, którzy za pomocą zaklęć kaźdiabłu wstępować w ciała ludzi. Powszechny błąd był rzeczą święconą. Mężowie stanu, w których mocy leżało wyprowadzenie ludów z błędu, nie myśleli o tym. Zbyt byli zajęci innymi sprawami. Lękali się potęgi przesądu. Widzieli, że fanatyzm ten zrodził się z łona religii. Nie śmieli godzić wynaturzonego syna, aby nie zranić matki. Woleli raczej być niewolnikami ciemnoty ludu niżeli z nią walczyć.

Książęta i królowie drogo płacili za błąd, jaki popełnili rozzuchwalając za bogońność pospółstwa. Czyż nie kazano ludowi Paryża wierzyć, że Henryk III oddawał się czarom w czasie modlitwy? Czyż nie uciekano się porczywie do magicznych sztuczek, aby mu odebrać to nieszczęśliwe życie, którego nie przeciął nóż dominikanina o wiele skuteczniej, niżby to mogło uczynić całe piekło przywołane zaklęciami?

Czyż pewni oszuści nie zamierzali zawieźć do Rzymu Marty Brossier, opętanej, żeby tam w imieniu diabła oskarżyła Henryka IV o to, że nie jest dobrym katolikiem? Każdy rok w owych na półdzikich czasach, tak bliskich naszej epoce, znaczone był podobnymi wydarzeniami. Czyż w Paryżu uczestnicy Ligi, którzy zostali przyżyciu, nie głosili wszem i wobec, że to diabeł ukręcił szyję pięknej Gabrieli d'Estrées?

Mówią, że nie powinno się dzisiaj wspominać tych historii, tak hańbiących naturę ludzką. Ale ja twierdzę, że trzeba o nich mówić, i to po tysiąc razy, i bezustannie je

uprzytamniać ludzkim umysłom. Należy powtarzać, że nieszczęsny ksiądz Urban Grandier został skazany na stos przez sędziów-nieuków zaprzędanych pewnemu krwiożerczemu ministrowi. Niewinność Grandiera była oczywista, ale zakonnice zapewniały, że rzucił na nie czary, i to wystarczyło. Zapominano o Bogu i mówiono tylko o diable. Skoro księża uczynili z konszachtów człowieka z diabłem akt wiary, a sędziowie uważali owo domniemane przestępstwo za tak samo realne i powszechne jak kradzież, doszło nieuchronnie do tego, że znajdowano na ziemi więcej czarowników niż złodziei.

ZŁE PRAWODAWSTWO POWIĘKSZA ILOŚĆ PRZESTĘPSTW

W rzeczywistości bowiem właśnie nasze rytuały i prawodawstwo, oparte na dekretych Gracjana, stworzyły czarnoksiężników. Ciemny lud myślał sobie: „Nasi księża wyklinają egzorcyzmujących, którzy zawarli pakt z diabłem. Nasi sędziowie posyłają ich na stos. Wobec tego jest rzeczą pewną, że można wchodzić w układy z diabłem. Jeżeli tych układów nikt nie odkryje, a Belzebub dotrzyma słowa, to staniemy się ciągu jednej nocy bogaczami. Wystarczy, że pójdziemy na sabat. Obawa przed tym, że nas odkryją, niczym jest wobec nadziei na nieskończone bogactwa, jakich udzieli nam diabeł. Zresztą Belzebub jest potężniejszy od sędziów i może nas obronić przed nimi.” Tak to rozumowali ci nieszczęśnicy, a im więcej stosów zapalali fanatyczni sędziowie, tym więcej było głupców, którzy na nie się narażali.

Więcej jednakże było oskarżycieli niż przestępców. Dziewczyna zachodziła w ciążę, a nie wiedziano, żeby miała kochanka - z diabłem poczęła dziecko. Paru wieśniaków zebrało dzięki swej pracy niwio obfitsze niż sąsiedzi - to dlatego, że byli czarownikami. Inkwizycja paliła ich na stosie i zagarniała pieniądze ze sprzedaży ich majątku. Papież rozsyłał po całych Niemczech i gdzie indziej sędziów, którzy wydawali ofiary w ręce władzy świeckiej, także rządcy świeccy stali się wkrótce siepaczami i katami na służbie księży. Tak jest jeszcze dotąd w Hiszpanii i Portugalii.

Im bardziej nieoświecona i prostacka była jaka prowincja, tym silniej wierzano w niej w królestwo szatana. Mamy

przed oczyma zbiór orzeczeń wydanych przeciwko czarownikom w prowincji Franche-Comté, sporzą-

dzony w roku 1607 przez najwyższego sędziego trybunału w Saint-Claude, niejakiego Bouget, i zatwierdzony przez kilku biskupów. Dzisiaj zamknięto by w szpitalu- dla obłąkanych człowieka, który napisałby takie dzieło, ale wtedy wszyscy sędziowie byli tak samo okrutnie bezrozumni jak on. Każda prowincja miała podobny rejestr wyroków. Nareszcie, kiedy filozofia poczęła oświecać nieco ludzi, zaniechano ścigania czarowników i zniknęli oni zupełnie z powierzchni ziemi.

DZIECIOBÓJSTWO

Śmiem twierdzić, że podobnie też rzeczą się ma z dzieciobójstwem. Niech sędziowie z Langwedocji przestaną lekkomyślnie wierzyć, iż każdy ojciec protestant morduje natychmiast swoje dzieci, skoro tylko nasuwają się podejrzenia, jakoby skłaniały się one ku religii rzymskiej—a nie będzie wtedy procesów o dzieciobójstwo. Zbrodnia ta zdarza się w istocie jeszcze rzadziej niżeli zawieranie paktu z diabłem. Wprawdzie jest całkiem możliwe, że ciemne kobiety, którym proboszcz na kazaniu wmawia, że niewiasta może przestawać cielesnie z kozłem podczas sabatu, zapragną, właśnie skutkiem tego kazania, iść na sabat i tam pokładać się z kozłem. Jest rzeczą naturalną, że gdy natrą się odurzającymi maściami, toś ni im się w nocy, że pieścił je diabeł. Ale nie leży w naturze ludzkiej, żeby ojcowie i matki dla przypodobania się Bogu mordowali swoje dzieci. Wszelako jeśli nadal będziemy utrzymywać, że zwyczajem protestantów jest mordowanie swych dzieci z obawy, żeby nie stały się katolikami, zohydź się im w końcu religia katolicka do tego stopnia, że zamilknie głos natury w sercach jakichś nieszczęśliwych fanatycznych ojców i wystawieni będą na pokusę popełnienia zbrodni, tak lekkomyślnie uznawanej za pospolitą.

Pewien autor włoski donosi, że w Kalabrii mnich jeden postanowił chodzić od wioski do wioski i głosić kazania przeciwko grzechowi przestawiania cielesnego ze zwierzętami—i tak żywo odmalowywałowe występki, iż po trzech miesiącach naliczono już przeszło pięćdziesiąt kobiet oskarżonych o te szkaradne czyny.

JEDYNIIE TOLERANCJA MOŻE UCZYNIĆ ŻYCIE W SPOŁECZNOŚCI ZNOŚNYM

Straszną namiętnością ludzką jest owa pycha, która każe nam zmuszać innych ludzi, aby myśleli tak jak my; a już szczytem szaleństwa jest sądzić, iż nakłonimy ich do uznania naszych dogmatów oburzając ich ustawicz-

nymi i najokrutniejszymi kalumniami, prześladowając, wlokąc ich na galery, na szubienicę, na koło, na stos.

Niedawno temu pewien ksiądz irlandzki napisałw broszurze, co prawda nikomu nie znanej, ale w każdym razie napisali chciało tym innych przekonać, iż trzeba nam było sto lat temu się urodzić, aby móc podnosić głos przeciwko nietolerancji, gdyż obecnie barbarzyństwo ustąpiło przed łagodnością obyczajów i nasze żale przychodzą w porę. Tym, którzy tak utrzymują, odpowiem: zobaczcie, co siedzieje przed waszymi oczyma, a jeśli w piersi waszej bije ludzkie serce, dołączycie waszą łitość do naszej. Od roku 1745 powieszono we Francji ośmiu nieszczęsnych ministrów protestanckich. Za świadczenia o spowiedzi spowodowały wiele zamieszek. I wreszcie ów nieszczęsny fanatyk, wywodzący się z mętów ludu, który zranił swego króla w roku 1757, zeznawał przed parlamentem na pierwszym przesłuchaniu, iż popełnił zbrodnię wiedziony zasadami religii. I dorzucił owe złowrogie słowa: „Kto użyteczny jest tylko dla siebie, wcale nie jest użyteczny.” Od kogo je usłyszał? Kto nauczył mówić tak tego klechę, tego nędznego pachółka? Na torturach utrzymywał nie tylko, że zabójstwo, które zamierzał popełnić, było uczynkiem zasługującym na

nagrodę, ależe słyszał, jak tak samo mówili wszyscy księża w wielkiej sali sądu, gdzie wymierza sięsprawiedliwość.

Zaraza fanatyzmu zatem szerzy sięnadal. Jadów tak ciągle jest silny, iżpewien ksiądz z kraju Calasów i Sirvenów przed paroma laty ogłosiłdrukiem pochwałęnocyświątego Bartłomieja. Inny zaśopublikowałrozprawęusprawiedliwiającązabójców proboszcza Urbana Grandier. A kiedy równie pożyteczny, jak ludzki*Traktat o tolerancji*ukazałsięwe Francji, nieśmiano zezwolić,żeby go publicznie sprzedawano. Rozprawa ta wyświadczyła wprawdzie niejakię dobro: rozproszyła niektóre zabobony i wznieciła odrazędo prześladowań fanatyzmu, ale w tym obrazie barbarzyństwa religijnego autor pominąłwiele szczegółów, które uczyniłyby go jeszcze straszniejszym i jeszcze skuteczniej pouczającym.

Uczyniono zarzut autorowi, że posunąłsięza daleko, kiedy chcąc wykazać, jak. ohydne i niedorzeczne sąprześladowania religijne, wprowadziłpostaćkrewnego Ravallaca, proponującego jezuitę Le Tellierowi wytrucie wszystkich jansenistów. To zmyślane zdarzenie mogło, rzeczywiście, wydaćsięzbytniąprzesadą, którzy nie zdająsobie sprawy, na cozdolna jest sięwazyćszalona wściekłośćfanatyzmu. Z pewnościążdziwiąsiębardzo, gdy im oznajmimy, że owa fikcja z*Traktatu o tolerancji*jest historycznąprawdą.

Historia reformacji w Szwajcarii podaje istotnie, że w roku 1536 w Genewie księża chcąc uprzedzićwielki przewrót, który miałwkrótce nastąpić, podmówili pewnąsłużącą, aby otruła trzech głównych twórców reformy, a kiedy trucizna okazała sięzbyt słaba, wmieszali silniejszej do chleba i wina przeznaczonych do rozdzielenia przy powszechnej komunii, aby w ciągu jednego ranka zgładzićwszystkich tych,

coświeżo przyjęli reformę, i zapewnićtryumf Kościołowi Bożemu.

Autor*Traktatu o tolerancji*nie wspomniałwcale o potwornych męczarniach, w jakich zginęło tylu nieszczęśliwych w dolinach Piemontu. Przemilczałmasakręświeściuset mieszkańców miasteczka Valteline, mężczyzn, kobiet i dzieci, których katolicy wymordowali jednej niedzieli we wrześniu 1620 roku. Nie powiem, że działało sięto za przyzwoleniem i przy pomocy arcybiskupa Mediolanu Karola Boromeusza, którego uczynionoświętym. Niektórzy roznamiętnieni pisarze zapewniająo tym fakcie, ja jednak daleki jestem od dawania im wiary, ale utrzymuję, że nie ma w Europie jednego miasta, jednego miasteczka, w którym nie przelano by krwi z powodu waśni religijnych. Utrzymuję, że na skutek tego liczba ludności zmniejszyła siępoważnie, ponieważmordowano kobiety i dziewczęta na równi z mężczyznami. Twierdzę, że Europa posiadałaby o jednątrzeciałudności więcej, gdyby nie było sporów teologicznych. Utrzymujęwreszcie, że nie należy zapominaćo owych strasznych czasach, lecz, przeciwnie, trzeba przywołaćje często przed nasze oczy, ażeby wzbudzićwielkąodrazę. Utrzymuję, że to właśnie nasz wiek winien poprzez tolerancjęuczynićpowszechne zadośćuczynienie zaów długi ciąg zbrodni, które nietolerancja powodowała przez szesnaście wieków barbarzyństwa.

Nie mówcie nam, że nie zostało jużdzisiajśladów po okropnym fanatyzmie nietolerancji. Istniejąone jeszcze wszędzie, istniejąnawet w tych krajach, które uchodząza najbardziej ludzkie. Gdyby ministrowie luterańscy i kalwińscy posiadali władzę, byłiby może równie bezlitośni, okrutni i zuchwali, jak, wedle ich zarzutów, sąich przeciwnicy. Barbarzyńskie prawo, żeżaden katolik nie może

przebywać dłużej niż przez trzy dni w niektórych protestanckich krajach, nie zostało wcale, jak dotąd, odwołane. Włochom, Francuzom czy Austriakom nie wolno posiadać ich terytorium ani domu, ani nawet morgi ziemi, podczas gdy we Francji pozwala się przynajmniej, żeby nikomu nie znany człowiek z Genewy czy Schaffhausen kupił sobie włości senioralne. Gdyby zaś Francuz chciał zakupić majątność w republikach protestanckich, o których mówię, i gdyby rząd roztropnie przymknął na to oczy, niechybnie znaleźliby się ludzie o duszach z błota, którzy by wykrzykiwali przeciwko tej ludzkiej tolerancji.

*O tym, co głównym jest zarzewiem nietolerancji,
nienawiści i niesprawiedliwości*

Karmadła nietolerancji i nienawiści obywateli do ich rodaków jestów niefortunny zwyczaj utrwalania rozdziałów religijnych przez obchody rocznic i ceremonie świąteczne. Do nich zaliczyć wypada doroczną procesję w Tuluzie, w czasie której składa się uroczyste dziękczynienie Bogu za cztery tysiące pomordowanych. Ordonanse królewskie zakazały tej ceremonii, ale wcale jej dotąd nie zaniechano. Co roku lży się nabożnie religii tron tą barbarzyńską uroczystością. Zniewaga pod koniec wieku zwiększa się wraz z uroczystszym jej charakterem. Mam na myśli igrzyska urządzone co sto lat w Tuluzie; miasto wtedy prosi papieża o całkowity odpust za uczestniczenie w procesji. Bez wątplenia, potrzebuje ono odpuszczenia grzechów, ale nie zasługują na to ci, którzy utrwalają fanatyzm.

Ostatni obchód stulecia przypadł na rok 1762, w tym samym czasie, kiedy Calas konał na kole. Z jednej strony składano dziękczynienie Bogu, z drugiej-mordowano

niewinnego człowieka. Czy przyszłe pokolenia dadzą wiarę, do jakich szaleństw posuwała się naszych czasów zabobon przy tej nieszczęsnej uroczystości?

Na czele szewcy-łatacze w galowych strojach niosą głowę pierwszego biskupa Tuluzy, księcia Peloponezu, który niezaprzeczenie rezydował w Tuluzie jeszcze przed śmiercią Jezusa Chrystusa. Za nimi idą dekarze, obarczeni kośćmi wszystkich niewinnych, które Herod kazał zgładzić tysiąc siedemset sześćdziesiąt i sześć lat temu. I chociaż dzieciątka te zostały pochowane w Efezie, tak jak owe jedenaście tysięcy dziewcząt w Kolonii, niemniej wszyscy wiedzą, że kości ich przechowywane są w Tuluzie.

Handlarze starzyzną powiewają kawałkiem sukni Najświętszej Dziewicy.

Bracia krawcy niosą relikwie świętego Piotra i świętego Pawła.

Następnie w pochodzie pojawia się trzydzieści zwłok ludzkich. Dałby Bóg, żeby poprzestano na tym widowisku! Zwiedziona na manowce pobożnością przestaje jednakże być pobożnością. Głupi lud może, ostatecz-

nie, wypełniać swoje obowiązki (zwłaszcza kiedy porządek w państwie dobrze jest strzeżony), chociażby nawet miał procesjonalnie obnosić kości czterech tysięcy niewinnych zabitych na rozkaz przeznaczonego Heroda w Betlejem. Ale tak wiele zwłok, które pokazuje się tym dniem tylko po to, aby odnowić pamięć o tych czterech tysiącach obywateli zamordowanych w 1562 roku, nie może nie wyrzucić w umysłach ludzi żyjących zgnębnego wrażenia. Dodajmy, że w procesji idą pokutnicy biali i czarni, z maskami z sukna na twarzach, podobni do upiórów, co potęguje jeszcze groźbę ponurego święta. Wychodzi się stamtąd z

główną abityzawami, sercem przejętym duchem fanatyzmu, przepojonym żółcią przeciwko braciom, których ta procesja znieważa. W takim to właśnie stanie opuszczano sale rozmyślań jezuitów: wyobrażenia rozpala się od tych przedmiotów, dusza staje się okrutna i bezlitosna.

Nieszczęsne ludzkie istoty! Obchodźcie święta, które łagodzą obyczaje, usposabiają do pobłażliwości, łagodności i miłosierdzia! Święćcie dzień bitwy pod Fontenoy, kiedy to wszystkich rannych wrogów przeniesiono pospołu z naszymi rannymi do tych samych domów i tych samych szpitali, gdzie traktowano ich i pielęgnowano z jednakową starannością.

Czcijcie wielką duszność Anglików, którzy urządzili zbiórkę na rzecz naszych jeńców wziętych w ostatniej wojnie.

Czcijcie dobrodziejstwa, które Ludwik XV okazał rodzinie Calasów, i niech to święto będzie wiecznym zadośćuczynieniem za krzywdy niesprawiedliwości.

Czcijcie dobroczynne i pożyteczne instytucje Inwalidów, panien z Saint-Cyr, szlachciców ze Szkoły Wojskowej. Niech wasze święta będą pamiątką czynów cnotliwych, a nie nienawiści, niezgody, rozbustwienia, mordów i rzezi.

Dziwaczne przyczyny nietolerancji

Przypuśćmy, że ktoś powiada o tym wszystkim jakiemuś Chińczykowi czy Hindusowi, obdarzonemu zdrowym rozsądkiem, iż on ma cierpliwość wszystkiego do końca wysłuchać. Przypuśćmy, że chce dowiedzieć się, dlaczego tyle było prześladowań w Europie, dlaczego te nienawiści tak zakorzenione wciąż jeszcze wybuchają, skąd wzięło się tyle klątw wzajemnych, tyle listów pasterskich, które nie

sąniczym innym, jak pełnymi oszczerstw paszkwilami, tyle nakazów uwieżienia, które za Ludwika XIV zaludniły więzienia i pustynie. Trzeba mu będzie odpowiedzieć na te pytania. Powiemy mu zatem rumieniąc się:

„Jedni wierzą w łaskę dostateczną, inni w łaskę skuteczną. W Awinionie mówią, że Chrystus umarł za nas wszystkich, a na jednym z przedmieść Paryża, że tylko za większość ludzi. Tam utrzymują, że małżeństwo to znak widzialny rzeczy niewidzialnej, tu twierdzą, że nie ma nic niewidzialnego w tym związku. W niektórych miastach pozory widzialne materii mogą istnieć, mimo że materia widzialna nie istnieje, i jedno ciało może znajdować się naraz w tysiącu różnych miejsc; w innych miastach zaś uważają, że materia jest przenikliwa. I na domiar wszystkiego znajduję się w tych miastach wielkie gmachy, w których wykłada się jedną rzecz, i inne gmachy, w których trzeba wierzyć w coś zupełnie przeciwnego. Odmienne też są sposoby argumentowania, zależnie od tego, czy nosi się suknię białą, szarą lub czarną, albo zależnie od tego, czy przybranym się jest w płaszcz lub ornat. Takie są właśnie powody tej obopólnej nietolerancji, która obraca wśmiertelnych wrogów poddanych tego samego państwa, i na skutek jakiegoś niewytłumaczalnego pomieszania umysłów pozwala się istnieć tym zarodkom niezgody.”

Na pewno Hindus czy Chińczyk nie pojmie, że przez tyle wieków można było prześladować się nawzajem i mordować dla takich przyczyn. Zrazu pomyśli, że owa okrutna zawziętość może mieć źródło tylko w całkowicie przeciwstawnych zasadach moralności. Będzie bardzo zdziwiony, gdy mu powiemy, że wszyscy mamy tę samą moralność, tę, którą od wieków głosi się w Chinach i Indiach, tę, która rządzi wszystkimi narodami. Jakże będzie musiał naszałować gardzielnymi widząc, że owa moralność, jednakowa i wieczna, nie potrafiła nas połączyć

złagodzić naszych obyczajów i że subtelności scholastyczne uczyniły potworami tych, którzy byliby braćmi, gdyby po prostu byli przywiązani jedynie do tej moralności.

Wszystko, co powiedziałem przy sposobności sprawy Calasów i Sirvenów, należało powtarzać już od tysiąca pięciuset lat, począwszy od waśni Atanazego i Ariusza, których cesarz Konstantyn poczytał zrazu za obłąkanych, aż do kłótni jezuitów Le Telliera i jansenistów Quesnela i zaświadczeń spowiedzi. Nie, nie ma ani jednej dysputy teologicznej, która nie pociągnęłaby za sobą fatalnych skutków. Można by o tym napisać dwadzieścia tomów, chcę jednakże zakończyć dysputą kordyliarów i jakobinów, która przygotowała reformację Kościoła w potężnej republice berneńskiej. Spośród tysiąca historii tej samej natury jest to historia najokropniejsza, najbardziej świętokradcza, a przy tym najprawdziwsza w świecie.

DYGRESJA O ŚWIĘTOKRADZTWACH, KTÓRE WYWOŁAŁY REFORMACJĘ W BERNIE

Dostatecznie wiadomo, że kordylierzy, czyli franciszkanie, i jakobini, czyli dominikanie, nienawidzili się wzajemnie od samego założenia ich zakonów. Dzieliły ich zapatrywania na wiele punktów teologii, jak również interesy ich sakw. Główny spór obracał się wokół tego, w jakim stanie znajdowała się Maria, zanim przyszła na świat. Bracia kordylierzy utrzymywali, że Maria była bezgrzeszna w łonie swej matki, bracia jakobini temu przeczyli. Nie było pewno nigdy śmieszniejszego problemu, ale właśnie on to sprawił, że owe dwa zgromadzenia mnichów stały się nieprzejednanymi wrogami.

W roku 1503 pewien kordylier wygłaszał we Frankfurcie kazanie o niepokalanym poczęciu Marii i wtem spostrzegł, że do kościoła wszedł dominikanin nazwiskiem Vigam. „Najświętsza Dziewico—krzyknął—dziękujęci, że nie dopuściłaś, abym należał do owej sekty, która zniesławia ciebie i twego syna!” Vigam zarzucił mu, że dopuścił się kłamstwa. Wtedy kordylier zstąpił z kazalnicy dzierżąc żelazny krucyfiks w dłoni i zdzielił nim tak potężnie jakobina Vigamę, że pozostał on prawie bez życia na placu. Po czym dokończył swego kazania o Najświętszej Dziewicy.

Kapituła jakobinów zebrała się, aby obmyślić zemstę. W nadziei na większe upokorzenie kordylierów postanowili czynić cuda. Po wielu bezowocnych próbach nadarzyła im się korzystna okazja w Bernie.

Pewien młody mnich z ich zakonu byłam spowiednikiem młodego krawca, głuptaka nazwiskiem Jetser, pałającego zresztą wielkim nabożeństwem do Marii Panny i do świętej Barbary. Ten półgłówek zdał mi się być doskonałą okazją do czynienia cudów. Spowiednik przekonał go, że Dziewica i święta Barbara umyślnie mu polecają, by został jakobinem, a wszystkie swoje pieniądze oddał klasztorowi. Jetser usłuchał tego polecenia i przywdział habit. Kiedy już dobrze wypróbowano jego powołanie, czterej jakobini, których nazwiska widnieją w protokole procesu, przebrali się kilkakrotnie, jak umieli, jeden za anioła, drugi za duszyczkę, trzeci za Marię Pannę, a czwarty za świętą Barbarę. W wyniku wszystkich tych objawień, których opis byłby zbyt nużący, Najświętsza Dziewica wyznała wreszcie Jetserowi, że narodziła się grzechu pierworodnym; że została by potępiona, gdyby jej syn, którego jeszcze nie było na świecie, nie raczył jej odrodzić w Duchu, skoro tylko się urodziła; że kordyliery są bezbożnikami i ciężko obrażają jej syna utrzymując, że jego matka została poczęta bez grzechu pierworodnego; że nakazuje mu głosić ten winę wszystkim sługom Boga i Marii przebywającym w Bernie.

Jetser nie omieszkano tego uczynić. By mu podziękować, Maria objawiła mu się jeszcze raz w towarzystwie dwóch krzepkich i barczystych aniołów. Powiedziała, że przychodzi wycisnąć mu na ciele święte stygmaty swego syna na znak jego posłannictwa i jako nagrodę. Dwaj aniołowie związali go i Dziewica wbiła mu gwoździe w nogi i ręce. Nazajutrz wystawiono publicznie na ołtarzu brata Jetsera, pokrwawionego obficie na skutek owych niezwykłych łask niebieskich, jakie otrzymał. Nabożni przybyli tłumnie do kościoła, aby całować jego rany. Dokonały tu cudów, ile tylko zapragnął. Ale objawienia trwały nadal i Jetser rozpoznał końcu głos zastępcy przeora spod maski, która okrywała mu twarz. Począł krzyczeć grozić, że wszystko rozgłosi. Poszedł za

zastępcą przeora aż do jego celi, gdzie zastał swego spowiednika, świętą Barbarę i dwóch aniołów pijących wino z dziewczkami.

Przydybani na oszustwie mnichowie nie mieli innego wyjścia, jak tylko otruć Jetsera. Posypali hostię sublimatem rtęciowym. Miała ona jednak tak wstrętny smak, że Jetser nie mógł jej przełknąć. Uciekł z kościoła, wniebogłosy pomstując na trucicieli i świętokradców. Proces ciągnął się przez dwa lata. Trzeba było wnieść oskarżenie do biskupa Lozanny, gdyż w owym czasie nie dozwolano, aby sądy świeckie sądziły mnichów. Biskup stanął po stronie dominikanów, orzekł, że objawienia były prawdziwe i że biedny Jetser jest oszustem. Posunął nawet swe barbarzyństwo tak daleko, że kazał niewinnego człowieka poddać torturom. Ale ponieważ dominikanie nieopatrznie zdegradowali go i odebrali mu habit tego tak świątobliwego zgromadzenia, Jetser stał się człowiekiem świeckim. Rada berneńska przyjęła go pod swoją jurysdykcję, wysłuchała jego zeznań i zbadała ów długi ciąg zbrodni. Trzeba było sprowadzić sędziów kościelnych z Rzymu; zmuszono ich oczywistymi dowodami prawdy, aby wydali winowajców władzy świeckiej. Spalono ich 31 maja 1509 roku pod bramą Marsilly. Akta procesu znajdują się jeszcze w archiwach w Bernie i wielokrotnie wydawano je drukiem.

O SKUTKACH STRONNICZOŚCI I FANATYZMU

Jeśli zwykły spór mnichów mógł doprowadzić do takich bezeceństw, nie dziwmy się, że stronniczość tylu różnych przeciwstawnych sobie sekt zrodziła tak wiele zbrodni. Strzeżmy się zawsze gwałtów, do których prowadzi fanatyzm. Spróbujcie pozostawić wobodę tej bestii, przestańcie obcinać jej pazury i wyłamywać kły, niech zamilknie rozum, tak często nękanym prześladowaniami, a ujrzyście na własne oczy te same okropności.

które działały się w minionych stuleciach. Zaródź tego chwastu pozostała; jeśli jej nie zdeptacie, rozpleni się na całej ziemi.

Osądźcie sami, mądrzy czytelnicy, co większą przynosi korzyść: wielbić Boga w prostocie serca, wypełniać wszystkie obowiązki względem społeczności, nie wdając się w kwestie równie zgubne, jak niezrozumiałe, być sprawiedliwym i dobrze czynić nie przynależąc do żadnego stronnictwa czy też zaprzedać duszę i ciało fantastycznym poglądom, które przywodzą słabe umysły do zabójczej gorliwości i do najohydniejszych okrucieństw.

Mniemam, że nie oddaliłem się zbyt daleko od tematu, przytaczając te wszystkie przykłady i zalecając ludziom religię, która jednoczy, a nie dzieli, religię, która nie jest własnością żadnego stronnictwa i która kształtuje swych wyznawców na cnotliwych obywateli, a nie bezrozumnych scholastyków, religię, która jest pobłażliwa, a nie prześladowa, która uczy, że cały zakon Boży sprowadza się do

miłości Boga i bliźniego, a nie tę, która z Boga czyni tyrana, a z bliźnich ofiary przeznaczone na stos.

Nie czyńmy religii podobną do owych nimf z bajek mitycznych, które parzyły się zwierzętami i rodziły potwory.

To mnisi przede wszystkim znieprawili ludzi. Mądry i głębią umysłu słynący Leibniz dowiódł tego niezbicie. Wykazał, że wiek X, zwany wiekiem żelaznym, o wiele mniej był barbarzyński niż wiek XIII

i następne, kiedy to zrodziły się owe rzesze żebraków, którzy ślubowali życiem ludzkości i dręczących w zamian. Ci wrogowie rodzaju ludzkiego, wrogowie jedni drugich i samych siebie, będąc niezdolni do poznania słodyczy życia w społeczności, musieli je znienawidzić. Odnosząc do siebie z okrutną surowością, każdy z nich jęczy pod jej jarzmem i wraz ją podwaja. Każdy mnich potrasałańcuchem, w który sam sięzakuł, uderza nim swego konfratra i z kolei sam otrzymuje uderzenie. Będąc nieszczęśliwi w swych niedostępnych ustroniach, chcieliby unieszczęśliwić również innych ludzi. Ich klasztory sąsiadliskiem udręki, niezgody i nienawiści. Kary, które tajemnie wymierzają, przypominają wyroki stosowane w Maroku czy Algierze. Zamurują żywcem w celach tych spośród swych współbraci, którzy mogliby ich wydać oskarżyć. Wreszcie, to oni wynaleźli inkwizycję.

Wiem, że w tej rzeszy nędzników będących zakałą połowy Europy, których jako piętnastoletnich chłopców ściągnęły do klasztoru omamienie, niewiedza lub bieda, że wśród nich znajdują się ludzie wielkich zasług, którzy wywyższyli się nad swój stan i przysłużyli się ojczyźnie. Ale ośmielam się twierdzić, że wszyscy wielcy ludzie, których zasługi przeniknęły z klasztorów na świat, byli prześladowani przez

swych konfratrów. Każdy uczony, każdy geniusz doświadcza tam więcej wstrętów i zawiści, niż nieśoby ich musiał wśród ludzi wieckich. Więcej tam poważają głupca i fanatyka, który dba o klasztor niż sakwę, niż szanowałiby największego geniusza Europy. Ohyda królująca w tych jaskiniach rzadko dociera do świeckich oczu, a kiedy wyjdzie na jaw, to pod postacią zbrodni wprowadzających człowieka w osłupienie. W maju tego roku oglądano w Paryżu ośmiu spośród owych nieszczęśników, których zowią kapucynami, oskarżonych o zamordowanie swego przełożonego.

A jednak dziwnym jakimś urządzeniem losu ojcowie, matki, córki opowiadają na klęczkach wszystkie swe tajemnice tym wyrodnym synom natury, którzy, mając dusze splamione zbrodniami, chętnie się, iż odpuszczają ludziom grzechy w imię Boga, którego stwarzają własnymi rękami.

Ileż to razy zaszczepiali oni okrucieństwo własnej duszy w sercach tych, których zowią swoimi penitentami. To oni po większej części wzniecają owe nienawiści religijne, które czynią życie tak gorzkim. Sędziowie, którzy skazali Calasów i Sirvenów, spowiadają się przed mnichami. Calasowi przydano dwóch mnichów, aby towarzyszyli mu podczas kazi. Ci dwaj ludzie, mniej barbarzyńscy od swych współbraci, przyznali najpierw, że Calas umierając na kole przyzywał Boga z rezygnacją

człowieka niewinnego. Ale kiedy zażądaliśmy od nich potwierdzenia tego faktu, odmówili. Drżeli, by przełożeni nie ukarali ich za to, że powiedzieli prawdę.

Na koniec -trudno w to uwierzyć -po uroczystym ogłoszeniu wyroku uniewinniającego Calasów, znalazł się pewien irlandzki jezuita, który w najplugawszej z broszur ośmielił się twierdzić, że obrońcy Calasów i sędziowie

Sądów Nadwornych, którzy oddali sprawiedliwości niewinności, sąwrogami religii.

Na wszystkie zarzuty katolicy odpowiadają, że protestanci zasługują na nie mniejszą naganną. „Zabójstwa Serveta i Barneveldta-mówią -równe są zabójstwu radcy Dubourga. Śmierć Karola I można przeciwstawić śmierci Henryka III. Ponure szaleństwa presbiterianów angielskich, wściekłość kanibalów z Sewennów dorównały okropnościom nocy świętego Bartłomieja.”

Porównajcie sekty, zestawcie epoki, a znajdziecie wszędzie od tysiąca sześciuset lat równą więcej miarę niedorzeczności i okrucieństw. Wszędzie plemiona ślepców zagryzających jedni drugich wśród otaczają-

cej ich głębokiej nocy. Jakaż księga kontrowersji nie byłażółciąpisana? Któryż dogmat teologiczny nie sprawił przelewu krwi? Było to konieczne następstwo tych strasznych słów: „Kto nie słucha Kościoła, niechaj będzie jako poganin i celnik.” Każda ze stron uważała siebie za Kościół; każda ze stron mówiła zatem: „Nienawidzimy celników. Kazano nam postępować każdym, kto nie jest naszego zdania, tak jak przemysłowcy postępują z celnikami, kiedy zdarzy się im być w większej sile.” Tak tedy wszędzie pierwszym dogmatem był dogmat nienawiści.

Kiedy król Prus przybył pierwszy raz na Śląsk, mieszkańcy pewnej wsi protestanckiej, pałający nienawiścią do sąsiedniej katolickiej wioski, przyszli z pokorną prośbą do króla, by im zezwolił pozabijać wszystkich ludzi w owej wiosce. Król odparł wysłannikom: „A gdyby mieszkańcy owej wioski prosili mnie, żebym im zezwolił wymordować was, co byście na to rzekli?” — „O wasza królewska moc!” — zareplikowali

wysłannicy—to zupełnie co innego, my jesteśmy prawdziwym Kościołem."

LEKI PRZECIWKO WŚCIEKLIŹNIE DUSZ

Wścieklizna przesądów, która każe nam uważać za przestępców wszystkich tych, którzy mają inne od nas zdanie, wścieklizna zabobonu, prześladowań inkwizycji jest chorobą epidemiczną; panowała ona w różnych czasach tak jak morowe powietrze. Oto środki zapobiegawcze, wypróbowane jako najbardziej zbawienne:

Najsamprzód zapoznajcie się prawami rzymskimi aż do Teodozjusza; nie znajdziecie tam ani jednego edyktu nakazującego torturować, krzyżować lub łamać kośćmi tych, którzy oskarżeni są jedynie o to, że myślą inaczej niż wy, a nie wprowadzają zamętu do życia społeczeństwa przez nieposłuszeństwo i zniewagę kultu publicznego, ustanowionego prawem cywilnym. Ta pierwsza refleksja złagodzi nieco przejawy wścieklizny.

Zestawcie kilka ustępów z Cicerona, zaczynając od tego oto: „*Superstitio instat et urget, et quocumque te verteris, persequitur*” itd. - „Jeśli dopuścicie do siebie zabobon, będzie on postępował za wami wszędzie i nie da wam nigdy spoczynku.” Taka przestroga będzie bardzo skuteczna przeciwko chorobie, którą trzeba nam leczyć.

Pomnijcie na Senekę, który w liście XCV mówi tak: „Jeśli chcecie, by Bóg wam był łaskawy, bądźcie sprawiedliwi. Wielbi go należycie ten, kogo naśladuje.” — „*Vis Deos propitiare? bonus esto: satis illos coluit quisquis imitatus est.*”

Kiedy posiadać będziecie już duży zapas owych niezliczonych starożytnych leków, przejdźcie do pocziwego

biskupa Synezyjusza, który rzekł: „Uprzedzam was, że nie chcę ani oszukiwać, ani zniewalać sumienia; będę się godził, by każdy pozostawał w pokoju przy swoich poglądach, i ja pozostanę przy swoich. Nie będę nauczał niczego, w co sam nie wierzę. Jeżeli chcecie pod tymi warunkami udzielić mi sakry biskupiej, przyjmuję ją. Jeśli nie, zrzekam się biskupstwa.”

Weźmijcie dzieła nowożytnych: znajdziecie leki u arcybiskupa Tillostona, najmądrszego i najelokwentniejszego kaznodziei Europy. „Wszystkie sekty—mówi on—pałają tym większym szaleństwem i gwałtownością, im mniej dorzeczne są powody ich uniesienia.”— *„All sects are commonly most hot and furious for those things for which there is least reason.”*

„Lepiej, żeby nie było prawd objawionych—mówi gdzie indziej—lepiej byłoby poprzestać na mądrych zasadach natury, które skłaniają do łagodności, ludzkości, pokoju i zapewniają szczęście społeczeństwu, niżeli miałibyśmy kierować się religią, która wznieca w duszach tak dziką złość.”— *„Better it were that there were no revealed religion and that human nature were left to the conduct of its own principles mild and merciful and conducive to the happiness of society, than to be acted by a religion which inspires men with so wild a fury.”*

Zważcie dobrze te pamiętne słowa: nie wynika z nich wcale, że rozum ludzki jest lepszy od objawienia; oznaczają one, że gdyby nie było środka między rozumem i nadużywaniem objawienia, które tworzyłoby tylko fanatyków, po stokroć lepiej byłoby zawierzyć naturze niżeli tyrańskiej i prześladowczej religii.

Zalecam wam jeszcze te wiersze, które wyczytałem w jednym dziele bardzo nabożnym i zarazem bardzo filozoficznym:

W miaręwierny religii, delikatny, tkliwy.

Bądźjak ona rozsądny-ale pobłażliwy

I, nie topiąc bliźniego,żegluj do przystani.

Litośćma zawsze rację, gniew niesłusznie rani.

W dniach troski i w dniach nędzy, któreśmierćwnet zaćmi.

Dzieci jednego Boga, bądźmyżsobie braćmi.

Wspomagajmy sięwzajem, wszak to samo brzemię

Kark nam każe pochyłać wzrok wbijaćw ziemię.

Iluzwrogów nażycie wciążczyha za progiem.

Życie tak przeklinane—a jednak tak drogie!

Nasze serce zbłąkane i bez przewodnika

Żreżądza albo troska ztym mrozem przenika.

Kto z nas chociażraz wżyciu nic zapłakałgłośno?

Prawda, że społeczeństwo dłońdaje litosną.

Która bóle i troskiłagodzi na chwilę —

Lecz słaba to pociecha, skoro trosk jest tyle!

Po cóżchwilom ostatnim przydawaćgoryczy!

To tak. jakby więźniowie naśmiertelnej pryczy

Miast sięwspomóc wzajemnie—z rozumu wyrzuci—

Bili siękajdanami, którymi sąskuci.

Kiedy nasycicie umysły setkąpodobnych ustępów, zróbcie jeszcze coświęcej: poddajcie siękuracji samodzielnego myślenia. Zastanówcie się, jakąkorzyśćprzynosi wam pragnienie panowania nad sumieniami innych. Pójdzie za wami paru głupców, a we wszystkich rozsądnych umysłach wzbudzicie wstręt. Jeżeli wierzycie, bylibyście tyranami wymagając od innych, by wierzyli jak wy. Jeżeli zaśnie wierzycie, jesteście potworami, gdy głosicie to, czym gardzicie, i prześladujecie tych, których poglądy w głębi serca podzielacie. Słowem, wzajemna tolerancja jest jedynym lekarstwem na błędy wypaczające umysły ludzkie na całymświecie.

Ludzkośćpodobna jest do tłumu podróżnych jadących statkiem. Jedni znajdująsięna rufie, inni na dziobie statku, inni jeszcze pod pokładem i w zenzie. Okręt nabiera wody obiema burtami, burza sroży siębezustannie. Nieszczęśni podróżni, wszystkich was morze pochłonie! Czyżtrzeba, byśmy czynili sobie naszapodróżnie do zniesienia, miast służyćjedni drugiem koniecznąpomocą, która złagodziłaby niebezpieczeństwa przeprawy? Tak, lecz ten jest nestorianinem, tamtenŻydem, jeden wierzy w Pikardczyka , inny w proroka rodem z Eisleben , tu mamy rodzinęogniomódlców , tam sąmuzulmanie, a o cztery kroki dalej anabaptyści. Ech! Mniejsza o sekty! Wszyscy winni społem pracowaćnad zatykaniem dziur w statku; każdy, zabezpieczając na chwil parę życie swego sąsiada, ocali swoje własne. Niestety! Kłóćsięmiędzy sobą ginąwszyscy.

KONKLUZJA

Ukazawszy czytelnikom ówłańcuch zabobonów rozciągający się poprzez wieki aż do naszych dni, błagamy dusze szlachetne i współczujące, abyświeciły przykładem. Zaklinamy je, aby raczyły stanąćna czele tych, którzy postanowili oczyścić zarzutów i wspomóc rodzinęSirvenów. Straszny przypadek Calasów, którym zajęła sięcała Europa, na pewno w tkliwych sercach nie wyczerpałwszystkiej litości. A ponieważpomnożyła sięta najohydniejsza niesprawiedliwość, szlachetne współczucie równieżzapewne wzrośnie w dwójnasób.

Na pochwałęnaszego wieku i na chwałęfilozofii trzeba powiedzieć, że tylko od osób wykształconych i mądrych, co własnymi stopamiścierają łeb hydrze fanatyzmu, Calasowie otrzymali pomoc, zadośćczyniącąim za doznane krzywdy. Nikt z tych, których zowiądewotami—mówięo tym z bólem—nie otarłim nawet jednejłyzy ani nie wspomógłich kieski. Jedynie mądre umysły myśląszlachetnie. Głowy koronowane, dusze godne swej wysokiej pozycji, dały w tej okazji wspaniały przykład; ich imiona wryte będąna zawsze w rocznikach filozofii, która zasada sięna odrazie do zabobonu i na owej powszechnej miłości, zalecanej przez Cycerona, owej*charitas humani generis*; miłości, której imięprzywłaszczyła sobie teologia, jakby to była tylko jej wyłączna własność, ale którąażnabyt często ogołacała z wszelkiej treści, miłości, umiłowania rodzaju ludzkiego, tej cnocie zapoznanej przez oszustów, pedantów o zanadru wypełnionym argumentami iżądnych prześladowańfanatyków.

LIST PANA MARKIZA D'ARGENS, BRYGADIERA WOJSK KRÓLEWSKICH

Mój zacny przyjacielu! Przeczytałem w piśmie noszącym tytuł „Rok Literacki” paszkwil umieszczony z okazji wydanego przez najwyższy trybunał panów referendarzy orzeczenia uniewinniającego rodzinę Calasów. Paszkwil ten oburzył wszystkich uczciwych ludzi. Mówiono mi, że taki w ogóle jest los owego pisma.

Autor, posługując się tu podstępem, jakim nikogo jeszcze zwieść się nie udało, pisze, jakoby otrzymał z Langwedocji list od pewnego protestanckiego filozofa. Ów domniemany filozof oświadcza, że jeśli by kto sądziło Calasach na podstawie obiegającego Europę listu pana de Voltaire, to wyrobiłby sobie bardzo fałszywe pojęcie o tej sprawie. Autor pisma nie śmie atakować wprost referendarzy, ale zdaje się dufać, że pociski, które wymierzył w pana de Voltaire, uderzą w nich, ponieważ pan de Voltaire oparł swe działanie na tych samych co oni dowodach.

Na początku usiłuje on obalić korzystny dla Calasa pogląd, który tak umiejętnie podkreślali wszyscy adwokaci, iż nie jest rzeczą naturalną, aby ojciec zamordował syna skutkiem podejrzenia, że chce on zmienić religię. Przeciwwstawia tej powszechnie uznanej opinii przykład Juniusa Brutusa, który skazał, jak utrzymują, swego syna na śmierć. W swym zaślepieniu nie pamięta, iż Junius Brutus był sędzią jako taki, zalewając się łzami, poświęcił naturę swemu obowiązkowi. Czy można porównać surowy wyrok z podłym morderstwem, porównać spełnienie obowiązku z synobójstwem! I to jeszcze jakim synobójstwem! Jeśli zostało ono rzeczywiście

popelnione, ojciec, matka, brat i przyjaciel musieli być jednakowo winni zbrodni.

Głupota doprowadza owego autora nawet do twierdzenia, że jeśli synowie Jana Calasa zapewniali, „iż nie było nigdy ojca bardziej odczułego i pobłażliwego i że nigdy nie uderzylani jednego ze swych dzieci”, świadczy to raczej o naiwności dających wiarę owemu oświadczeniu niżeli o niewinności oskarżonych.

Tak, nie jest to wystarczający dowód prawny, ale ważki argument. Jest to ważny powód dla podjęcia badań, a panu de Voltaire chodziło wówczas właśnie o znalezienie motywów skłaniających do podjęcia tej tak interesującej sprawy, w której następnie dostarczył dowodów oczywistych, zebranych w Tuluzie.

A oto coś jeszcze bardziej oburzającego. Pan de Voltaire, u którego w gościnie koło Genewy, kiedy podjął się sprawy, „bawiłem od trzech miesięcy, zażądał przedtem, aby wdowa po Calasie, która, jak wiedział, była niewiastą bardzo pobożną, przysięgła na Boga, którego wielbi, że ani jej mąż, ani ona nie byli winni. Owa przysięga zasługiwała jak najbardziej na wiarę, bo niepodobna, aby pani Calas popełniła krzywoprzysięstwo po to jedynie, żeby udać się do Paryża i tam narazić się na śmierć. Uznana była za wolną od winy i nic jej nie nagliło do przedsięwzięcia ryzykownych zabiegów o ponowne wszczęcie procesu kryminalnego, który mógłby dla niej zakończyć się fatalnie. Autor pisma nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ciężko przyszłoby krzywoprzysięstwo niewieście bojącej się Boga. Mówi, że jest to „mylne rozumowanie”, „że to tak, jakby ktoś badał jednego z sędziów, którzy skazali Calasa”, itd.

Czy można uczynić bardziej niedorzeczne porównanie? Bez wątpienia, sędzia zaprzysięgnie się, że sądził wedle swego

sumienia. Ale przecieŜto sumienie mogło byĆ wprowadzone w błąd fałszywymi poszlakami, podczas gdy Źona Calasa nie mogła sięomyliĆ do zbrodni przypisywanej wówczas jej mężowi i jej samej. OskarŜony dobrze w swym sercu wie, czy jest winien, czy teŹnie, sędzia zaśmoŹe wiedzieĆ tym tylko na podstawie poszlak, często niepewnych. Autor tego pisma rozumowałzatem z głupotąrównąswej Źłośliwości, winienem bowiem nazywaĆrzeczy po imieniu.

Ośmiela sięzaprzeczaĆ,Źe wierzone powszechnie w Langwedocji, jakoby protestanci posiadali„artykułswej sekciarskiej wiary, który pozwala im zadaĆ śmierćdzieciom podejrzanym oŹywienie zamiarów zmiany religii", itd. Sąto własne słowa tego skryby.

CzyŹby nie wiedziałtedy,Źe to oskarŹenie było tak powszechne i tak groŹne, iŹpan Sudre, słynny adwokat z Tuluzy, który napisałznakomity memoriałw obronie rodziny Calasów, zbija ten gminny przesąd na stronie 59, 60 i 61 swej rozprawy? CzyŹby nie wiedział,Źe Kościółgenewski zmuszony byłwysłaĆdo Tuluzy uroczysty protest przeciw temu tak okropnemu oskarŹeniu!

Ośmiela sięw tak poważnej sprawie stroić Źarty z tego,Źe zwrócono sięz listami do dawnego rządcy Langwedocji i rządcy Prowansji, aby za ich pośrednictwem uzyskaĆinformacje, na których można by sięoprzeĆ; cóŹbardziej roztropnego można było uczynić?

Nie będęwspominało pomniejszych literackich głupstwach, któreów człowiek zamieściłw swym nędznym piśmie. NiewinnośćCalasów i uroczysty wyrok panów referendarzy to sprawy zbyt szacowne, abym mieszaĆje z rzeczami tak czczymi. Dziwięsięjedynie,Źe w ParyŹu mogą ścierpieĆpodobnąbezzcelnośćiŹe nędznik, który okazuje zarazem nieľudŹkości brak poszanowania dla Rady

Królewskiej, do tego stopnia nadużywa bezkarnie pogardy, jakąwszyscy go darzą.

Proszęo przebaczenie Pana de Voltaire, że wmieszałem tu jego nazwisko razem z nazwiskiem człowieka takiego jak Freron. Ale skoro w Paryżu mogą ścierpieć, by pisarze czci pozbawieni obrażali zasługi ogólnie uznane, to sądziłem, że wolno jestżołnierzowi, który powoduje sięhonorem, powiedzieć, co myśli, i tak niezłomnie jestem o tym przekonany, że może Pan, mój drogi filozofie, przedstawićmoje refleksje wszystkim tym, którzy kochająprawdę.

Wiadomo Panu, jak bardzo jestem Panu oddany.

d'Argens

W zamku Dirac, 20 lipca 1765

LIST AUTORA DO PANA MARKIZA D'ARGENS

24 sierpnia 1765

List, który Pan, Panie Markizie, raczyło mnie napisać, godny jest Pańskiego serca i wielkiego umysłu. Dowiedziałem się tego listu o bezczelnej podłości Frerona, o której dotychczas nie słyszałem. Nigdy nie czytałem jego pism. Przypadek, który sprawił, że jedno z nich wpadło w ręce Pana, nigdy dotąd także mi się nie przysłużył. Ale Pan, rozprawiając się jego oszczerstwami, wydobył z tego gnoju.

Wiem dobrze, że gdyby ten człowiek nawet przeczytał list napisany przez panią Calas ze schronienia, w którym pozostawała będąc bliska śmierci i z którego z takim trudem ją wyrwano, gdyby widział, z jaką prostotą, bólem i rezygnacją opowiadała o śmierci swego syna i swego męża i z jaką nieodpartą szczerością wzywała Boga na świadka swej niewinności—nie wzruszyłby się pewnością, ale poczułby może, że ów list musiał poruszyć i przekonać uczciwe serca.

Nigdy tyran nie pojmie natury

Ani jednak nie zrozumie cnoty.

Co do panów marszałka de Richelieu i księcia de Villars, których pomoc i opiekę, jak Pan pisze, usiłuje on podle zniesławić i świadectwo ich odrzucić, to nie wie, iż właśnie u mnie poznali owi panowie syna Calasa, którego miałem honor im przedstawić, i że niechybnie dopiero wtedy wsparli

go swą pomocą, gdy zgłębili dokładnie sprawę, długo przedtem powstrzymując się od wydania sądu, jak to winien czynić każdy przezorny człowiek, zanim poweźmie decyzję.

Co się tyczy referendarzy, to oni sami najlepiej będą wiedzieć, czy po ogłoszeniu ich najwyższego orzeczenia stwierdzającego niewinność Calasów jakiś Freron może sobie pozwolić na podawanie go w wątpliwość.

Ściskam Pana serdecznie i kocham Pana w równym stopniu, jak Go poważam.

LIST AUTORA DO PANA ELIASZA DE BEAUMONT, ADWOKATA PARLAMENTU

20 marca 1767

Memoriał Pański o Sirvenach wzruszyli przekonali wszystkich czytelników i bez wątpienia wywrze taki sam skutek na sędziach. Opinia podpisana przez dziewiętnastu słynnych adwokatów paryskich okazała się równie korzystną dla tej niewinnej rodziny, jak pełniaszaczunku dla parlamentu Tuluzy.

Zawiadamia mnie Pan, iż żaden z adwokatów, do których zwrócono się wydanie opinii, nie chciał przyjąć pieniędzy przekazanych Panu tytułem honorarium dla nich. Bezinteresowność ich i Pana godna jest znakomitej profesji, której posłannictwem jest obrona uciśnionej niewinności.

Drugi to już raz staje się Pan mścicielem natury i narodu, dla których hańbą byłoby, gdyby tak liczne oskarżenia o dzieciobójstwo miały najmniejsze bodaj uzasadnienie. Wykazał Pan, że wyrok na Sirvenów był jeszcze bardziej sprzeczny z prawem niżeli wyrok, który cnotliwego Calasa skazał na łamanie kołem i na stos.

Sirvena i jego córki przyślę do Pana, gdy nadejdzie po temu pora. Ale uprzedzam Pana, że u tego nieszczęsnego ojca rodziny nie znajdzie Pan owej przytomności umysłu, siły charakteru i wiary, które podziwiano u pani Calas. Pięć lat nędzy i hańby pograżyło go w tak wielkim przygnębieniu, że nie potrafi zapewne jasno przemawiać przed sądem. Z wielkim mozołem uspokajałem go w jego rozpaczach wówczas,

gdy doświadczyliśmy tylu trudności i gdy tak długo musieliśmy czekać na sprowadzenie z Langwedocji owych paru dokumentów, które Panu przesłałem. Dowodzące, oczywiście, głupoty i niesprawiedliwości tego niższego sędziego, który skazałgo na śmierć wydałmu cały majątek. Nikt z krewnych, a tym bardziej nikt z tak zwanych przyjaciół nie śmiał do niego pisać, do tego stopnia fanatyzm i strach ośladnęły wszystkimi umysłami.

Jego żona, tak jak i on skazana na śmierć, niewiasta czcigodna, zmarła w drodze do mnie ze strapienia, jedna z jego córek od pięciu lat nie może ukoić swej rozpacz, wnuczek, zrodzony wśród lodów, nękanym jest bez-

ustannie chorobami od chwili swego nieszczęsnego przyjścia na świat—wszystkie te nieszczęścia rozdierają cię serce tego ojca i przyćmiewają jego umysł. Płacz tylko ustawicznie, ale Pańskie wywody i jego łzy jednak wzruszają sędziów.

Muszę powiadomić Pana o jedynej pomyłce, którą znalazłem w Pańskim memoriale. Nie umniejsza ona bynajmniej słuszności wyводу. Sirven oświadcza tam, że Berno i Genewa przyznały mu pensję. Prawdą jest, że Berno wyznaczyło ojcu, matce i obu córkom siedem franków i dziesięć su na głowę miesięcznej pensji i że zamierza udzielać im nadal tej jałmużny w czasie ich podróży do Paryża, ale Genewa nie dała nic.

Wymienił Pan imperatorową Rosji, króla Polski i króla Prus, którzy wspomogli tę rodzinę tak cnotliwą i tak prześladowaną. Niech Pan pamięta, że król Danii, landgraf Hesji, księżna Sachsen-Gotha, księżna Nassau-Saarbrücken, margrabina Badeńska, księżna Darmstadt, wszyscy jednakowo czuli na cnotę i uciemiężenie Sirvenów, pospieszyli również ośpisać ich swymi dobrodziejstwami. Król Prus, który

pierwszy dowiedział się tej sprawie, przysłał mi sto dukatów oraz zaofiarował się przyjąć tę rodzinę do swego państwa i rozłożyć nad nią opiekę.

Król Danii, zanim jeszcze zwróciłem się do niego z prośbą, raczył napisać do mnie i przysłać znaczny dar. Imperatorowa Rosji okazała równą łaskawość i ożadziwiająca wspaniałość, która tak jej jest właściwa. Do swego daru dołączyła te energiczne słowa skreślone jej własną ręką: „Biada prześladowcom!”

Król Polski, skoro tylko pani de Geoffrin, która przebywała wówczas w Warszawie, opowiedziała mu o Sirvenach, przysłał godny tego dar. A pani de Geoffrin, idąc za przykładem króla Polski, dała przykład Francuzom. Tak to księżna d'Enville, będąca podówczas w Genewie, pierwsza naprawiła krzywdy Calasów. Zrodzona z ojca i dziada wsławionych dobrodziejstwami - czyż istnieje piękniejszy tytuł do sławy? - nigdy nie zaniedbywała okazji wspomagania nieszczęśliwych i opiekowała się nimi. Czyniła to z wielką dusznością i równą rozważnością, i tym właśnie dom jej zawsze się wyróżniał. Wyznaję Panu, że pragnąłbym, aby do najdalszych pokoleń dotarły hołdy należne tym dobrodziejstwom, które nigdy nie wynikały ze słabości.

Prawdą jest, że dołączyły się do niej pierwsze osoby królestwa, szlachetni obywatele, pewien minister, któremu jak dotąd nic zarzucić nie można, krom rozrzutności w wyświadczeniu dobrodziejstw, na koniec sam król, który dopełnił miary zadośćuczynienia, jakie naród i tron dłużne były krwi niewinnej.

Sprawiedliwość przyznana pod Pańskimi auspicjami tej rodzinie przy-

sporzyła Francji honoru większego od hańby, którą kryła nas kaźń Calasa.

Chociaż los umieścił mnie na tym pustkowiu, gdzie rodzina Sirvenów i synowie pani Calas szukali schronienia, chociaż ich żę i niewinność tak oczywista nałożyły na mnie przemożny obowiązek udzielenia im pomocy, przysięgam Panu, że mimo współczucia, jakie żywiłem dla tych dwóch rodzin, nie uchybiłem nigdy parlamentowi Tuluzy brakiem szacunku. Za śmierć cnotliwego Calasa i skazanie całej rodziny Sirvenów winięm wyłącznie głos fanatycznego pospólstwa, nadmierną gorliwość, z jaką kapituła David chciał wykazać swoją źle pojętą nabożność, wreszcie—fatalny zbieg okoliczności.

Gdybym był członkiem parlamentu Tuluzy, zaklinałbym wszystkich moich kolegów, aby wspólnie Sirvenami prosili króla o wyznaczenie im innych sędziów. Oświadczam Panu, że rodzina ta ujrzy na powrót swój kraj dopiero wtedy, gdy zostanie uniewinniona wobec prawa, tak jak jest rzeczywiście uniewinniona przed opinią ogółu. Nigdy nie będzie miała dość siły i rezygnacji, aby znieść widok sędziego z Mazamet, który był stroną oskarżającą i prześladowałą; raczej, niż sądził. Nie przemierzy ona nigdy wiosek katolickich, w których lud się wierzy, że jednym z głównych obowiązków ojców i matek gmin protestanckich jest zabijanie swych dzieci, skoro tylko zaistnieje podejrzenie, iż skłaniają się one do religii katolickiej. To ten złowrogi przesąd właśnie zawlókł ją

Calasa na koło i mógłby zaciągnąć na nie także i Sirvenów. Zresztą nakłanianie Sirvena do powrotu do kraju, w którym dymi jeszcze krew Calasa, jest dla mnie takim samym nieprawdopodobieństwem, jakim dla obu tych rodzin było zabicie własnych dzieci z religijnych pobudek.

Wiem, Panie, że autor nędznego pisma periodycznego, zatytułowanego, zdaje mi się, „Rok Literacki”, zapewniał przed dwoma laty, iż fałszem jest, jakoby w Langwedocji oskarżano religię protestancką o zachęcanie do dzieciobójstwa. Utrzymywał on, że nigdy o to nie podejrzewano protestantów. Był nawet na tyle podły, że udał, jakoby dostał z Langwedocji potwierdzający to zdanie list. Stwierdzano w nim, iż owo oskarżenie protestantów jest płodem imaginacji. Listów autor wydrukował popełnionym sposobem przestępstwo fałszerstwa po to, by rzucić podejrzenie na niewinność Calasa i na słuszność orzeczenia panów referendarzy. Iścierpiano takie przestępstwo, zadowalając się tylko okazywaniem wstrętu temu człowiekowi!

Nędznik ten znieślił nazwiska pana marszałka de Richelieu i księcia de Villars. W swej głupocie twierdzi, że lubuję się w cytowaniu wielkich imion. Widocznie bardzo źle mnie zna. Wiadomo dobrze, że nie olśniewamnie bynajmniej blask wielkich imion i że cenię tylko wielkie czyny. Nie wiedział on, że owi dwaj wielcy panowie gościli u mnie wówczas, gdy miałem honor przedstawić im synów Jana Calasa, iż obaj wypowiedzieli się niewinności Calasów dopiero po zbadaniu sprawy z największą rozwagą. Powinien był wiedzieć, a udał, że nie jest mu to wiadome, iż Pan w swym memoriale napisanym w obronie wdowy po Calasie obalił ów wstrętny przesąd oskarżający religię protestancką o nakazywanie dzieciobójstwa. Pan de Sudre, znakomity adwokat z Tuluzy, jeszcze przed Panem wystąpił przeciwko temu potwornemu pogładowi, ale go nie słuchano. Parlament Tuluzy nakazał nawet uroczyście spalić na ogromnym stosie pewne pismo nie posiadające mocy prawnej, które zbijało ów pospolity błąd. Łucznicy wiodący na ostatnie tortury zakutego w kajdany Jana Calasa kazali mu przejść obok tego stosu. Starzec myślał, że to dla niego przygotowano owo narzędzie kaźni, i padł zemdlony. Kiedy

zaciągnięto go na tortury, nie był w stanie odpowiadać jego pomieszanie przyczyniło się do wydania skazującego wyroku.

Wreszcie konsystorz i nawet Rada Genewy zmuszone były w wydanym wedle form prawnych świadectwie odeprzeć potępić okropne posądzenie godzące w ich religię. I ów przybłąda bez czci i wstydu, nie zważając na te publiczne dokumenty i na głosy podnoszące się całej Europie, wbrew uroczystemu orzeczeniu czterdziestu referendarzy ośmiela się łąć i podważać — gdyby to było możliwe — uznaną powszechnie niewinność Calasów.

Ta karygodna zuchwałość uszła mu płazem, temu przestępcy odpłacano jedynie pogardą. Jeden markiz d'Argens, brygadier Wojsk Królewskich, który w najgorętszym okresie procesu Calasów przepędził mnie cztery miesiące, dał publicznie wyraz swemu oburzeniu na tego podłego zbrodniarza.

A co osobliwsze, pan Coqueley, który miał zaszczyt być dopuszczony do tego samego zgromadzenia co i Pan, poniżył się aż do aprobowania pism tego Frérona i osłaniania swym nazwiskiem owej bezczelności, stając się ten sposób jego współnikiem.

Mniejsza z tym, że pisma te ustawicznie oczerniają wszelką cnotę, że autor ich żyje ze swej niegodziwości i że za to, iż szczeka, rzucam czasem kość. Ale przyzna Pan, że skoro ośmiela się łąć całą Radę Królewską, to taka zbrodnicza zuchwałość nie powinna ujść bezkarnie nędznikowi przepędzonemu przez całe społeczeństwo, a nawet przez tę kompanię, która została wreszcie wypędzona z całej Francji. Hańba, którą się okrył, bynajmniej nie daje mu prawa łąć wszystkiego, co jest najbardziej godne czci. Nie wiem, czy pisał także o Sirvenach, ale należałoby przestrzec prowin-

cjuszy, których cechuje ta słabość, że chętnie sprowadzają wszelkie pisma z Paryża, iż nie powinni, za przykładem stolicy, przywiązywać jakiegokolwiek wagi do tego, co pisze ów człowiek napiętnowany powszechną odrazą.

Przeczytałem ostatnio memoriał pana Cassena, adwokata Rady. Dzieło to godne jest wydania nawet po ukazaniu się Pańskiego memoriału. Okazuje się, że pan Cassen odznacza się tą samą co Pan wspaniałą myślnością. Zupełnie bezinteresownie roztacza swą opiekę nad niewinnością. Jakież to wspaniałe przykłady, Panie, i jakże godną szacunku staje się palestra! Pan de Crosne i pan de Baquencourt zasługują na pochwały i na wdzięczność Francji za ich sprawozdania z procesu Calasów.

Na sędzie referującego w procesie Sirvenów pozyskaliśmy urzędnika mądrego, oświeconego i elokwentnego (tę elokwencją, która nie zasadza się tylko na pięknych okresach), możemy tedy ufać

w zwycięstwo.

Gdyby jakieś formy prawne uniemożliwiły przypadkiem przyjęcie naszej słusznej apelacji, w co nie wierzę, pozostanie nam jako ostateczny środek Pański memoriał, pismo pana Cassena i opinia Europy. Rodzina Sirvenów postrada majątek, ale zachowa swą czystość. Napiętnowany zostanie tylko sędzia, który ich skazał. Bo nie organa władzy piętnują hańbę, lecz ogół obywateli.

W przyszłości wszyscy wystrzegają się będą niesławiania narodu niedorzecznymi oskarżeniami o dzieciobójstwo, a my oddamy przynajmniej ojczyźnie tę przysługę, że utniemy łeb hydrze fanatyzmu.

Mam zaszczyt pozostać głębokim szacunkiem itd.